PATRYARCHA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

ADAMA BEŁCIKOWSKIEGO.

Tom II.

Odbitka z „KRAJU“.

KRAKÓW
Nakładem Wydawnictwa „KRAJU“
1872.

PATRYARCHA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Adama Bełcikowskiego.

Tom II.

Odbitka z „Kraju“.

KRAKÓW.
Nakładem Wydawnictwa „KRAJU“.
1872.

Czcionkami drukarni „KRAJU“ pod zarządem
St. Gralichowskiego.

Kawaler maltański.

W okolicach Dubna kasztelanic Zakroczymski miał niewielki majątek. Prowadził on gospodarstwo na własną rękę, chociaż w majątku stale nie mieszkał i tylko dwa lub trzy razy do roku do niego dojeżdżał. Wtenczas rozpatrywał czynności rządców, załatwiał sprawy sądowe, jeżeli jakie były, a nadewszystko kontrolował ściśle rachunki, zabierał pieniądze i to załatwiwszy, wracał na wielki świat, do Warszawy lub za granicę.

Tam rozpoczynało się dopiero właściwe jego życie, w którém kasztelanic miał tylko jeden cel — kochać się w pięknych kobietach i być przez nie kochanym.

To ostatnie udawało mu się dotychczas jak najzupełniéj. Kasztelanic nie mógł się nigdy uskarżać na okrucieństwo serc kobiecych i miał do nich ogromne szczęście. Szczęście zresztą całkiem zasłużone,

bo był bardzo pięknym mężczyzną i co więcéj, umiał się kobietom podobać i z niemi postępować.

Tryumfy jego zaczęły się bardzo wcześnie. Mając lat kilkanaście, został paziem króla Stanisława Augusta i wtenczas już stał się ulubieńcem płci pięknéj. Ówczesne damy lubiły się z nim pieścić, głaskać go po rumianéj twarzy i bawić się włosami, które w gęstych, złocistych kędziorach okrywały jego głowę. Powszechnie téż był nazywany od nich Cherubinkiem.

Praktyka miłości przychodziła mu w takich warunkach bardzo łatwo; młodziutki Cherubinek ani wiedział o tém, jak doszedł do doskonałości w sztuce podobania się i zyskiwania sobie względów. Przez ciągłe towarzystwo z kobietami, przez rozmaite a częste doświadczenia, jakie przechodził, nabył także niepospolitéj znajomości téj rzeczy, która dla innych przez całe życie nieraz pozostaje Sfinksem tajemniczym — do znajomości serca kobiecego. Mając ten klucz w ręku, dobywał się z łatwością do najtajniejszych kryjówek i do fortec jak najmocniéj obwarowanych.

W czasie, w którym zapoznajemy się z nim, kasztelanic miał już lat trzydzieści pięć, a więc i długi, bardzo długi szereg rozmaitych wspomnień za sobą. Pomimo to, ani na żart nawet nie przeszło mu przez myśl, aby sposób życia odmienić, ustatkować się i zakończyć swoję karjerę romansową. — I owszem, czuł się dotąd tak swobodnym, tak lekkim na umyśle i tak ochoczym do rzucania się w wir przygód i uczuć miłosnych, jak gdyby miał zawsze lat ośmnaście.

Najlepszy to dowód, że dotychczas nie wyekspensował ze siebie wiele uczucia, że miłość nie wstrząsała nigdy gwałtownie i głęboko jego duszą. W istocie tak było. Natura, atmosfera wieku, wreszcie i doświadczenie, bardzo wcześnie go oświeciły, że najszczęśliwszym jest w miłości, kto sam najmniéj kocha i uczuciu porwać się nie daje. Kasztelanic kochał się ciągle, bez ustanku, bez przerwy, ale zawsze rozumnie. Ani raz się nie zapomniał, ani raz nie zapędził się tak daleko, ażeby się nie mógł wrócić albo powstrzymać. Nigdy nie doznał prawdziwego i głębokiego uczucia, nigdy namiętność nie zamąciła mu spokoju i nie o-

debrała dobrego humoru. Poznawszy, że miłość jest równie kapryśną boginią jak fortuna, był zawsze przygotowany na wszystkie jéj zmiany i grymasy. Swoim kochankom nie robił nigdy scen i żadnéj nie narażał na najmniejszy skandal. Oddawała mu która swoje serce, była dla niego dobrą i łaskawą, ubóstwiał ją i padał przed nią na kolana; zapominała o nim, albo sprzeniewierzyła mu się, on jéj nie robił wyrzutów, nie przeklinał jéj, nie czuł nawet zazdrości, ale powoli i nieznacznie usuwał się od niéj, aż całkiem z oczu go nie straciła. Najczęściéj na drodze swojéj w tym wstecznym marszu napotykał inną jakąś piękność, przy któréj pocieszał się po stracie i wkrótce zapominał zupełnie, że kiedykolwiek kochał inną a nie tę, którą miał właśnie przed oczami.

Był to sposób postępowania bardzo wygodny dla stron obu. Czasowi kochankowie pozostawali potém na zawsze przyjaciołmi i o nic nawzajem obwiniać się nie mogli. Spotykając się w świecie, witali się z sobą słodkim uśmiechem, który niby pokazywał wdzięczność, jaką obopólnie byli sobie winni za uprzyjemnienie kilku chwil życia.

Kasztelanic zresztą jak ognia bał się prawdziwéj lub namiętnéj miłości. Jeżeli przypadkiem tę gdzie spostrzegł, jak można było najprędzéj zrywał stosunki i oddalał się od przedmiotu, który wydawał mu się tak niebezpieczny, jak jaki palny materjał, w bliskości którego całość i zdrowie człowieka nie jest nigdy pewne. Ale i w podobnych wypadkach umiał bardzo zręcznie postępować i tak ważne i wyraźne wynaleźć do rozstania się powody, że rozmarzona i roztkliwiona piękność żegnała go ze łzami w oczach i z tém najgłębszém przekonaniem, że tylko nienawistne losy i okoliczności stanęły im na drodze do szczęścia. Przy tém ostatniém pożegnaniu kasztelanic zdobywał się téż na największą jaką mógł sentymentalność i dla jéj uwydatnienia nie wahał się nawet dodać sporą dozę patetyczności.

Nic mu to nie przeszkadzało, że równocześnie śmiał się w duchu, i układał sobie plany do przyszłego i łatwiejszego romansu.

Prawdziwa miłość wkłada na człowieka obowiązki, namiętność czyni go swoim niewolnikiem i przykuwa kajdanami do przedmiotu, który ją wzbudził. Kasztelanic

wiedział o tém, i chciał zawsze być wolnym.

Nikt tym sposobem nie miał do niego żalu. Kokietki i istoty lekkiego usposobienia wdzięczne mu były za jego dyskrecją i takt nieporównany; kobiety zaś z głębszém uczuciem, i dla tego zwykle mniéj przebiegłe, podziwiały w nim jego wstrzemięźliwość i delikatność, widziały w tém nieraz nawet do wysokiego stopnia posuniętą szlachetność. Był więc ulubieńcem wszystkich i stawiany był zarówno za wzór galanterji jakotéż uczuciowości.

Przy tym trybie życia, przy tém oszczędzaniu swoich uczuć i stałém unikaniu głębszych wzruszeń, nie dziw, że kasztelanic zakonserwował się bardzo dobrze. Mając lat trzydzieści pięć, wyglądał o dziesięć lat młodszym, i był zawsze nietylko młodym ale i świeżym. Pomagała mu do tego także bardzo wiele natura, bo dała mu wiele sił i zdrowie żelazne. Kasztelanic był kształtnie, ale silnie zbudowany. Pierś miał wysoką, w ramionach był szeroki, a głowę nosił na grubym karku. Przy całéj delikatności i wykwintności manier, postawa jego miała zarazem jakąś powagę i coś imponującego

w sobie. Jego twarz dosyć szeroka i duża wyglądała szlachetnie i majestatycznie, a orli nos, z lekkiém i delikatném zakrzywieniem, czynił go podobnym do sławnych w wieku XVIII zdobywców serc kobiecych: do Ludwika XV i Stanisława Augusta. Ale największym może jego wdziękiem był uśmiech słodki, nęcący i nieco ironiczny zarazem. Kasztelanic miał go prawie zawsze na ustach, a usta te były tak pięknie zarysowane, jakby ich przeznaczeniem było składać pocałunki na najpiękniejszych rączkach i licach.

Kasztelanic otrzymał swój tytuł w spadku po ojcu, bo sam o żaden urząd ani godność nigdy się nie ubiegał. Ambicja jego miała inne cele, i zupełnie się ich osiągnięciem zadawalniała. W młodych jednakowoż już latach postanowiwszy nigdy się nie żenić, został kawalerem maltańskim. Ten stan chronił go od wszelkich matrymonjalnych zachcianek ze strony płci pięknéj. Czerwony frak maltański ze złotym haftem na piersiach i z grubemi złotemi szlifami ubierał bardzo pięknie męską postać kasztelanica, a prócz tego był rodzajem szyldu, który na pierwszy rzut oka opowiadał: żenić się nie mogę, ale mam serce i mogę się kochać.

Pomimo lekkości swego usposobienia i awanturniczego życia, rzucającego się z przygody w przygodę, kasztelanic miał jednak bardzo wiele zmysłu praktycznego i w codziennych stosunkach był nader systematyczny. Miał on płoche serce, ale stateczną głowę. Majątkiem zarządzał jak najlepiéj, i miał z niego większe dochody niż niejeden z sąsiadów z daleko większych posiadłości. Dla spraw sercowych nigdy nie zapominał o interesach. Zdarzało się, że niejedna piękność długo wyczekiwała go z utęsknieniem, list za listem posyłała za nim na wieś, a on tymczasem z najzimniejszą krwią, odpisując w najczulszych słowach, ale ledwie na list dziesiąty, kończył rachunki z oficjalistami i załatwiał swoje gospodarskie interesa. Rozumié się także, iż nie lubił stosunków, któreby go wyciągały na koszta. Tłomaczył on to przed sobą tym aksiomatem, że miłość jest dobrowolnym darem serca, i że opłacać ją nie wzajemnością, ale jakimkolwiek materjalnym środkiem, byłoby to jéj uwłaczać. Jego kochanki otrzymywały téż w upominku od niego bukiety, które można było na czas dłuższy zasuszyć, pukle jego pięknych włosów, sylwetki, które sam wycinał, albo miniatury,

które własną ręką malował, ale nigdy nie dostawały złota i djamentów.

Bardzo skrupulatnie obliczał się także z czasem. Stosunki, wymagające długich zachodów, porzucał od razu, nie lubił oddawać długich wizyt, i nie dopuszczał do tego, aby ubóstwiany przedmiot miał go przez cały dzień na swoje usługi. Schadzki, które mu wyznaczano, umiał tak urządzić, aby nie przypadały w porze obiadowéj i nie przeszkadzały mu w udaniu się na bal albo do teatru.

Miłość miała być dla niego najsłodszą przyprawą życia, nie powinna więc była narażać na kłopoty, albo sprawiać niewygody.

Odżywione wspomnienia przeszłości.

Kasztelanic właśnie przyjechał do siebie na wieś na kilka tygodni. Interesa już po największéj części ukończył, ale nie miał jeszcze zamiaru powracać do Warszawy. W obecnéj porze nic go tam tak gwałtownie nie ciągnęło. Księżna Helena, w téj epoce przedmiot jego uwielbienia, bawiła za granicą i było umówione, że równocześnie mieli powracać

do Warszawy: on ze wsi, a ona z obcych krajów. Kasztelanic postanowił skorzystać z tego czasu i na łonie natury i w ciszy wiejskiéj wypocząć po zgiełkliwém i ruchliwém życiu stolicy. Podobnego rodzaju *far niente*, wolne od zajęć sercowych odświeżały go; zauważył, że po każdéj takiéj pauzie, w któréj jego serce spoczywało, muzyka miłości pełniejszemi się odzywała akordami. Z wyrachowania więc, jako prawdziwy smakosz, dla zaostrzenia apetytu, robił podobne pauzy.

Było to w porze wieczornéj i w tym czasie w naszym klimacie niebardzo przyjemnym, kiedy zima jeszcze się na dobre nie skończyła, a wiosna nie zaczęła. Chłodno, posępnie i deszczowo było na świecie. Kasztelanic w swoim samotnym dworze, którego był jedynym mieszkańcem, siedział w pokoju umeblowanym gustownie i elegancko, jak buduar młodéj kobiety. Miał na sobie jedwabny, jasnoniebieski szlafrok, lekko watowany i bardzo wygodny. Siedział na fotelu miękkim i szerokim. Niedaleko od niego palił się na kominku ogień, a na stoliku płonęła lampa. W całym dworze pano-

wała cisza i spokój, najmniejszym hałasem niezamącony.

Kasztelanic kołysał się lekko na swoim fotelu założywszy nogę na nogę i przewracał powoli kartki w jakiéjś książce *in quarto*, którą trzymał na kolanach. Książka ta był to rodzaj pamiętnika. Zapełniona była w trzech czwartych swojéj objętości rozmaitemi rysunkami jego własnéj ręki, a do każdego z tych rysunków przywiązane było jakieś wspomnienie, każdy zrobiony był z powodu téj albo owéj okoliczności. Żadnego systemu w tych rysunkach nie można się było dopatrzeć; na jednéj karcie były tam obok siebie jakieś arabeski, zwierzęta i ptaki, drzewa, kwiaty, jakieś fantastyczne figury, krajobrazy i domki lub pałace, a wreszcie nierzadko także głowy kobiece w najrozmaitszym guście, a jedne od drugich piękniejsze.

Nasz samotnik z zadowolnieniem, z uśmiechem na twarzy przeglądał ten pamiętnik. Widocznie budził on w nim same przyjemne wspomnienia. — Naraz nad jedną z tych kart zrobił minę więcéj serjo i zmarszczył czoło między brwiami, jakby sobie chciał coś przypomnieć.

Na téj karcie wyrysowany był koszyczek z jagodami, a poniżéj niego młoda dziewczynka, któréj ubiór i fizjognomja pokazywały, że bynajmniéj do wielkiego świata nie należała.

Pomiędzy portretami w albumie kasztelanica był to unikat pod tym względem. Dziewczynka ta jednak była bardzo piękna. Miała czoło wspaniałe, oczy tryskające ogniem, usta dumnie zaciśnięte i przepyszne włosy.

Kasztelanic jakąś chwilę zamyślił się, jak powiedzieliśmy, jakby nie pamiętał, kogo ten rysunek wyobraża. Uśmiechnął się potém z jakiémś dobrodusznêm lekceważeniem. Przypomniał sobie, widać, kto jest ta dziewczyna, i bliższe okoliczności towarzyszące przeniesieniu jéj rysów na karty tego albumu.

— To było jednak piękne dziecko! — pomyślał sobie w téj chwili. — Tylko szkoda, że jakaś dzika i straszna parafjanka!.... Ale zawsze oryginalna.... prawdziwa córka natury!...

Przyglądał się jeszcze chwilę portretowi dziewczyny, a potém przewracał kartki następne, zawsze z tąż samą spokojną i zadowolnioną miną.

Jeszcze nie przejrzał całego albumu,

gdy do pokoju wszedł lokaj i stanął przy drzwiach.

Kasztelanic może go odrazu nie spostrzegł, a może nie chciał jeszcze odrywać się od swego zajęcia, bo dopiero po chwili podniósł głowę i patrząc się na lokaja, zapytał:

— A co tam?

— Poczta — odpowiedział lokaj i zbliżył się do stolika, położył na nim spory pakiet listów.

— Dobrze — rzekł kasztelanic i zrobił skinienie ręką.

Lokaj wyszedł w téj chwili.

Kasztelanic odłożył album i wziął się do przeglądania korespondencji. Były tam listy w różnych formatach, na ordynarnym i eleganckim papierze i w różnorodnych także interesach.

Kasztelanic systematycznie, jeden po drugim jak je przyniesiono, przeglądał wszystkie. Niektóre czytał uważniéj, na inne zaledwie rzucił okiem kiwając głową, jakby się domyślał ich treści. List od księżnéj Heleny naturalnie znajdował się także między innemi.

Pozostawały może jeszcze dwie lub trzy korespondencje do przejrzenia, kiedy kasztelanic wziął do ręki jakiś mały

liścik elegancko złożony i zaadresowany ręką kobiecą. Zdziwił się, bo pisma tego zupełnie nie znał i z ciekawością list rozłożył.

List zawierał te słowa:

„Już bardzo dawno, trzy lata blisko, jak pana nie widziałam.

Przez ten czas zaszła w mojém życiu ważna zmiana: wyszłam za mąż.

Jeżeliś pan nie zapomniał o dawnéj znajomości, zapraszam go najuprzejmiéj do naszego domu. Mieszkamy obecnie bardzo blisko pana.

Wanda z Nideckich hr. Ochocka.

P. S. Wypisuję moje nazwisko w całéj rozciągłości, abyś pan wiedział, kto do ciebie pisze i kto cię zaprasza."

List datowany był z Dubna.

— Odnowienie znajomości całkiem niespodziewane! — powiedział do siebie kasztelanic odkładając list na bok — widać, że kobiety lepsze są odemnie i nie zapominają tak łatwo jak ja. Szczególne wydarzenie, że ja także o niéj dziś sobie przypomniałem.

To pomyślawszy sobie, wziął napowrót album do ręki i przypatrywał się z uwagą portretowi młodéj dziewczyny, nad

którym przed chwilą jakiś czas rozpamiętywał.

— Ładna, bardzo ładna! — mówił daléj do siebie — przypominam sobie, że oczy miała czarujące i prześliczną figurę. Teraz musiała jeszcze wypięknieć. Wyszła za mąż, a na tém młode kobiety bardzo wiele zyskują. Weszła także w wyższy świat.... Proszę, nigdybym się był tego nie spodziewał, że to dzikie stworzenie z pod słomianéj strzechy, będzie kiedyś hrabiną. Świat dla kobiet bardzo łaskawy; gdy im natura da piękność, świat im gotów dać wszystko.... Poszła za Ochockiego... Czy przypadkiem ten stary dziwak z nią się nie ożenił? Może być, starość często szaleje... dziewczyna była biedna... ot, jest i marjaż gotowy! Ale syn był bardzo przystojny chłopiec. Spotykałem ich, zdaje mi się, u starościny Wolbromskiéj coś przed dwoma laty w Warszawie.

Odłożył album, a potém dodał:

— Do Dubna mamy tylko ośm wiorst... można pojechać.

Zrobiwszy to postanowienie, kończył przegląd pozostających jeszcze listów.

Zamiast pani służąca.

Na drugi dzień po południu kasztelanic kazał zaprządz cztery konie do kocza, a w godzinę potem stanął w Dubnie przed domem, w którym mieszkali Ochoccy.

Powiedziano mu na dole, że państwa nie ma w domu, że wyjechali na spacer i niedługo powrócą.

Poszędł na pierwsze piętro, które Ochoccy od właściciela najmowali. Otworzył drzwi do przedpokoju, potem od przyległego saloniku, i jeszcze od jednego pokoju, nie spotykając nikogo.

Mieszkanie nie zrobiło na nim bardzo przyjemnego wrażenia. Na ścianach malowanie było dawne, miejscami poczerniałe, miejscami znów mocno porysowane i podrapane. Meble miały może kiedyś pretensją do elegancji, ale dzisiaj były już mocno zużyte i nadszarzane. Porządku, jaki w pokojach panował, nie można było także nazwać wzorowym.

Kasztelanic przywykły do systematyczności, posuwający zamiłowanie w porządku do pedanterji i mający gust bardzo delikatny, wielce był zgorszony tem co widział, i nie mógł pojąć, dlaczego

Ochocki zajmuje od kilku tygodni (bo o tem już na dole się dowiedział) pomieszkanie, które mogło być dobre dla mieszczanina Dubieńskiego, albo dla szlachcica na jednéj wiosce, ale nie dla wielkiego pana.

Nie spotkawszy dotąd nikogo, szedł daléj. Otworzył czwarte już z porządku drzwi i stanął na progu pokoju, który daleko korzystniéj od innych mu się przedstawił.

Na pierwszy rzut oka poznał, że to był pokój kobiecy. Czuć w nim było atmosferę buduarową; tu i owdzie na poręczach krzeseł, na kanapie leżały porzucone przedmioty do garderoby kobiecéj należące, wreszcie w jednym kącie stała wielkich rozmiarów toaleta ze zwierciadłem i innemi właściwemi jéj przyborami.

Tutaj także spostrzegł pierwszą ludzką istotę w mieszkaniu.

Przy toalecie siedziała młoda dziewczyna zajęta poprawianiem swojego stroju i włosów. Zajęciu temu oddawała się widocznie całą duszą i z wielkiem upodobaniem. Zwierciadło, w które patrzyła, odbijało w sobie jéj twarz uśmiechającą się do siebie i szczęśliwą z siebie.

Dziewczyna podobała się saméj sobie,

ale mogła się podobać także każdemu innemu. Miała drobniutką i rumianą twarzyczkę, po obu stronach dołki w pulchnych policzkach, czarne, bystre i filuternie spoglądające oczy i nosek cokolwieczek zadarty. Włosy ukryte były pod małą jedwabną chusteczką, bardzo zgrabnie zawiązaną pod brodę.

Takie chusteczki zwykle bardzo korzystnie ubierają każdą kobietę; jest w tem ubraniu wiele fantazji i malowniczości, ale najlepiéj wyglądają na małych główkach i przy oczkach, w których siedzi „mały szatanek“.

Biała jak śnieg koszula, czarny aksamitny gorsecik i suknia jasna w kwiaty, zpod któréj widać było maleńkie trzewiczki i pończoszki obciśnięte na ślicznie utoczonéj nóżce.

Kasztelanic domyślił się od razu, kogo widzi przed sobą, i my także nie widzimy potrzeby robić z tego tajemnicę, że to była Anusia, od kilku miesięcy pełniąca obowiązki garderobiany przy Wandzie.

Anusia nie spostrzegła wejścia drugiéj osoby do pokoju, i najswobodniéj w świecie robiła daléj toaletę, nucąc sobie po cichu jakąś piosnkę.

Takie chwile, gdzie pani nie ma w do-

mu, są bardzo przyjemne dla służących; wtedy choć na czas krótki one zajmują miejsce pań w domu, i biorą na siebie ich role. A ponieważ największem szczęściem pań w oczach służących, jest ich toaleta, nie dziw zatem, że i Anusia skorzystała z nadarzonéj sposobności.

Kasztelanic jakiś czas obserwował ją zdaleka, a obserwować mógł dobrze, bo widział ją ze wszystkich stron, i w zwierciadle i siedzącą przed zwierciadłem.

Co było rzeczą całkiem naturalną, — Anusia spodobała mu się; była tak zgrabna, tak kształtna, wyglądała tak wdzięcznie i dowcipnie! Dla tego to zapewne podszedł ku niéj po cichu na palcach.

Kiedy już był tuż przy niéj, Anusia podniosła w zwierciadle oczy do góry, i zobaczyła stojącego za sobą pięknego, nieznajomego mężczyznę. Zdziwiła się ale nie przestraszyła, i zostając w swojéj pozycji czekała, co on daléj zrobi.

Tym sposobem dawała mu zupełną swobodę postępowania. Mógł robić, co mu się podoba aż do punktu, w którymby Anusia uznała za stosowne stawić opór.

Kasztelanic pochylił się nad nią, tak, że mogła słyszeć jego oddech.... Ale

jeszcze go nie widziała. Objął ją wpół i wtedy dopiero, wyśliznąwszy się zręcznie z jego rąk, zerwała się szybko i w jednéj chwili stanęła o trzy kroki od niego ze spuszczonemi oczami.

— Jezus Marja!... zawołała nie mogąc tchu złapać.

— Przepraszam... uspokajał ją kasztelanic z uśmiechem.

— Jakżem się przestraszyła — mówiła daléj rumieniąc się — skąd pan się tu wziąłeś?

— Przyszedłem, tak jak wszyscy, drzwiami.

— Jak można tak niespodzianie nachodzić ludzi....

— Upewniam, nie chciałem nastraszyć. Ale proszę się nie gniewać — i kasztelanic zbliżył się znów do niéj, i wziął ją za rękę.

— Cóż, jeszcze się gniewamy?

Anusia nie podnosiła głowy i spojrzała na niego nieśmiało.

— Nie gniewam się — rzekła cicho.

— To mi się podoba.

Jedną ręką ścisnął ją za rękę, a drugą położył na jéj kibici.

— Ale mój panie, bo pan znowu zaczyna mię gniewać. Teraz się pognie-

wam na prawdę — odpowiedziała na te karesy dziewczyna i znowu zgrabnie mu się wywinęła. — Siadaj pan lepiéj i powiedz, kim jesteś, do kogo i poco przychodzisz.

— Ah, ah, moja piękna panienko, za bardzo jesteś ostra i rezolutna! A gdybym ja tego wszystkiego nie chciał powiedzieć, — gdybym ja wolał pocałować ciebie...

— O, z tego nic nie będzie....

— Na serjo?...

— Jak mamę kocham...

— Zobaczymy...

— To zobaczymy.

Anusia stojąc o kilka kroków od kasztelanica czuła się dosyć bezpieczną. — Założyła więc ręce na fartuszek i patrzyła mu w oczy z minką nawpół filuterną nawpół niewinną.

Kasztelanicowi tak bardzo znów o całus nie chodziło, ale chciał postawić na swojem. Trochę go drasnął ton rezolutny dziewczyny i jéj pewność. Poskoczył więc do niéj prędko, ale Anusia jeszcze prędzéj dała susa i stanęła za fotelem.

— Czy pana chętka jeszcze nie opuściła?.... zapytała śmiejąc się złośliwie....

— Przecież ja cię schwycę — odpowiedział kasztelanic.

— Nie tak prędko!

Zaczęła się gonitwa po pokoju. Anusia uciekała tak zręcznie, tak dobrze umiała korzystać ze stołków, stolików i innych sprzętów w pokoju zasłaniając się niemi albo przewracając je pod nogami kasztelanica, że na żaden sposób nie mógł jéj dopaść.

Oboje śmieli się jak szaleni w czasie téj gonitwy.

Nagle Anusia przestała się śmiać i stanęła jak wryta.

— Jezus Marja! — zawołała — państwo idą....

Rzeczywiście w przyległych pokojach dały się słyszeć kroki kilku nadchodzących osób.

Kasztelanic podniósł jeden stołek i usiadł na nim, Anusia podniosła drugi, cofnęła się jeszcze o kilka kroków daléj, poprawiła swoją chusteczkę, i wszelkie ślady niedawnéj utarczki zostały zatarte.

Wtedy ochłonęła z przestrachu i dobry humor jéj powrócił. Patrząc na kasztelanica z ukosa, dusiła się od śmiechu, że to pierwsze spotkanie tak niefortunnie dla niego wypadło. Kasztelanic zaś siedział z miną jak najobojętniejszą.

Drzwi się otwarły, i na progu ukazała się Wanda. Reszta przybyłych, to jest Henryk, Zawiła i kilku młodych mężczyzn zostali w przyległym pokoju.

Wanda zobaczywszy niespodzianie kasztelanica, nie mogła kroku postąpić. — Wszystka krew uderzyła jéj do głowy, oniemiała z radości, i byłaby chciała biegnąć do niego z wyciągniętemi rękami, oczy jéj wyrażały zachwycenie i szczęście nieopisane.

Kasztelanic na jéj widok powstał i powoli postępując zbliżali się oboje do siebie. Wanda podała mu rękę nie mówiąc ani słowa, a on poniósł ją do ust z wyrazem najgłębszego uszanowania.

Anusia ciągle jeszcze nie mogła się upamiętać ze swego śmiechu.

Miodowe miesiące.

Nowożeńcy nasi od dnia ślubu skazani byli na życie koczownicze. Wyrok hrabiego pozbawił ich dachu i środków do życia.

Przez kilka pierwszych dni, nie wiedząc co ze sobą począć, mieszkali w

dworku doktora. To nie mogło jednak trwać długo. Przenieśli się więc do Pobujny, jednéj z odleglejszych wiosek klucza ostrowieckiego. Był tam stary dwór niegdyś zamieszkiwany przez dzierżawców, a obecnie pusty. Henryk urządził go w krótkim czasie jak mógł najwygodniéj, i dał swojéj żonie rezydencję jeźli nie wspaniałą, to bardzo poetycznie i sielankowo wyglądającą. Stare domostwo przemieniło się w śliczne, powabne gniazdeczko, w którém miodowe miesiące młodéj pary mogły swobodnie i rozkosznie upływać.

Nie mieli przepychu ani zbytku, ale nie zbywało im téż na niczém. Rządca tego folwarku dawał pieniądze na każde zażądanie. Stary hrabia nie zakazał tego bynajmniéj, a synowi, nawet bez wyraźnego pozwolenia pana, trudno było odmawiać.

Henrykowi było wprawdzie przykro żyć w ten sposób, byłby wolał własną pracą zarabiać na utrzymanie, ale Wanda i Zawiła umieli mu wytłómaczyć, że bierze tylko to, co mu się należy, i że tylko szaleństwu hrabiego ma zawdzięczyć, jeźli nie ma tyle, ile mieć powinien. Zresztą w jaki sposób mógłby zapracować!

Zawiła od pierwszéj chwili należał nietylko do ich towarzystwa, ale do ich domu. Wiedząc, że nie może już dłużéj popasać u hrabiego, opuścił zamek z niemałym smutkiem panny Klotyldy, która jeszcze raz musiała się rozstać z nadzieją małżeństwa.

Oddawszy pewne przysługi nowożeńcom, czuł że ma prawo żyć na ich koszcie, i oczekiwać lepszéj jeszcze przyszłości, kiedy Henryk w jakikolwiek sposób przyjdzie do majątku, którego mu teraz ojciec odmawiał.

Trzeba przyznać, że stary hrabia tém, co uczynił, omylił wszelkie rachuby i przypuszczenia. Nie spodziewano się, ażeby syna wydziedziczył i swój dom przed nowożeńcami zamknął. Najmniéj czegoś podobnego spodziewała się Wanda. Wiedziała o tém, że hrabia z przyczyny samowolnego kroku syna będzie cierpieć, ale nie myślała, ażeby za to chciał się zemścić. Była tego pewną, że będzie się gniewać, że syna ze swego serca wykluczy, ale nie przeszło jéj przez myśl, ażeby go chciał zostawić bez dachu. Zdawało jéj się, że tajemny jéj związek z Henrykiem może tylko mieć złe skutki dla hrabiego, ale nie dla nich. Liczyła

na przebaczenie, na pobłażliwość nie tyle przez wzgląd na syna, ile przez wzgląd na nię. Ufała bardzo wiele w ślepą i głęboką miłość hrabiego.

Zawód jéj był przeto wielki. Hrabia pokazał się nieczułym na los jaki ją może spotkać, na cierpienie i zgryzoty, jakich z tego powodu dozna. Równocześnie wszystkie jéj nadzieje naraz runęły. Chciała dostać się na wielki świat, za granicę, do Warszawy, gdzie ciągnęły ją rozmaite zamiary i pragnienia — a na to wszystko nie było środków. Musiała osiąść w starym dworze, na wsi odciętéj od świata i ludzi.

W pierwszych chwilach pobytu w sielankowéj rezydencji nie brakowało jéj wprawdzie na towarzystwie. Historja nowożeńców nabrała wielkiego rozgłosu w okolicy. Stali się oni interesującymi jako prześladowane ofiary. Powstał wielki krzyk oburzenia na hrabiego, i niby z kondolencją a właściwie przez ciekawość i na złość nieubłaganemu ojcu, zjeżdżano się do nich ze wszystkich stron.

Wandę po największéj części po raz pierwszy wówczas widziano. Unoszono się więc nad jéj pięknością, ubolewano nad jéj losem i obrzucano ojca wyrzutami i skargami.

Ale ten zapał wkrótce ustał. Wszelkie wyjątki od reguły i wyjątkowe położenia podobają się ludziom, ale nie na długo. Lepsze towarzystwo nasyciwszy swą ciekawość i złośliwość, usunęło się od wydziedziczonych i niepobłogosławionych przez ojca małżonków, a to co pozostało, należało nie do śmietanki ale do szumowin tamtejszego towarzystwa.

Prawie bez wyjątku byli to młodzi mężczyzni, którzy oprócz kart i pijatyki nie mieli dotąd innego zajęcia i prawdopodobnie nigdy go nie mieli znaleźć. Szczególnie Zawiła przynęcał podobne indywidua, bo z niemi najlepiéj się bawił. Wanda również dosyć przychylnie patrzyła na to towarzystwo. Młodzi utracjusze i hulaki od pierwszéj zaraz chwili podnieśli na jéj cześć wielki okrzyk uwielbienia, i na każdym kroku składali jéj hołdy jako królowéj wdzięków. W braku czegoś lepszego, próżność Wandy i tém się musiała zadawalniać. Bądźjakbądź miała swoich wielbicieli i zwolenników. Nie mając dworu z lokajów za pieniądze, miała dwór z adoratorów, których płaciła uśmiechem i spojrzeniem. Więcéj téż nie ceniła ich bynajmniéj.

Stary dwór w Pobujny dziwną nieraz

z tego powodu przybierał fizjognomję. W ogóle nie wyglądał na dom familijny, ale na dom kawalerski. Wanda była jedyną kobietą w tym domu i w gronie kilkunastu, a czasem i więcéj młodych mężczyzn. Bezustanku tam grano w karty, polowano i pito. Zgiełk, hałas, wrzawa i jakiś awanturniczy nieład nie kończyły się prawie nigdy. Gdy jedni odjeżdżali, często już w bramie spotykali się z drugimi; gdy wrócono z polowania, zasiadano do kart, które nieraz dopiero w biały dzień wypadały z rąk znużonych graczy.

Henryk brał w tém wszystkiém udział. Podobne życie nie miało dla niego powabu ani interesu, i owszem budziło w nim często niesmak i przesycenie. Poświęcał się dla Wandy, która chciała koło siebie jakiegokolwiek towarzystwa i jakiéjkolwiek wrzawy; ulegał także Zawile, który swoją bezczelnością i arrogancją potrafił mu imponować. Na prawdę téż Zawiła był gospodarzem w Pobujny nie on.

Niekiedy jednak i Henryk rzucał się całą duszą w wir tego szalonego i bezmyślnego życia. Zdawało mu się, że mu to przynosi ulgę.

Od dnia swego ślubu cierpiał on więcéj niż kiedykolwiek. Czuł się na świe-

cie zupełnie osamotniony, bez współczucia i bez miłości. Czuł, że postradał serca, które dotychczas, w gronie rodziny, otaczały go przywiązaniem i czułością, a innego serca na to miejsce nie pozyskał.

Ten raj miłości, o jakim niegdyś marzył, do którego chciał się dostać z poświęceniem wszystkiego, nie spełnił jego oczekiwań, nie urzeczywistnił się. U Wandy nie znalazł téj miłości, jakiéj pragnął. Mimo to nie przestał jéj kochać równie silnie i namiętnie, jak przedtém, nie mógł nawet pojąć, ażeby to ustąpić kiedy mogło. Cierpiał więc i gryzł się, widząc w Wandzie nieukrywaną bynajmniéj obojętność, słysząc często jéj skargi i wyrzuty, na każdym kroku niemal spotykając oznaki jéj niezadowolenia.

On poświęcił dla niéj wszystko: swój los, swoją przyszłość, swój spokój, a ona to wszystko za nic uważała i czyniła mu wyrzuty o rzeczy, które nie zależały od jego woli i nie były w jego mocy.

Henryk popadł w pewien rodzaj apatycznéj rozpaczy. Zrobił się cierpkim, ponurym i zgryźliwym. Uczuwał często litość nad samym sobą i ulżywał sobie wybuchami szalonéj radości albo pieką-

cym sarkazmem. Żartował i szydził sam ze siebie i ze swych uczuć, ale gdy na ustach miał pogardę dla wszystkiego, co dotąd za święte uważał, w sercu czuł okropny ból i nieugaszone pragnienie tych uczuć i tęsknotę za tym światem, który był potrzebą jego duszy.

W namiętnéj grze i w winie znajdował czasem zapomnienie, i szkuał go w nich coraz częściéj, ale tém srożéj cierpiał, kiedy chwilowe oszołomienie minęło.

Wanda w krótkim czasie zdeptała jego delikatne serce. Postępowała z nim jak kobieta niekochająca, a to wystarczyło, ażeby znicestwić człowieka, który pragnął miłości i nią tylko żył. Nigdy jednakże nie zrobił jéj najmniejszego wyrzutu, nie poskarżył się na nic, i przyjmował wszystko z tą bierną rezygnacją, która naprzód zgadza się nawet na najgorsze, i powiadając sobie, że inaczéj być nie może, ugina głowę przed wyższą wolą.

Kto dawniéj znał Henryka, teraz nie byłby go może poznał. Ten młodzieniec o słodkim uśmiechu, o czystem i niewinnem spojrzeniu, sposępniał, spochmurniał i postarzał się o lat kilka. Świeżość zginęła z jego lic, i wyglądał jak czło-

wiek, który przeszedł ciężką chorobę albo wielkie nieszczęścia. Zniknęła także i świeżość jego duszy, jak delikatny pył kwiatu za dotknięciem się ręką. Jakaś nieczysta pomroka zaćmiła ten szlachetny umysł, a bolesne doświadczenia złamały jego lot w wyższe sfery.

Wiadomości o tem życiu awanturniczem i hulaszczem, jakie prowadzono w dworze w Pobujny dochodziły także z boku do starego hrabiego. Słuchał ich obojętnie, i ani jednem słowem nie dał poznać co o tem pomyśli. Ale jednego razu rządzca tego folwarku, który dotąd Henrykowi dostarczał pieniędzy, oświadczył mu, że hrabia stanowczo zakazał dalszego wydawania pieniędzy.

W takich okolicznościach dłuższy pobyt w Pobujny był niemożebny. Młoda para przeniosła się do Dubna i tu zaczęto żyć na weksle i rewersy. Trybu życia jednak nic niezmieniono, owszem towarzystwo bywało tu zwykle liczniejsze, odwiedziny i zabawy częstsze, długi więc wraz z ogromnemi procentami w przeciągu kilku tygodni doszły do znakomitéj sumy.

Wanda i Zawiła nic sobie z tego nie robili, będąc przekonani, że hrabia to

wszystko powinien zapłacić i bez wszelkiéj wątpliwości zapłaci.

Po kilku także tygodniach pobytu w Dubnie Wanda dowiedziała się, że kasztelanic przybył do swego majątku w tych okolicach. W skutek czego odebrał on niedługo ów list zapraszający.

Spowiedź dziewczyny w perkalikowéj sukni.

Wanda przedstawiła kasztelanica mężowi i zapoznała ich ze sobą.

Henryk był już o tem uprzedzony, że ich mogą spotkać te odwiedziny, bo z jego wiedzą Wanda napisała zaproszenie, a nim to jeszcze nastąpiło mówiła mu o kasztelanicu, jako o swoim znajomym z dawniejszych czasów.

Henryk przypomniał sobie również, że spotykał się z kasztelanicem w Warszawie, kiedy tam bawił z ojcem, i obaj uścisnęli sobie przyjaźnie dłonie.

Kasztelanic zrobił na nim dobre wrażenie. Jego gładkie maniery, delikatność i grzeczność pozyskały mu przychylność Henryka, szczególnie kiedy porównał z

nim to rubaszne towarzystwo młodych bałagułów, którymi od niejakiego czasu był prawie ciągle otoczony.

Przez kilka godzin bawiono się rozmową, w której żywszy udział brali jednak tylko Wanda, kasztelanic i Henryk. Zawiła i kilka młodych mężczyzn składających resztę towarzystwa widocznie byli w kwaśnym humorze i do konwersacji nieusposobieni. Kasztelanic nie grał w karty, i przez grzeczność dla niego nie zasiadano do zielonego stolika. Przez to popsuł im się zwyczajny porządek.

Dość już późno pożegnała najprzód Wanda towarzystwo, a wkrótce także i kasztelanic udał się do przeznaczonego dlań pokoju.

Zauważył on, że Wanda naumyślnie przeciągała do pożna rozmowę i domyślił się tak z tego jakotéż z jéj całego zachowania się, że pragnęła, ażeby tego dnia jeszcze nie odjechał. Chociaż więc wybrał się tylko na kilka godzin, dał się łatwo nakłonić uprzejmym gospodarzom do tego, że miał wyjechać dopiero nazajutrz po śniadaniu.

Skoro tylko ci „zawadzający“ się oddalili, rozjaśniły się twarze reszty gości. Wniesiono stoliki i rozpoczęto grę, ktora

nie wcześniéj jak rano miała się ukończyć. Henryk zasiadł także do stolika

Kasztelanic przyszedłszy do siebie, rzucił się na fotel, i po głowie zaczęły mu krążyć wrażenia dnia dzisiejszego.

Po trzech latach dziś znów widział Wandę. Przed trzema laty była piękną, ale dzisiaj wydawała mu się jeszcze piękniejszą. Kasztelanic nie należał do ludzi, którzyby się zaślepiali i był pewny, że spostrzeżenie jego jest jak najprawdziwsze.

Śmiało więc mógł sobie powiedzieć, że równie piękne kobiety rzadko spotykał, a piękniejszéj nigdy.

To przekonanie łechtało jego dumę. Ta kobieta albowiem sama odnawiała z nim znajomość, która nigdy długą ani tak bardzo ścisłą nie była. Ta kobieta mówiąc wyraźniéj „zaczepiała“ go.

Nie czyniła tego zapewne na próżno, dla saméj przyjemności widzenia go i pomówienia z nim kilka godzin. Musiała mieć go żywo w pamięci i w sercu.

Jeżeli tak było, a kasztelanic nie przypuszczał, ażeby się mylił, czekał go raj nowych rozkoszy.

Obraz ich na raz jeden rozlał się w kształcie powietrznego obłoku po jego

fantazji, i ani spostrzegł, jak się nim błogo rozmarzył i myślą w nim utonął.

Nagle lekkie pukanie do drzwi przebudziło go z tych marzeń.

Nie odzywał się, nie będąc pewny, czy mu się to tylko nie zdaje.

Drzwi się otwarły i pokazała się w nich Anusia z swoją figlarną minką.

Kasztelanic zerwał się z fotelu, przyskoczył do niéj i chwycił ją w pół.

— Daj pan pokój! daj pan pokój!.... Ja tu nie od siebie przychodzę — rzekła dziewczyna i złośliwie rozśmiała mu się w oczy. Moja pani prosi pana do siebie.

— A to co innego — odpowiedział kasztelanic puszczając ją.

— Rozumie się, pan pójdziesz....

— Rozumie się.

— Proszę więc za sobą. Poprowadzę pana.

Wyskoczyła szybko z pokoju, zostawiając za sobą drzwi otwarte.

Kasztelanic wyszedł za nią i zastał ją w sieni. Przez sień i przez ganek zaprowadziła go do pokoju Wandy, w którym kasztelanic już raz był w pierwszéj chwili swego przybycia. Tym razem jednak dostał się do niego innemi drzwiami.

Skoro przy drzwiach stanęli, Anusia wskazała palcem i rzekła po cichu:

— Tu — poczem znowu nagle zniknęła w ciemności.

Kasztelanic wszedł. Dwie świece na kominku stojące dosyć słabo oświecały pokój.

Naprzeciwko drzwi, siedziała Wanda na kanapie w białym pudermantlu, nieruchoma i zatopiona w myślach, z rękami skrzyżowanemi na piersiach.

Powitała kasztelanica uśmiechem. Oboje spojrzeli po sobie, i znalazłszy się sam na sam uczuli w jednéj chwili, że są dawnymi znajomymi. Skoro kasztelanic usiadł, Wanda odezwała się:

— Możemy teraz swobodnie pomówić. Jesteśmy sami i nikt nam nie przeszkodzi. Henryk gra w czwartym pokoju.

Nachyliła się trochę do niego i przypatrzyła mu się bystro w oczy:

— Czy pan jesteś szczery?

Kasztelanic się uśmiechnął:

— Niech pani o tém nie wątpi. Najprzód jestem szczery z natury, a jeśli nie do wszystkiego się przyznam, to nic nie skłamię. Potem jestem szczery jako mężczyzna. Nasze położenie tem się różni od położenia pań, że nie tak często potrze-

bujemy udawać i uciekać się do fałszu jako do najpewniejszéj broni.

— Panie — odpowiedziała Wanda — jeżeli mamy z sobą rozmawiać, wymaż pan najprzód z rejestru wad czy zalet kobiecych: fałsz. Dzisiaj bowiem w naszéj rozmowie on nie powinien odgrywać żadnéj roli.

— Uczynię według woli pani — odpowiedział kasztelanic uroczyście pochylając głowę.

Wanda podała mu rękę:

— Będziemy zatem mówić szczerze i po przyjacielsku?....

— Zgoda.

— Czy pan kiedy myślałeś o mnie? rzekła po chwili ze wzruszeniem, które starała się ukryć.

— Myślałem nieraz o pani — odpowiedział kasztelanic stanowczym tonem.

Według jego teorji o prawdomowności, nie kłamał. W ostatnim razie mógł się powołać na wczorajsze swoje rozpamiętywanie nad portretem Wandy.

Ona spojrzała na niego z tkliwością. Spojrzeniem tém wyrażała mu swoją wdzięczność. Potém zaczęła mówić powoli, cichym i drżącym głosem:

— Przypominasz sobie pan naszą znajomość przed trzema laty. Zobaczyłam pana po raz pierwszy w kościele. Potém nieraz pana tam widywałam, a późniéj także spotykaliśmy się w lesie. Pan wychodziłeś tam z sąsiedniéj wsi na polowanie albo na przechadzkę; ja pierwszy raz poszłam w tamto miejsce zbierać jagody, bez żadnéj innéj myśli; późniéj przychodziłam dla tego, że ciebie spodziewałam się tam zastać. Najczęściéj zastawałam w istocie, i to cieszyło mię niezmiernie, bo mi się zdawało, że dla mnie tam przychodzisz...

— W rzeczy saméj, nie inaczéj było — przerwał kasztelanic z lekkim uśmiechem.

— Nie uwierzysz pan, jak wspomnienie tych chwil jest dla mnie roskoszne. Najmniejsze wydarzenie z tych czasów wyryło mi się głęboko w pamięci. Przypominam sobie, jak wielka była moja radość, kiedy odrysowałeś mój koszyczek z jagodami. Byłam szczęśliwą i dumną z tego, że coś, co do mnie należało, pójdzie z tobą do twego domu i ciągle będzie przy tobie. Kiedy potém mnie samę odrysowałeś, byłam zachwycona, zdawało mi się, że żadna kobieta nie odniosła podobnego tryumfu, płakałam z radości i

chciałam umrzeć... tak wielkie było moje szczęście!

Podczas gdy Wanda z wzrastającym zapałem kreśliła obraz swoich wspomnień, kasztelanic przypominał sobie także owe czasy, i mimowolnie stanął mu na pamięci wielki zawód, jakiego wówczas doznał. Przez pół roku bawił bowiem w sąsiedztwie Niemiryczów u choréj swojéj ciotki w nadziei rychłéj po niéj sukcesji. Po sześciu miesiącach ciotka ozdrowiała, kasztelanic odjechał; niedługo zachorowała powtórnie, w kilka dni umarła i komu innemu majątek zapisała.

— A jednak — mówiła daléj Wanda po krótkiéj chwili wytchnienia — przypominasz pan sobie, że ja pierwsza zerwałam naszą znajomość i przestałam się z tobą widywać. Wiesz pan, dla czego to zrobiłam?

Kasztelanic potrząsnął głową:

— Nie. Domyśliwałem się tylko, że ktoś, co się o tém dowiedział, zakazał pani.

— Myliłeś się pan, ja sama sobie zakazałam, bom poznała, że źle czynię...

— Źle?... nasza znajomość była bardzo niewinna, nie uczyniłaś pani nic, coby można złém nazwać...

— Ale pan chciałeś to uczynić. Czułam, że ja kocham, a pan mnie nie kochałeś...

— Jednak...

— Daj pan pokój. Ekskuzy tu zbyteczne, zwłaszcza że ja pana o to nie obwiniam. Robiłeś tak, jak mogłeś, jak musiałeś. Czy mogłeś mię prawdziwie kochać? Nie... i to nie było twoją winą. Jak mogłeś kochać — ty człowiek z wielkiego świata — prostą wiejską dziewczynę w perkalikowéj sukni, z włosami niedbale zaczesanemi, która nie mogła ciebie zrozumieć i która swoich myśli i uczuć nie umiała zrozumiale dla ciebie wyrazić? To być nie mogło. Więc chciałeś się mną bawić, chciałeś mnie uwieść

Kasztelanic był w kłopocie. Chciał się usprawiedliwić, ale Wanda żywo mu przerwała:

— Ja pana nie oskarżam o to!... Cóż mogłeś więcéj ze mną wtenczas zrobić? czy ja byłam zdolna na serjo zająć twoje serce?... Ale pomimo to czułam się wtedy obrażoną... płakałam nad swoją niskością i powiedziałam sobie, że wtenczas cię chyba znowu zobaczę, kiedy będę mogła zażądać od ciebie w zamian wszystkich tych uczuć, które we mnie obu-

dziłeś. Nie chciałam ci się poddać, choć całem sercem byłam ci oddana, bo ty nie dawałeś mi serca... Wolałam cierpieć, niż czuć się upokorzoną!.. Poniżenie moje byłoby tém większe, że byłam mocno przekonaną, iż wszystko złe pochodzi tylko z méj winy. Widziałam, że byłbyś mnie kochał, gdybym była zdolna rozbudzić w tobie uczucie. Podobałam ci się, ale to była zasługa natury, mojéj twarzy; miałeś dla mnie niejaką przyjaźń, byłeś dla mnie uprzejmy i pobłażliwy, a to zawdzięczałam znowu poczęści niektórym moim wrodzonym przymiotom, poczęści zaś twojéj dobroci. Wszystko więc, na co stać mię było, pozyskałam od ciebie... tylko miłości twojéj nie miałam czém sobie zjednać.

Na chwilę przestała mówić i oczy spuściła w ziemię. Chciała się uspokoić.

Kasztelanic przypatrywał jéj się tymczasem i wydawała mu się zachwycającą. Wzruszenie wywołało żywy rumieniec na jéj twarz alabastrową, a koronki pudermantlu chwiały się jak liście, poruszane szybkiem podnoszeniem się i opadaniem jéj łona.

Trzeba przyznać słuszność kasztelanicowi.

Kobieta wzruszona — to jeden z najpiękniejszych widoków na świecie.

— To był najgłówniejszy powód mojego usunięcia się — mówiła znowu daléj Wanda głosem stłumionym. — Potém rozważyłam bliżéj wszystkie okoliczności i położenie stron obu. Wiedziałam, że nietylko ze mną, ale z żadną kobietą nie możesz się żenić. Mogłam więc być tylko twoją metressą... Nigdy, nigdy, nie byłabym na to pozwoliła, nie dlatego, abym się obawiała opinji ludzkiéj, ale dlatego, ażeby nie upaść w oczach własnych. Gdybym była bogatą, mogłabym być twoją kochanką... Pojechałabym za tobą w świat, byłabym zawsze i wszędzie przy tobie... To dobrze!... Ale byłam biedną, musiałabym brać od ciebie pieniądze, sprzedawać się tobie!... Jabym wiedziała, ża tego nie czynię; ale tak myślałby cały świat, tak i tybyś zapewne myślał. Każda chwila mojéj miłości wydawałaby ci się kupioną, byłbyś pewien, że dlatego tylko cię pokochałam, że dlatego udawałam miłość, aby się narzucić człowiekowi z imieniem i majątkiem, i choć nie bez hańby wyrwać się ze swego niskiego stanu...

Gdyby cały świat był tak myślał, by-

łoby mi obojętnie, ale byłam przekonana, że i ty myślałbyś tak samo!

W cóżby się była obróciła moja miłość?...

Otrzymać w zamian za nią twoją pogardę — tego nie byłabym przeniosła...

Powstała i kilka razy w milczeniu przeszła po pokoju powolnym krokiem. Jéj wspaniała postać, w miarę zbliżania się lub oddalania od światła, raz mocniéj oświecona, to znowu niknąca w cieniu, wydawała się kasztelanicowi jakiémś zjawiskiem z Olympu, przedzierającém się przez obłok albo też niknącém w nim.

Pomimo całéj swojéj trzeźwości umysł jego się rozmarzył.

Nareszcie Wanda zatrzymała się i stanęła nad nim.

— To, co mówiłam — odezwała się cichym i spokojnym głosem — było spowiedzią owéj dziewczyny w perkalikowéj sukience. Jak się panu zdaje, czy ta dziewczyna dobrze postąpiła?

— Ta dziewczyna postąpiła bardzo szlachetnie — odpowiedział poważnym tonem, który pokazywał, że czuł to, co mówił.

Wanda chwyciła go za rękę. Kasztelanic powstał.

— Eustachy! — odezwała się zmienionym nagle i wzruszonym głosem — ja ciebie dzisiaj kocham tak jak wtenczas... Kochałam cię zawsze... myślałam zawsze o tém, ażeby wcześniéj czy później zbliżyć się do ciebie... Wyszłam za mąż, nie kochając tego człowieka, będąc pewna, że nigdy go nie pokocham... w tym celu jedynie, że on mi da imie, majątek i wszystko, co mię zbliży do ciebie, co mię wprowadzić może do twego świata... Dziś jestem równą tobie kobietą... świat nas nie przedziela, dzisiaj nie mógłbyś powiedzieć, że wyrachowanie mną kieruje, bo od ciebie nie potrzebuję nic żądać, a wszystko, cobym uczyniła, byłoby dobrowolném darem mojego serca... W méj miłości dzisiaj nie mógłbyś innéj podejrzywać sprężyny, prócz uczucia.... Dziś także ja mogłabym od ciebie żądać tyle, ile ja ze siebie daję, całego twego serca, wszystkich twych uczuć....

Nagle urwała, a po chwili rzekła jakimś cierpkim tonem:

— Ale ty może kochasz kogo?.. jestem nierozsądna...

Spuściła głowę, pochylając ją lekko na bok.

Kasztelanic ukląkł na jedno kolano, i ściskając jéj rękę w swych dłoniach, odezwał się z zapałem:

— Nie, Wando, moje serce jest wolne!.. Ale źle mówię... od lat trzech należy ono do ciebie... Choć mię tak surowo osądziłaś, byłem i jestem zawsze pod urokiem twych czarów i czuję, że mogę cię kochać najgorętszą w świecie miłością... Jesteś przecudowna, zachwycająca, boska... przed chwilą wpatrując się w ciebie, mniemałem, że widzę jakieś nadziemskie zjawisko... Jestem oczarowany tobą.... uwielbiam cię... kocham...

Czy kasztelanic mówił prawdę, czy kłamał?

Mówił prawdę, wyznawał szczerze, co czuł w chwili obecnéj. O księżnie Helenie zapomniał, a jeśli pamiętał, to w téj chwili pewnie wyrugował ją ze swego serca. Nie wynikało z tego bynajmniéj, ażeby świeży urok po niejakim, może bardzo krótkim czasie, znowu nie zniknął; ale gdy to mówił, był i czuł się pod jego wpływem.

Kto ma serce tak wrażliwe, może wiecznie z prawdą się mijać, a nigdy nie być o fałsz oskarżony.

Wanda pochyliła się nad nim. Z jéj

oczu spadały powoli ciężkie łzy jak perły. On jednę jéj rękę przyciskał do piersi, drugą obsypywał pocałunkami. Wanda drżała na całém ciele, czuła się bliską omdlenia.

W pokoju zrobiła się cisza, którą przerywał tylko ciężki, przyspieszony oddech Wandy.

Uczucie przez długi czas tłumione wylało się nagle i gwałtownie. Wanda pomimo téj silnéj woli, któréj nie mało w sobie miała, nie spostrzegła, jak się dała unieść jego prądowi... prędzéj i daléj aniżeli sama chciała...

Interwencja trzeciéj osoby.

W téj niebezpiecznéj chwili za drzwiami, które łączyły buduar z innemi pokojami, odezwało się głucho kaszlnięcie raz i drugi.

Wanda wzdrygnęła się i cofnęła krok.

Na drzwiach wisiała gruba portjera, co zapewne sprawiało, że kaszlnięcie tylko niewyraźnie słyszeć było można w buduarze, kasztelanic jednak poznał głos Anusi, i domyślił się, że to jest ostrze-

żenie. Powstał prędko, pocałował drżącą rękę Wandy, i pożegnawszy się z nią spojrzeniem pełném uczucia, wyszedł z pokoju.

Zaledwie wydostał się z sionki na ganek, zabiegła mu z drugiéj strony Anusia.

— Przerwałam panu — rzekła złośliwie.

— To był mąż?... — zapytał kasztelanic.

— Nie.

— Któż więc?

— Nikt. To ja sobie tak zrobiłam...

— Filutka jesteś!... a to dlaczego?

— Znudziło mi się tak długo wartować przy drzwiach. Myślisz pan, że to tak zabawne? Postawiłabym pana raz na czatach, tobyś zobaczył...

— No proszę, to ty jak widzę, bardzo nie lubisz się fatygować — odpowiedział kasztelanic i wziął ją za rękę.

— Nie lubię. A przytém...

— Cóż jeszcze więcéj?

— Gniewało mię to, że pan tam tak długo siedzi... Choć panu może było bardzo przyjemnie... — dodała z przekąsem.

— To cię gniewało?... a z jakiéj racji?...

— No tak, to mnie gniewało i dosyć...

— Muszę cię za to ukarać... — i kasztelanic przyciągał ją do siebie jakby ją chciał pocałować, ale Anusia wyrwała mu się jeszcze prędzéj, i będąc już o kilka kroków od niego ukłoniła mu się nisko i powiedziała ze śmiechem:

— Dobranoc!

Kasztelanic po tém niespodzianém *intermezzo* przyszedłszy do siebie, powrócił do przerwanéj akcji głównego dramatu, i na temat wrażeń odebranych u Wandy snuł sobie bardzo piękne sceny, dopóki nie zasnął.

Wanda po jego wyjściu, jak się możemy domyślić, napróżno przez chwilę oczekiwała przybycia Henryka, które zapowiadało kaszlnięcie Anusi, stojącéj według jéj rozkazu w przyległym pokoju na czatach.

Widząc, że nikt nie przychodzi, odsunęła portjerę, która wisiała na drzwiach, otworzyła drzwi i zajrzała do przyległego pokoju. Pokój ten nie był oświetlony, ale mogła widzieć, że nie ma w nim nikogo nawet i Anusi. Zdziwiła się, wzruszyła ramionami i wróciła do siebie.

W duszy jednak była wdzięczną Anusi czy téż przypadkowi za niespodziane

przerwanie tego sam na sam. Przyszedłszy do przytomności, poznała dopiero, jak groźném i niebezpieczném było jéj położenie. Przypomniała sobie, że utraciła moc nad sobą, że była prawie bez przytomności.

Wzdrygnęła się na tę myśl. Jéj duma i poczucie swéj godności obudziły się... Jakże nisko mogła była upaść w oczach tego człowieka, i może jednym krokiem narazić cały swój dalszy stosunek na to, że byłby ciągle pospolity i plugawy...

Pragnęła wypić czarę miłości aż do dna, ale chciała ją pić tak jak bogowie piją nektar, nie zaś jak pijacy gorzałkę. Chciała przejść całą skalę uczucia, we wszystkich jego tonach i odcieniach, zanimby wstąpiła na ten szczyt albo zeszła do téj głębiny, gdzie już nie pozostaje nic do życzenia i gdzie się traci już nadzieję otrzymania czegoś więcéj...

Ten gwałtowny skok, który mogła była uczynić mimowiednie, wbrew swéj woli, przestraszył ją więc i przeraził...

Ostrzeżenie Anusi lubo zawczesne, i jak wiemy dane bez żadnego powodu, pokazało się jednakże i z innego względu bardzo pożyteczném i potrzebném.

W kilka minut bowiem po wyjściu ka-

sztelanica, kiedy Wanda jeszcze wzruszona, z okiem rozpłomienioném chodziła szybkim krokiem tam i napowrót po pokoju, wszedł do niéj niespodzianie Henryk blady i jakby zmęczony.

— Jeszcze nie spisz?.. jeszcześ ubrana?.. — zapytał zdziwiony, bo było już więcéj niż dwie godziny temu jak się rozeszli.

— Nie — odpowiedziała krótko Wanda, ale Henryk poznał, że głos jéj drży.

— Czy ci się co stało?.. czy tu co zaszło?.. — zapytał znowu nawpół z obawą, nawpół z troskliwością, i przypatrzył się bystro Wandzie, która właśnie koło światła przechodziła.

— Ależ nic bynajmniéj!.. Jesteś dziecinny z twojemi pytaniami.

Wziął ją za rękę. Ręka ta drżała. Uśmiechnął się gorzko, z rezygnacją, jakby chciał powiedzieć, że wie, że Wanda nie mówi prawdy, ale musi poprzestać na jéj tłómaczeniu.

Prawdziwy powód ani mu przez myśl nie przeszedł. Domyślał się jakiéjś niepomyślnéj wiadomości, jakiegoś zmartwienia lub kłopotu, i choć do nieufności Wandy był przyzwyczajony, bolała go ona zawsze.

— Ale ty skąd się tu wziąłeś? Czyście już skończyli grać? — zapytała Wanda, odzyskawszy zimną krew na chwilę.

— Przyszedłem cię prosić o pieniądze.

— Przegrałeś?

— Przegrałem wszystko com miał. W połowie gry nie mogę odstępować — odpowiedział, jakby się przed nią usprawiedliwiał ze swéj przegranéj i ze swéj namiętności.

— Dobrze — rzekła Wanda najobojętniéj w świecie.

Zbliżyła się do biórka, wyjęła rulon dukatów — ostatni, który jeszcze był w domu — i podała go Henrykowi.

Z tą samą obojętnością byłaby mu dała krocie na stracenie, aby ją tylko jak najprędzéj opuścił i zostawił samę ze swemi myślami...

Na drugi dzień, ubierając panią, Anusia usprawiedliwiała się ze swego postępku. Mówiła, że jéj się zdawało, że pan nadchodzi, albo raczéj że szedł z pewnością do pani, tylko musiał się wrócić. Ona sama zaś, dopełniwszy polecenia, uciekła coprędzéj.

Wanda od pierwszéj chwili, jak wiemy, nie gniewała się na nię o to, i całemu także jéj opowiadaniu zupełnie u-

wierzyła. Przecież niedługo potém Henryk w istocie do niéj przyszedł.

Filuci mają szczęście, ale filutki jeszcze większe.

Lew zraniony.

Na zamku Belmont tymczasem było pusto i głucho — jeszcze więcej niż przedtém.

Stary hrabia zamknął się przed ludźmi i cofnął od świata zupełnie. W zamku z obcych ludzi nikt nie bywał; najczęściejsi goście, państwo konsyljarstwo, jak się można domyślać, zaprzestali także od szlubu Henryka odwiedzać zamek. Nawet oficjaliści rzadko się tam pokazywali. Hrabia, dawniéj bardzo czynny i akuratny w interesach, przestał się niemi prawie zajmować. Ludzie robili sami co chcieli, a że więcéj na świecie niepoczciwych niż szlachetnych, więc majątek cierpiał na tém niemało.

Po całych dniach hrabia się nie pokazywał, nie widziano go w szkółkach i szpitalach jak dawniéj, zaprzestał odwiedzać wieśniaków po ich chatach, nie jeździł po folwarkach i polach, aby doglądać gospodarstwa.

Z początku wieśniacy jak przedtém przychodzili do zamku po radę, po pociechę, z zaproszeniem na chrzciny lub pogrzeb — i dziwili się nie mało, że hrabia widzieć się z nimi nie chciał, i z niczém odprawiał. Powoli przyzwyczaili się do tego i przestali zaglądać do zamku.

Ale on czyliż mógł im dawać rady, gdy sam nie mógł sobie poradzić, czy mógł ich cieszyć, gdy sam pociechy potrzebował, albo się weselić, gdy był smutny i zbolały?

Hrabia zrobił się na wszystko obojętny: na własne interesa i na dobro innych. W szczęściu tylko źli ludzie robią się egoistami, nieszczęście zmusza do tego każdego.

I on téż całą duszę utopił w swojém cierpieniu; oprócz tego, nic go na świecie nie obchodziło. Ono pochłonęło w siebie wszystkie siły jego życia, i stało się odtąd jedyném jego życiem.

Hrabia mówił prawdę, powiadając kiedyś Wandzie, że jedyną przyczyną jego gniewu było nieposłuszeństwo syna. Przynajmniéj ono samo byłoby wystarczyło, aby go skłonić do kroku, który uczynił, i aby go napełnić niczém nieuleczoną

boleścią. Według jego wyobrażeń było to przestępstwo tak wielkie, że zasługiwało na podobną karę, i musiało rozerwać wszelkie nietylko serdeczne związki między ojcem a dzieckiem.

Nieszczęśliwy zbieg okoliczności chciał, że niewdzięczny i nieposłuszny syn był także rywalem... Hrabia byłby mu to zapewne przebaczył, gdyby nie był przekonany, że syn kochając tęż samę co i on osobę, dążył do celu swych życzeń z największą świadomością, ile cierpień jego szczęście będzie kosztować ojca.

Tego nie mógł darować synowi. Ile razy pomyślał o nim, stawał mu zaraz przed oczami obraz, jak ten syn w cichości układa swoje plany, tajemnie widuje się ze swoją kochanką, rozmawia z nią i pieści się, cieszy się w duszy, że podszedł czujność ojca, śmieje się z niego, że go oszukał, i tryumfuje, że był zręczniejszym i szczęśliwszym od niego, a przytém wié i czuje, że gdyby ojciec o tém się dowiedział, sprawiłoby mu to straszną boleść, a jak kiedyś o tém się dowie, będzie to ostatnia chwila jego szczęścia.

Ten syn kupujący swoje szczęście za cierpienia ojca, wydawał mu się wyrod-

kiem natury — napełniał go przerażeniem, zgrozą i rozpaczą. Nie mógł pojąć podobnéj istoty i myśl o niéj mózg mu wysuszała.

Co zaś uczuwał dla Wandy?... To, co czuje zawsze człowiek, który mocno kocha, dla kobiety, która go zwiedzie. Widział w niéj kobietę przewrotną, fałszywą, złą, zepsutą; wydawała mu się istotą tak nędzną, że niegodną była iskierki uczucia; pogardzał nią i dziwił się sam sobie, jak mógł nie poznać w niéj tak nikczemnéj duszy; nienawidził ją, jako tę, która była przyczyną jego nieszczęścia i boleści — ale z tém wszystkiém nie mógł o niéj zapomnieć, kochał ją.

Ze wszystkich myśli, które mu o niéj przychodziły, jedna była dla niego najnieznośniejszą, najcięższą, to jest ta, że Wanda jest szczęśliwa, że się bawi, śmieje i używa wszelkich przyjemności życia i miłości... Wydawało mu się to wielką niesprawiedliwością losu, bo równocześnie on cierpiał, rozpaczał i w życiu widział tylko nicość....

Byłoby mu sprawiło wielką radość, gdyby ją zobaczył wybladłą i ze łzami w oczach, byłby się cieszył, gdyby się

dowiedział, że jéj serce dotknął także jakiś cios...

Wtedy byłby jéj zapewne przebaczył to złe, które ona mu wyrządziła.

Tak więc zawiedziona miłość, gniew, obraza, żal rodzicielski, upokorzenie i tęsknota trawiły naprzemian jego serce.

Całemi godzinami siadywał w swoim samotnym pokoju, nieruchomy i jakby martwy, wodząc błędném spojrzeniem po ścianach, albo utkwiwszy wzrok bez myśli w jeden punkt. Czego dawniéj nigdy nie czynił, teraz zawsze zamykał się na klucz, nawet we dnie. Gdy kto przypadkiem nadszedł, nie zawsze hrabia spostrzegł jego wejście; często długo trzeba było się do niego odzywać, zanim odpowiedział jedném słowem. Zdarzało się także, że podobna natrętność wprawiała go w szalony gniew; wtedy hrabia, nagle z swych dumań przebudzony, rzucał się, krzyczał głośno i zaciskał pięście... Po krótkiéj chwili przepraszał potém, jeżeli przybyły, jeszcze wcześniéj, przeląkłszy się, nie uciekł.

Hrabia w istocie wyglądał wtedy przerażająco. Wybladła i wychudła twarz jego zieleniała, a głęboko zapadło oczy martwe i bezmyślne, rozszerzały się i jak

nagle otworzony piec hutniczy, rzucały ze siebie strugami płomienia.

Niekiedy przez całą dobę nie było hrabiego u siebie; gdzie wtedy był, nie wiedziano.

Nie dziw, że jeżeli przedtém uchodził powszechnie za dziwaka, teraz nazywano go szaleńcem.

I my musimy przyznać, że nawet w najspokojniejszych chwilach jego życia było coś anormalnego w ustroju duchowym tego człowieka. Z wyobrażeniami ogólnemi, przyjętemi za normę w życiu towarzyskiém i społeczném, on się nie zgadzał. Zamiast rzeczywistości, miał zawsze przed oczami ideały, zamiast codziennego życia, życie takie, jakie w najszczytniejszych przykładach przedstawiały mu dzieje. Przykłady te brał on z rozmaitych wieków i narodów: z starego testamentu i z pierwszych wieków chrześćjaństwa, ze starożytnego Rzymu i Grecji, jak i z ksiąg Russa i Fenelona. Pragnął widzieć na świecie prostotę i czystą religję patrjarchów, surowość i gorący patrjotyzm Rzymian i Spartan, wolność ateńską i społeczeństwo urządzone według zasad społecznego kontraktu.

Mieszając tak rozmaite epoki, nie po-

pełniał jednak anachronizmu i jego zasady z różnych źródeł czerpane nie sprzeciwiały się sobie nawzajem. W jego umyśle godziły się one wszystkie, tak, jak w gruncie rzeczy, choć pod rozmaitą formą i różnemi drogami, dążą one do jednego celu. Przecież wszyscy ci jego wielcy nauczyciele, wszystkie szlachetniejsze umysły, które wyżéj się wznosiły w jakimkolwiek żyli czasie, mieli zawsze na oku tylko jedno: prawdę i podniesienie ludzkości.

To łączy Mojżesza z Konfucjuszem, Sokratesa z Russem, twórcę Joba z Dantem.

Hrabia chciał sobie stworzyć taki świat na wzór tych przykładów przynajmniéj w swoim domu, w obrębie swojego wpływu i władzy. Utworzył go więc i to nietylko wprowadzając do niego zasady i wyobrażenia, które w minionych wiekach uwielbiał, ale także ich zwyczaje i formy tamtejszego życia.

Rozumie się, że ta strona formalna musiała nawet wziąć górę i przeważyć ducha rzeczy. Ci, którzy naśladowali hrabiego, którzy naginali się do jego woli lub rozkazu, nie mieli tych pojęć co on, o tém, czego on chciał, nie mieli wyo-

brażenia. Z kogóż bowiem mógł on utworzyć ten swój świat patrjarchalny i postępowy zarazem? Z oficjalistów, służących i wieśniaków. Wszyscy ci ludzie wzrośli w innych pojęciach i zwyczajach, a ich prosty umysł nie mógł zrozumieć tego, czego pragnął hrabia; widział tylko formy i symbole, które on mu kładł przed oczy i nie domyślał się nic już więcéj poza niemi.

Hrabia był prorokiem, którego rzesze nie rozumiały, po największéj części z jego własnéj winy, bo się do ich pojęć nie zniżył i nie zbliżył. Był reformatorem, który myśląc o wielkich i pięknych rzeczach, zanadto także zwracał uwagę na błahe i powierzchowne. Dlatego ten jego świat ze swemi zwyczajami i obyczajami wyglądał często fantastycznie i dziwacznie, tak jak jego twórca, który odczuwał wszystko co szlachetne i dobre, ale nie miał dość mocnéj głowy, aby w swoich zasadach nie przesadzić i umieć je zastosować do czasu i okoliczności.

Dodajmy do tego, że serce hrabiego stawało często w sprzeczności z jego głową. Serce to z natury było dobre i szlachetne, ale także niekiedy gwałtowne,

popędliwe i kapryśne. Ze spokojem i umiarkowaniem filozofa staczała z nim nieraz walkę krewkość dawnego szlachcica polskiego, wybryki fantazji, jakieś przesądy lub urojenia, odziedziczone z tradycji, odnosiły często górę nad zasadami, które zaczerpnął z ksiąg i mądrości dawnych wieków. Był to wychowaniec Russa, zaszczepiony na potomku sejmikowiczów i tych, których znakomity jeden nasz historyk tak trafnie nazwał „królewiętami polskimi.“ Z pod jego rzymskiéj togi, spokojnie się drapującéj, wyglądała często zamaszystość i rzutkość szlachecka.

Druga połowa XVIII wieku, w któréj hrabia wyrósł i wychował się, natworzyła u nas dosyć takich dwustronnych, dwulicowych charakterów, będących mięszaniną rozumu i dziwactwa, wielkich cnót i dziecinnych przywar, szczytności i śmieszności. Wielkie przewroty polityczne oddziaływały także na umysły, nagłe kataklizmy spadały na nich jak pioruny i albo zabijały w nich moralną istotę, albo téż ogłuszały ich i odurzały. To co się działo, wydawało się niejednemu niepodobieństwem, przechodziło jego wiarę i taki człowiek albo nie uznawał czynów

spełnionych, albo też jak hrabia cofał się z pośrodka tego rozbitego społeczeństwa i łudził się tą nadzieją, że w swojéj włości albo na swoim zamku założy sobie oddzielną rzeczpospolitą, która nie będzie potrzebowała uznawać innych praw i zwierzchności, oprócz jego własnych.

O ile podobne usiłowania nie wychodziły z zakresu urojenia i fantazji i istniejącemu porządkowi w niczém nie zagrażały, tolerowano je, zwłaszcza, że w owych czasach, przy końcu przeszłego, a w początkach obecnego stulecia uwaga rządów na ważniejsze była zwróconą rzeczy.

Zbrodnie anielskie.

Oprócz hrabiego była w zamku Belmont jeszcze jedna istota równie samotna i równie cierpiąca — Julja.

W ostatnich dniach przed ślubem Henryka powzięła ona postanowienie przenieść się do brata, skoro się tylko ożeni. i przy nim zamieszkać. Pobyt w zamku z powodów nam już znajomych stał się dla niéj przykry i bolesny. Tutaj wszystko zdawało jéj się przypominać matkę i

tutaj także żył ojciec, dla którego nie wiedziała, czém ma być teraz, czy córką, czy obcą osobą, bo czuła, że miłość dla niego gaśnie w jéj sercu.

Ten zamiar spełzł na niczém. Wanda oparła mu się stanowczo. Nie chciała mieć przy swym boku Julji, któréj nie lubiła i która (jak się Wandzie przynajmniéj wydawało) mogła się mięszać w jéj sprawy i kontrolować je.

Julja została więc w domu. Z pewną radością spostrzegła ona, od pierwszéj chwili po ślubie Henryka, że ojciec o niéj zupełnie zapomniał. W istocie stary hrabia oddał ją pod opiekę Małgorzaty, czując, że jak wszystko tak i córka dla niego zobojętniała.

Odtąd córka i ojciec bardzo rzadko się widywali, a rozmowy ich były bardzo krótkie i obojętne.

Hrabią jakby odurzony swojem cierpieniem nie spostrzegał, że jak w nim tak i w córce zaszła ogromna zmiana.

Julja męczyła się tymczasem i gryzła nieszczęściami rodziny. Jakkolwiek czuła, że nie kocha już ojca, miała jednak litość dla starca, który widocznie złamany był i upadał pod ciężkiém brzemieniem. Bolała także nad losem Henryka, naj-

przód kiedy opuszczał dom rodzinny z przekleństwem ojcowskiém, potém kiedy słyszała o jego tułactwie i życiu awanturniczém. Z tego wszystkiego domyślała się, że nie jest szczęśliwy, że Wanda go nie kocha, i że jego nieporządne życie w hulaszczém towarzystwie jest tylko skutkiem rezygnacji i rozpaczy.

Ale więcéj jeszcze dręczyła się Julja wyrzutami własnego sumienia.

Ta niewinna dusza nie miała chwili spokoju, będąc przekonana, że w myślach swoich popełnia co dzień, co godzina wielką zbrodnię.

Cóż było tą zbrodnią? Ta myśl, że ojciec jéj jest wielkim grzesznikiem.

Do tego rezultatu doszła ona rozbierając jego postępki i czyny. Miłość jego dla Wandy rozwiała najprzód tę aureolę majestatu i świętości, jaką był w jéj oczach odziany. Śmierć Jewdokima, śmierć matki, postawiły go niżéj od najniższego z śmiertelników... Julja, ile razy o tém pomyślała, wzdrygała się z oburzenia i zgrozy, że człowiek, który to popełnił, może być jéj ojcem. Nie chciała takiego ojca, gdyby była mogła, byłaby go się wyparła. Ten człowiek był winien tych

dwóch śmierci... nie chciała powiedzieć tych dwóch zbrodni!..

To co ojciec uczynił z Henrykiem, dorzuciło jeszcze nowy ciężar na szalę jego win.

Julja byłaby chciała, ażeby był przebaczył. Wyobrażała sobie, że powinien to uczynić; spodziewała się, że to uczyni. Tymczasem on potępił syna, a potępienie to czém było? Dowodem zawziętości nie ludzkiéj, nie ojcowskiéj; dowodem zaślepienia się i zabrnięcia w niegodną jego wieku i stanu namiętność.

Julja dowiadywała się zawsze skąd mogła bardzo troskliwie o los Henryka, a niepomyślne wiadomości, jakie ją dochodziły, powiększały także jéj żal do ojca i zwiększały liczbę jego win. Jeżeli Henryk zmarnuje swoją młodość i życie, jeżeli puści się na bezdroża, cóż go na tę drogę najprzód wprowadziło, czyjąż to będzie winą?

Znowu tego ojca, który wypędził go zpod swego dachu, skazał na życie tułacze bez jutra i napełnił zgryzotą i rozpaczą.

Tak, nieinaczéj, ten człowiek wiele popełnił grzechów, wiele nieszczęść ludzkich miał na sumieniu.

Ale skoro Julja do tego przekonania przyszła, wzdrygnęła się przed jego okropnością... Dziecko sądzi sprawy swojego ojca, oblicza jego grzechy, dopatruje plam na jego sumieniu...

Coś podobnego wydawało się jéj największém bluźnierstwem, sponiewieraniem wszelkiéj świętości, niesłychaną na ziemi zbrodnią.

Sumienie wyrzucało jéj tę zbrodnię, ale myśli bluźniercze i bezbożne powracały ciągle.

Zaczęła się w jéj duszy straszna walka, przechodziła przez okropne katusze.

Cały świat wydawał jéj się stekiem zbrodni, a własne serce kałem i naczyniem szatana. Swiat jéj obmierzł, a samą sobą się brzydziła.

O tych jéj walkach i cierpieniach nikt nie wiedział. Z wyjątkiem staréj Małgorzaty nie miałaby téż przed kim się wynurzyć. Ale nie byłaby tego nigdy i przed nikim uczyniła. To wszystko, co jéj sprawiało boleść, wydawało jéj się tak szpetne i tak okropne, że uczuwała wstyd, że drżała ze zgrozy na samą myśl, ażeby jakie oko ludzkie zajrzało do téj otchłani w jéj sercu, w któréj to wszystko spoczywało.

Ulgi potrzebowała jednak koniecznie. Modliła się, ale to nie pomagało. W modlitwie słyszała znowu tylko samą siebie; jakkolwiek chciała się duchem podnieść do Boga, oderwać od trapiących ją myśli, z głębi jéj duszy odzywały się zawsze też same głosy przerażające ją i sprawiające katusze.

Nie słyszała nikogo zresztą obok siebie, ktoby ją pocieszył, ktoby jéj dał radę. Pewnego dnia przyszła jéj myśl, że jest jeszcze jedna pociecha — przy konfesjonale, z ust kapłana.

Zasady religijne, jakie miała, były w nią wpojone przez ojca, i od zwykłych zasad katechizmu pod niejednym względem się różniły. Julja bardzo rzadko modliła się w kościele, praktyk religijnych nie odprawiała, i nie chodziła nigdy do spowiedzi. Wiedziała jednak, że inni ludzie to wszystko robią, choć długo była pewną, że i to co ona robi jest dobrém, bo tak ją nauczał i tak jéj polecił ojciec.

Teraz przypomniała sobie o tém, i ta myśl ją uszczęśliwiła.

Postanowiła poszukać téj pociechy, któréj inni ludzie doznawali.

Równocześnie przyszła jéj także druga myśl: iść do klasztoru.

Rozjaśniło jéj się w duszy, kiedy przed oczami stanął jéj obraz samotnéj, cichéj i ubogiéj celki klasztornéj, w któréj nie słychać było nic o zbrodniach tego świata, i gdzie serca wyzuwały się z namiętności ludzkich...

Tam byłoby jéj lepiéj niż w tym okropnym zamku, na którym ciążyła krew i w którym szalały naprzemian występki i nieszczęścia.

Pociecha religijna.

Julja długo nosiła się z temi myślami, ale do spełnienia ich brakowało jéj odwagi.

Przyzwyczajona nic nie czynić bez wiedzy i woli ojca, nawet i teraz zachowała instynktowy dla niego szacunek, i obawiała się zrobić coś takiego, o czém wiedziała, żeby mu się nie podobało.

Przytém czuła to także dobrze, że jéj spowiedź miała być zarazem oskarżeniem ojca przed obcymi ludźmi. Wprawdzie ten człowiek, który miał ją słyszeć, nosił na sobie charakter sługi bożego, miał ją wysłuchać nie w imieniu swojém ale

Boga, mimo tego na to wspomnienie czoło jéj oblewało się śmiertelnym potem, ogarniał ją przestrach, wahała się i znowu ze sobą walczyła.

Pewnego dnia jednak, a było to mniéj więcéj w tym czasie, kiedy Wanda zapraszała kasztelnnica do Dubna, uczuła Julja, że tego niepokoju i téj burzy, które nią miotały, już dłużéj nie wytrzyma. W głowie jéj się mąciło, i czuła jakby jakieś krzyki rozpaczy w swém sercu. Z gorączkową szybkością zarzuciła na siebie ubranie i powiedziała do siebie:

— Muszę iść!

Wyszła z pokoju i z zamku niespostrzeżona i niezagadnięta przez nikogo. Któż ją miał zatrzymać i zapytać? Czuwała nad nią tylko niedołężna staruszka, a w zamku było pusto i bezludno.

Szła do miasteczka.

Na samym kraju miasteczka w pewném oddaleniu od innych domostw stał mały dworek z ganeczkiem, w którym mieszkał wikary.

Julja stanęła w sieni tego dworku, zatrzymała się chwilę przed drzwiami do pokoju jakby dla nabrania oddechu i odwagi, i wreszcie drżącą ręką lekko zapukała.

— Kto tam? — odezwał głos z pokoju.

Julja nie wiedziała co odpowiedzieć i milczała.

Drzwi się uchyliły i wikary wyjrzał do sieni. Zdziwił się niezmiernie zobaczywszy przed drzwiami Julję niedbale otuloną i ze spuszczonemi oczami.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Proszę wejść, — odezwał się słodkim głosem otwierając szerzéj drzwi.

Córka hrabiego przybywająca do jego domu była dla niego niespodzianém zjawiskiem! W jednéj chwili zrozumiał jednak, że to przybycie jest dla niego tryumfem, a porażką dla nienawistnego patrjarchy.

Julja przeszła przez próg i w pokoju zobaczyła jeszcze drugą osobę.

Był to Zawiła, który siedział na kanapie z fajką w ustach. Po twarzach gościa i gospodarza było znać, że obaj przed chwilą prowadzili żywą i interesującą rozmowę. Zawiła był cały zapérzony i oczy mu się błyszczały.

Julja poznała go odrazu, chociaż nie nosił już munduru tylko cywilne ubranie, i zdziwiła się bardzo zobaczywszy go tutaj. Wiedziała bowiem o tém, że Zawiła bawił przy jéj bracie, a Henryk w tym czasie bawił w Dubnie.

Nie wiedziała jednak tego i wiedzieć nie mogła, że Zawiła od niejakiego czasu zaglądał dosyć często potajemnie do Ostrowca, i tu przebywał to u wikarego, to u doktora, to wreszcie u księdza dziekana.

Zapewne nie bez celu odbywał on te dość dalekie przejażdżki.

Na widok Julji Zawiła zerwał się prędko z kanapy, odrzucił fajkę i ukłonił się ceremonjalnie.

— Cóż hrabiankę do mnie sprowadza? — odezwał się znowu wikary.

Ale Julja nie odpowiadała i nie podniosła nawet oczu do góry. Niespodziana obecność trzeciéj osoby i to znanéj i tak bardzo wmięszanej w sprawy domowe, jeszcze bardziéj ją przestraszyła.

Spostrzegł to wikary i mrugnął na Zawiłę, który w téj chwili pożegnawszy Julję ukłonem wyszedł z pokoju.

— Jesteśmy już sami. Niech pani usiędzie i odpocznie, bo widzę po niéj wielkie zmęczenie, — rzekł wikary i przysuwał jéj krzesło z wielką uprzejmością.

Julja nie siadała, ale upadła na kolana i składając ręce przed wikarym, zawołała z boleścią:

— Panie pociesz mię!.. panie ratuj mię!...

— Co ci jest moje dziecko?.. — pytał wikary skwapliwie podnosząc ją z ziemi. — Jakiéj pociechy potrzebujesz?

— Jestem bardzo nieszczęśliwa!.. jestem bardzo wielka grzesznica!..

Wikary uśmiechnął się w duszy: to dziecko niewinne mogłożby mieć rację podobnie się oskarżać? — ale odezwał się uroczystym głosem:

— Dusza twoja nie jest jeszcze stracona, jeżeliś uznała potrzebę przyjść do sługi bożego i za jego pośrednictwem szukać miłosierdzia Stwórcy. Usiądź moje dziecko, uspokój się i zrzuć ze swego sumienia ciężar, który je przygniata.

Julja usiadła i zalała się gorącemi łzami. To jéj ulżyło i uspokoiło ją. Wikary przysunął sobie krzesło blisko niéj i usiadł, gotując się do słuchania.

Po chwili, ukoiwszy się ze swego płaczu, Julja zaczęła mówić. Oskarżała się, że jest niewdzięczném dzieckiem, że ojca swego nie kocha, że nie ma dla niego tego szacunku i czci, które Bóg położył dzieciom za pierwszy obowiązek, wreszcie, że ośmieliła się rozbierać jego czynności, sądzić je i wynajdywać w nich grzechy i winy.

Wikary słuchał z niezmierną ciekawo-

ścią téj spowiedzi. To wszystko co słyszał, cieszyło go i napełniało radością. Czuł prawdziwą rozkosz, że własne dziecko obwinia tego człowieka, którego sam nienawidził i potępiał.

Gdy Julja skończyła drżąc jeszcze cała, wikary zmarszczył czoło, jakby nad czémś rozmyślał, a potém obracając się do niéj, spojrzał na nią łagodnie i mówił:

— Moja córko, widzę z tego, że masz najgorętszą chęć kochać twojego ojca i spełniać względem niego wszystkie swoje obowiązki. Tylko nie możesz tego czynić. Nie jest to więc żadnym grzechem i z twojéj strony nie ma winy. Musisz mieć do tego jakieś powody, zapewne widzisz w swoim ojcu coś takiego, co cię gorszy i twój niewinny umysł oburza. Powiedz mi więc wszystko moje dziecko, abym mógł twoje serce osądzić.

Julja zawahała się.

— Nie lękaj się moja córko — rzekł wikary spostrzegłszy jéj wahanie — gdy mówisz z kapłanem, rozmawia z tobą Bóg przez jego usta.

To zapewnienie dodało Julji siły, i wyjawiła to, co jéj serce odwróciło od ojca. Z historji matki zataiła jednak wszystkie szczegóły, i powiedziała tylko, że suro-

we obchodzenie się ojca z nieboszczką matką, przyczyniło się także do wygaśnięcia jéj miłości.

Wikary wysłuchawszy jéj wziął jéj głowę w obie swoje ręce, i pocałował ją w czoło.

— Biedne ty jesteś dziecko! — odezwał się rozczulonym głosem — Bóg nie dozwolił ci mieć ojca, któregobyś mogła kochać i szanować. Nad tém wszystkiém, o czém mi mówiłaś, dawno już ubolewamy. Ale hrabia zatwardziały jest i uparty. Odstąpił od Boga i prawdziwéj religji, i za to téż Bóg go karze, bo go zaślepił, że brnie coraz daléj w grzechy, i gorszy niemi nawet dusze swoich dzieci.

— Więc ja nie grzeszę, ojcze, jeżeli potępiam jego czyny?...

— Złe czyny każdy powinien potępiać, jeżeli sam złym być nie chce.

— A jeśli ojca nie kocham z téj przyczyny?...

— Jeżeli z téj przyczyny nie kochasz, nie grzeszysz. Takich ludzi należy żałować, należy się modlić za nich, ale trudno mieć dla nich miłość, jaką mamy dla cnotliwych.

Oczy Julji zajaśniały radością.

— Ojcze duchowny — zawołała przy-

ciskając rękę do piersi — czuję, że jestem spokojniejszą, że mi lżej tutaj!...

— Bóg zawsze udziela pociechy — odpowiedział z namaszczeniem wikary.

Julja pochyliła głowę i zamyśliła się. Wikary nie przerywał jéj i siedział w milczeniu, spodziewając się, że nowo jéj skrupuły dadzą mu znowu sposobność do utwierdzenia jéj w przekonaniu, które chciał w niéj jak najwięcéj umocnić.

Nareszcie Julja zapytała go:

— A posłuszeństwo czy jestem winna mojemu ojcu?

— Tylko w rzeczach dobrych, w złych nigdy. Najpierwsze posłuszeństwo należy się zawsze Bogu.

— Gdybym więc miała jakie dobre postanowienie, a ojciec nie chciał na nie pozwolić...

— Nie powinnaś go słuchać.

— Ojcze duchowny, powiedz mi, czy to jest dobre postanowienie, że ja chcę iść do klasztoru?...

— To jest święta myśl, natchnienie z nieba! Tylko w wybranych duszach Bóg wznieca podobne postanowienia. Córko moja, idź za tym głosem twego serca, Bóg widocznie chce cię wyrwać z domu, który jest domem grzechów i bezbożno-

ści. Upodobał sobie ciebie jako Noego w czasie potopu i chce cię wybawić, kiedy innych skaże na zgubę. I cóż ty stracisz moje dziecko, co porzucisz? Porzucisz dom, w którym nie ma religji, Boga i cnoty, porzucisz ojca, który nie myślał nigdy o dobru duszy twojéj i wychowywał cię w błędach, w których sam zastarzał, porzucisz wreszcie ten świat nędzny i marny, na którym wszystko jest ułudą, znikomością i złém. Za takie to straty pozyskasz zaś miłość niebieskiego oblubieńca, wieczną szczęśliwość i niebo!...

— Ah, jak to błogo musi być tam, gdzie panuje wieczny spokój, i gdzie się nie widzi grzechów ludzkich i cierpień za niemi idących — mówiła Julja z zachwyceniem jakby sama do siebie.

— Wytrwaj więc córko w swém postanowieniu i nie zważaj na żadne przeciwności. Jestem gotów dać ci zawsze radę i pomoc. Gdy tylko będziesz ich potrzebowała, albo gdy w duszy twojéj powstaną jakie wątpliwości, przybądź do mnie, do kapłana, który ma przeznaczenie pośredniczyć między duszami a Bogiem, a Bóg cię pocieszy i pokrzepi.

Niedługo Julja pożegnała wikarego, dziękując mu z rozrzewnieniem za ulgę, jakiéj doznała.

W istocie wracając do domu czuła, jakby jéj kto kamień zdjął z serca.

Po wyjściu Julji Zawiła powrócił do pokoju. Wikary opowiadał mu co zaszło.

— A to wybornie się wszystko układa! — zawołał ucieszony Zawiła. Tym sposobem cały majątek matki, który nieboszczka hrabina zapisała Julji zaraz po jéj urodzeniu się, przejdzie z siostry na Henryka.

— Przepraszam — odparł wikary — ten majątek należy się klasztorowi i instytucjom duchownym.

— Ależ księże dobrodzieju, co wam po téj mamonie, po tych marnościach świata! — mówił Zawiła nawpół serjo, nawpół żartem. Dla nas ludzi świeckich to co innego...

— To nie dla nas — odpowiedział z powagą wikary — to na chwałę bożą...

— No, no, jakoś się tam pogodzimy — zakonkludował Zawiła, i śmiejąc się uderzył swoją szeroką dłonią o rękę wikarego. A teraz pójdźmy do księdza dziekana.

— Rzeczywiście, już czas — odpowiedział wikary spoglądając na zegar.

Zbliżył się do biurka i wyjął z niego jakieś papiery; włożył je w zanadrze i

wziąwszy czapkę i pokrzywioną sękatą laskę, wyszedł z Zawiłą.

Kapłan z urzędu.

Ksiądz dziekan i proboszcz Ostrowiecki mieszkał tuż obok kościoła. Probostwo było największym i najokazalszym domem w całém miasteczku. W ogrodzie rosły bardzo piękne kwiaty nawet i zagraniczne, jarzyny udawały się wybornie, a owoce z sadu dziekańskiego miały sławę na całą okolicę.

Wewnętrzne urządzenie domu pokazywało także na każdym kroku dostatek, zamiłowanie w wygodzie i pewien gust estetyczny.

Wikary i Zawiła weszli do gabinetu księdza dziekana, jak im to wskazał lokaj, zameldowawszy najprzód przybyłych.

Ksiądz dziekan wrócił niedawno z wotywy, którą odprawiał. Spory talerz winnéj polewki z grzankami mocno korzeniami zaprawnéj stał przed nim. Dziekan z zawiązaną pod brodę serwetą siedział przy stole i smaczno zajadał.

Jego postać cała świadczyła wyraźnie,

że przez całe życie musiał mieć zawsze równie dobry apetyt. Niezbyt wysokiego wzrostu był okrąglutki i pulchny jak pączek. Policzki rumiane i czerstwe świeciły się od zdrowia, dwa podbródki mocno pofałdowane opierały się o gardło, a jasne, niebieskie oczy, wiecznie uśmiechnięte i ruchliwe pokazywały, że był zawsze wesół i w dobrym humorze. Takiż sam uśmiech zadowolenia ze siebie i świata, jowjalny i sarkastyczny zarazem, rozlany był po wszystkich mięśniach jego twarzy, a miał się gdzie rozpościerać, bo twarz ta była duża i starannie wygolona.

O kilka kroków od niego siedział na stołku w długiéj sutannie chudy, wywiędły na twarzy i trochę przygarbiony staruszek. Na głowie miał ledwie kilka kosmyków siwych włosów, i pokrywał ją małą aksamitną czapeczką. Wyraz potulności, pokory i gołębiéj dobroci przebijał się na jego twarzy i w całéj jego postaci. Ksiądz dziekan nazywał go żartem „poczciwość chodząca.“

Czy dla téj poczciwości czy z innéj przyczyny, ksiądz Wincenty nie miał szczęścia i nie zrobił karjery. Przez całe życie nie mógł zostać nawet proboszczem, i prawdopodobnie miał umrzeć drugim wikarym parafji ostrowieckiéj.

Dziekan zobaczywszy Zawiłę wyciągnął do niego lewą rękę (w prawéj trzymał łyżkę) i witał go jakby miłego i upragnionego gościa:

— Jak się mamy, jak się mamy, kochany panie Stefanie... Więc znowu u nas?... Bardzo dobrze, że jegomość o nas nie zapomina... I jakże tam zdrowie?... A dawnoście przybyli?

— Wczoraj wieczorem — odpowiedział Zawiła na ostatnie pytanie — stanąłem u księdza wikarego.

— No siadajcie, siadajcie — mówił daléj dziekan. — No, i cóż tam nowego?.. A możebyście co przekąsili, hę?

— Dziękuję — odpowiedział Zawiła — ale jeśli ksiądz dziekan łaskaw...

— Już wiem, już wiem, o co jegomości chodzi! Przypomniał ci się węgrzynek... a co nieprawda?... myszką trąci, a do głowy nie idzie... (mlasnął ustami) Zaraz, zaraz będzie...

Obrócił się na krześle i zawołał do drzwi prowadzących do pokoju obok:

— Wikciu!

— Co ksiądz dziekan rozkaże? — odpowiedział dźwięczny głosik niewieści.

— Daj nam tu buteleczkę, tylko wiesz tego...

— Z pod okna.

— To, to, to właśnie.

Pod oknem w piwnicy stało najulubieńsze wino księdza dziekana, które już parę dziesiątek lat sobie liczyło. Z powodów łatwo zrozumiałych ksiądz dziekan, jeśli sam do piwnicy nie szedł, nie powierzał kluczów nikomu oprócz Wikci. Co było zapewne dowodem wielkiego do niéj zaufania.

Wydawszy rozkazy, ksiądz dziekan odwrócił się znowu do gości:

— No i cóż tam nowego?... Jegomość zapewne napróżno tu nie przyjechał?... cóż porabiacie?...

— Ot, chciałem odwiedzić dobrych przyjaciół, i jeśliby się dało wydusić co pieniędzy u rządców dla młodego hrabiego — odpowiedział Zawiła — ale podobno z tego nic nie będzie, bo jak mi ksiądz wikary powiedział, dostali wszyscy znowu surowy zakaz.

— Stary się zawziął i nie myśli spuścić z tonu — rzekł dziekan— trudna z nim sprawa...

— Zwyczajnie jako zły chrześcijanin — wtrącił wikary.

— I do tego nie myśli jeszcze umierać — rzekł Zawiła — choć niby martwi się i gryzie.

— Przeżyje on nas wszystkich, przeżyje — odezwał się dziekan machając ręką — to człowiek z żelaza...

— Biedny człowiek! — dorzucił cichym głosem ks. Wincenty — na starość nie wielkiéj doczekał się pociechy.

— Ksiądz dobrodziéj bo go zawsze bronisz — odparł na to z oburzeniem wikary — nie pojmuję, jak można ujmować się za nieprzyjacielem kościoła.

Ksiądz Wincenty pokiwał tylko głową. Nie miał odwagi daléj się sprzeciwiać.

— Dlatego my też myślimy wziąć się do niego na serjo. Po dobroci nicbyśmy z nim nigdy nie wskórali. Wytoczymy mu po prostu proces i rzecz skończona — mówił Zawiła.

— Bardzo słusznie, bardzo słusznie — potakiwał mu ksiądz dziekan — przecież to się nie godzi, żeby syn dla fantazji ojcowskiéj poszedł z torbami.

— Tylko panowie powinniście równocześnie także na niego natrzeć. Gdy go weźmiemy we dwa ognie, może nareszcie mu podołamy. Na tém wszystko zależy, aby wszystkie jego sprawki jak najprędzéj i ile możności na raz jeden na wierzch wyszły. To otworzy ludziom oczy

na jego postępowanie i zdyskredytuje go w świecie.

— No, no, my także gruszek w popiele nie zasypiamy — odpowiedział dziekan. — Miara cierpliwości już się przebrała. Długo czekałem na poprawę i upominałem hrabiego w cztery oczy, nie chcąc mu robić wstydu. Ale skoro on trwa w swojém i nam urąga, trzeba go upomnieć publicznie i pokazać, że my także coś możemy i znaczymy. O, pan hrabia bardzo nisko nas sobie cenił!

Po tych słowach zwrócił się do wika rego:

— A co? czy dobrodziej pamiętałeś o tém, com polecił?

— Nietylko pamiętałem, księże dziekanie, ale już i wykonałem — odpowiedział wikary i wyjął z zanadrza przyniesione z sobą papiery.

— Ksiądz wikary pokazywał mi te dokumenta; doskonale wszystko ułożone — wtrącił Zawiła.

— To dobrze, to dobrze, dajno mi to dobrodziej — powiedział dziekan.

— Eh, dalibyście waćpanowie spokój temu człowiekowi, już on i tak ciężki krzyż dźwiga — wmieszał się znowu ks. Wincenty, kiwając głową.

Ale na jego słowa nikt nie zważał.

Wikary położył papiery na stole przed dziekanem, kiedy równocześnie weszła Wikcia, niosąc cztery opleśniałe butelki na tacy.

Wikcia miała może lat dwadzieścia pięć; była biała, rumiana, krew z mlekiem jak to mówią. Miała minę skromną a pewną siebie; obecność gości widocznie nic ją nie żenowała, i zgrabnie, z pewnym wdziękiem, albo jakby dziś powiedziano, z „szykiem“ przyniosła wino i postawiła je na stole. Uśmiechała się przytém niby z uprzejmością, niby z kokieterją, i przy téj sposobności tworzyły się po obu stronach jéj twarzy roskoszne dołki i pokazywały się dwa rzędy zębów jak z kości słoniowéj.

Téj nadobnéj córze natury, a obecnie gospodyni księdza dziekana, świeżéj i czerstwéj jak woda źródlana, dodawał jeszcze powabu jéj strój malowniczy, nawpół wiejski, nawpół mieszczański. Swieżutka koszulka z najcieńszego płótna, zgrabny gorsecik i gęsto fałdowana spodnica — to wszystko bardzo pięknie odziewało kształty jéj ciała, które każdy rzeźbiarz byłby z wielką ochotą modelował.

Jedném słowem była to ładna, czerstwa i chwacka kobietka.

Zawiła ile razy ją zobaczył, aż zęby zaciskał. Tak bardzo Wikcia wydawała mu się smaczną.

I tym razem nie mógł się obejść bez komplementu:

— Niech mię djabli porwą, ale ksiądz dziekan masz gosposię... aj gosposię! — i potrząsł głową na znak podziwu i zachwytu, a może i zazdrości.

— Dajno jegomość spokój, bo mi popsujesz duszyczkę — odpowiedział dziekan, mrużąc oczy i uśmiechając się filuternie. — U was ludzi światowych zawsze tylko figle w głowie.

Wikcia nie podniosła nawet oczu na Zawiłę, uśmiechnęła się tylko lekko, jakby łaskawie przyjmowała komplement, i dygnąwszy wyskoczyła z pokoju jak sarna.

Nalano wino, trącono się w szklanki i — Daj nam Boże zdrowie! — powiedziano sobie nawzajem prawie chórem.

Akt oskarżenia.

Kiedy już obecni po kilka razy pokosztowali starego węgrzyna, wikary przysunął się z kszesełkiem bliżéj stołu, i

wziąwszy do ręki jeden z papierów leżących przed dziekanem, rzekł:

— To jest list parocha z Pobujny. Jak ksiądz dziekan dobrodziej rozkazałeś, porozumiałem się z nim listownie i wczoraj otrzymałem odpowiedź.

— I cóż pisze?

— Zgadza się zupełnie z nami. Jego także oddawna oburzały te herezje hrabiego. Chłopi już przestawali chodzić do cerkwi, we wszystkich swoich sprawach po radę i pociechę chodzili na zamek, i niedługo możeby u hrabiego się spowiadali i jemu dawali na wypominki. Paroch bardzo jest rad z tego, co zamyślamy, i jeżeli nasze prośby otrzymają potwierdzenie władz duchownych, gotów jest wyrok na hrabiego publicznie ogłosić.

Ksiądz dziekan wziął list do ręki i przebiegając go oczami, mówił:

— Prawda, prawda... no, dobrze, bardzo dobrze... — poczém list odłożył na bok.

— To znowu — rzekł wikary, wskazując na drugi papier — jest projekt publicznego ogłoszenia tak dla naszych kościołów jakoteż dla cerkwi, kiedy otrzymamy potwierdzenie jego eminencji Arcybiskupa. Ale najważniejszy to jest ten

akt, zawierający wszystkie punkta, o jakie przed władzami duchownemi, hrabiego oskarżyć możemy. Wstęp jakotcż zakończenie jeszcze nie są wystylizowane. Chciałem wprzódy wiedzieć, czy ksiądz dziekan dobrodziéj zgodzi się na te punkta oskarżenia, czy może jeszcze będzie potrzeba coś wzmocnić albo dodać.

— Zobaczymy, zaraz zobaczymy — odpowiedział dziekan i wziął papier do obu rąk. Zwyczajny jego uśmiech zniknął mu z twarzy, czoło się pomarszczyło i dziekan przybrał na siebie największą, na jaką się mógł zdobyć powagę. Muszkuły śmiechu niezawsze jednak chciały słuchać jego rozkazów i wypowiadały mu często posłuszeństwo. Ztąd wymuszona powaga dziekana stawała się chwilami komiczną.

Odchrząknął kilka razy i zaczął czytać.

Do Jego Eminencji Najprzewielebniejszego Arcybiskupa ***

„1⁰ Jan Aleksander hrabia Ochocki, od czasu jak tylko został samowładnym panem swego majątku, starał się szerzyć między poddanym sobie ludem, pomiędzy oficjalistami i domownikami zasady antireligijne i bezbożne.

„2⁰ W celu odwrócenia ludzi od nauki

objawionéj obu kościołów, zachodniego i wschodniego, zaprowadzał uroczystości i obrządki, które mieli niegdyś Rzymianie i inne bałwochwalskie narody. Do tych uroczystości należały szczególnie trzy przez niego ustanowione święta, to jest tak nazwane Święto Doroczne, Święto Gajowe i Święto Żniw. Na wszystkich tych uroczystościach odbywały się rozmaite ceremonje i gusła pogańskie.

— Oj, oj — przerwał uniesiony mimowolnym zapałem ks. Wincenty — nigdy nic podobnego nie widziałem, ani nie słyszałem.

— Jakto! — zawołał z gniewem wikary — to tam nie było tych Saturnów z kosami, tych Cerer ze sierpami i wieńcami na głowie i tych bezwstydnych Amorków nawpół nagich z kwiatami?

— Ale były, były i Saturny i Cerery i Amorki — poparł go poważnie ksiądz dziekan.

— I ja to wszystko widziałem na własne oczy — dorzucił Zawiła i potakiwał wikaremu, kiwając głową.

— Czytajmy zatém daléj — odezwał się dziekan.

„3° Hrabia Ochocki w czasie tych wymyślonych przez siebie uroczystości pro-

fanował ceremonje i świętości kościołów chrześcijańskich, używając przy nich wody święconéj, krzyża świętego i pieśni kościelnych. Co wszystko miało posłużyć do większego wyszydzenia religji panujących.

„4⁰ Hrabia Ochocki przywłaszczał sobie samowolnie charakter kapłański, kropił i poświęcał wodą święconą i miewał do ludu kazania, albo raczéj dawał mu wsteczne nauki, w których powtarzał wszystkie błędy Lutra, Woltera i innych herezjarchów.

„5⁰ Prawdziwych kapłanów przez kościół postanowionych nie uznawał, okazywał im wzgardę i też same uczucia starał się w swoich podwładnych zaszczepić.

„6⁰ Podwładnych swoich namawiał, a nawet im nakazywał, ażeby do kościołów i cerkwi nie chodzili...

— Bójcie się Boga — przerwał znowu ks. Wincenty — przecież wam wystawił kościół i plebanję, jakich przedtém nie widzieliście!...

— Ale wystawił także i bożnicę, bo mu to było wszystko jedno — odparł wikary, a oczy mu się zaiskrzyły. — Czy dobrodziéj myślisz, że on z dobrą inten-

cją kościół wystawił?.. To także było obliczone na nasz wstyd i upokorzenie... Chciał nam pokazać: oto macie kościół piękny i wielki, ale ludzi w nim mieć nie będziecie, bo oni pójdą tam, gdzie ja odprawiam nabożeństwa i daję im nauki!

— Ale przecie ludzi w kościele zawsze pełno, chwalić Boga — bronił się ksiądz Wincenty.

— Bo mu się nie udało; to nie jego zasługa.

— Ksiądz wikary ma słuszność — odezwał się dziekan, chcąc swoją powagą spór zakończyć. — Idźmy daléj. Na czémże to stanąłem?.. Aha!:

...„ażeby do kościołów i cerkwi nie chodzili, powiadając, że Pan Bóg jest wszędzie i że można się modlić i pod gołém niebem.

— Bardzo dobrze, żeś waćpan o tém nie zapomniał — rzekł dziekan, przerywając sobie czytanie i zwracając się do wikarego. Sam na własne uszy słyszałem podobne zdanie z ust hrabiego.

Wikary pochylił głowę, rad z otrzymanéj pochwały.

Dziekan czytał daléj.

„7⁰ Powiadał także publicznie, a nawet

w swoich bezbożnych naukach to głosił, że wszystkie religje są jednakowo dobre i że w każdéj wierze, nawet w żydowskiéj i pogańskiéj, człowiek cnotliwy zbawionym być może.

„8⁰ Z nauk i ze zdań przez niego wypowiadanych domyślać się także można, że nie wierzy ani w piekło, ani w czyściec, ani w odpusty przez kościół ustanowione.

„9⁰ Zarówno jak w gusłach pogańskich, pokazywał także i pokazuje zamiłowanie w zwyczajach i obrzędach Starego Testamentu, a lubo te księgi uznane zostały także przez kościół chrześcijański, dowodzi to jednak zawsze pewnéj pogardy dla zakonu Chrystusowego, jakoteż dla ustaw i ceremonji naszego kościoła.

„10⁰ W życiu swojém domowém i familijném dawał także nieraz przykłady gorszące...

Ksiądz Wincenty nie mógł znowu wytrzymać i usłyszawszy początek punktu 10⁰, oburzył się i zawołał z wielkim ferworem:

-- Zmiłujcie się panowie, tego już nadto!... Co nam do tego, co on robi w swoim domu!... zwłaszcza, że się nikt ani z rodziny, ani z domowników na to nie skarży.

— Oj! skarżą się i bardzo, ale dobrodziéj o tém nie wiesz — odpowiedział wikary, patrząc na księdza Wincentego z uśmiechem politowania.

— Przepraszam jegomości — odezwał się dziekan z większą niż dotąd surowością i powagą — mamy nietylko prawo do tego, ale i obowiązek. Kapłani są także stróżami czystości obyczajów.

— To róbcie, co wam się podoba, ja już nic nie gadam — mruknął ksiądz Wincenty zmartwiony i przestraszony groźną postawą dziekana. Wstał z krzesełka, pokręcił się po pokoju i niedługo potém wysunął się nieznacznie.

„10° — zaczął na nowo ksiądz dziekan. — W życiu swojém domowém i familijném dawał także nieraz przykłady gorszące, jak naprzykład trzymając przez długi czas w swoim domu osobę młodą, niezamężną, w któréj sekretnie się kochał.

„11° Z tego téż powodu syna swojego jedynego wyklął, wyparł się i wydziedziczył, kiedy ten syn ożenił się ze wspomnianą wyżéj osobą, chroniąc ją od dalszéj hańby i niesławy. Przez co również dał dowód zatwardziałości serca i zawziętości w gniewie, przeciwnéj nauce Chrystusa i kościoła o przebaczeniu.

— Bardzo pięknie, żeś ksiądz dobrodziéj i ten punkt umieścił... to punkt jest ważny — wtrącił Zawiła, a obracając się do dziekana, dodał: Przepraszam bardzo księdza dziekana, że przerwałem.

— Jeszcze tylko jeden punkt mamy — odpowiedział dziekan i czytał:

„12⁰ Z nieboszczką żoną swoją obchodził się po tyrańsku i despotycznie, podobno dlatego, że jego zasad bezbożnych podzielać nie chciała i opór im stawiała. Według powszechnéj wieści, hrabia chciał ją do tego gwałtem przymusić i głodem w jakimś lochu umorzył.

— Bardzo dokładnie jegomość to wszystko skoncypowałeś — rzekł dziekan, kładąc papier na stole — nie mam ani słowa dodać ani ująć. Żałuję tylko, że tak późno wzięliśmy się do tego.... To hrabiemu już dawno się należało. Ale niechaj choć teraz pozna, że niewolno bezkarnie gwizdać po kościele i na słowa łagodnego napomnienia kapłańskiego niezważać.

Zawiła ściskał za rękę wikarego, jakby chciał mu powinszować tak doskonale wykonanego dzieła. Wikary zamyślił się chwilę, a potém rzekł:

— Możnaby jeszcze dodać jeden punkt, który mi teraz na myśl przyszedł.

— Pisz jegomość, pisz, jeżeli wiesz co takiego — odpowiedział dziekan zachęcającym głosem.

— Możnaby jeszcze dodać punkt następującéj treści:

„13⁰ Dzieci swoje wychowywał bez znajomości prawdziwéj religji i jéj zasad, przez co narażał ich sumienia na ciężkie walki i niepokoje, a dusze ich na wieczną zgubę. Przyszedłszy do rozumu i poznania, dzieci te uskarżały się na to przed osobami duchownemi i zanosiły do nich zażalenia na ojca.

— Ten punkt — mówił daléj wikary — jest również jak wszystkie poprzedzające, na prawdziwych faktach oparty. Nie dawniéj jak dzisiaj, zaniesiono do mnie podobne oskarżenie na hrabiego.

I tutaj opowiedział wikary dziekanowi wizytę hrabianki Julji u siebie, wyznania, jakie przed nim czyniła i jak on je zrozumiał; wreszcie także o jéj zamiarze wstąpienia do klasztoru.

— W danym razie — zakończył wikary — możemy się odwołać na świadectwo hrabianki Julji, a zapewne także (tu zwrócił się do Zawiły) i hrabiego Henryka. (Zawiła potwierdził to przypuszczenie kiwnięciem głowy). Podobne zaś

świadectwo i oskarżenie ojca przez dzieci, może bardzo wielkie mieć znaczenie i do potępienia hrabiego w opinji niemało się przyczynić.

Wiadomość udzielona przez wikarego, powiększyła jeszcze dobry humor księdza dziekana. W ogóle, całe towarzystwo było dobréj myśli i naprzód już ciezsyło się swym tryumfem i pomyślnym skutkiem swych usiłowań. Zawiła upewniał ze swéj strony obu księży, że skoro tylko do młodych hrabstwa powróci, nakłoni ich ostatecznie do wytoczenia ojcu procesu przed sądem.

Wśród téj przyjacielskiéj i poufałéj gawędy kieliszki jedne po drugich się wypróżniały, a Wikcia jeszcze po raz wtóry przyniosła z piwnicy nowe cztery butelki. Tym razem Zawiła tak się do niéj rozpalił, że o mało jéj nie cmoknął. Powstrzymała go obecność księdza dziekana i skończyło się na tém, że ją ukradkiem uszczypał w łokieć.

Kiedy stary hrabia upadał pod ciężarem swych cierpień, kiedy zobojętniał na wszystko i przestał być niebezpiecznym, ci ludzie myśleli nad sposobami osłabienia jego wpływu i powstrzymania jego dążności. W obecném położeniu było to już prawie niepotrzebném i nie miało celu.

Ale tu chodziło nie tyle o to, aby na przyszłość zapobiedz jego działaniu zgubnemu, ile o ukaranie go za całą przeszłość i o zemstę. Długi czas tłumili ją w sobie wikary i dziekan. Pierwszego podniecał fanatyzm i religijna zaciekłość, drugi zaś czuł się osobiście upokorzonym i obrażonym przez hrabiego, który ani jego powagi, ani władzy nie chciał nigdy uznawać.

Nadeszła nareszcie dobra pora. Hrabia był bezsilny, złamany, osłabły na duchu i zakrwawione miał serce. Prawdopodobnie bronić się i stawiać oporu nie miałby ani sił, ani chęci. Był sam i opuszczony... Ci ludzie, którzy dawniéj ufali mu, wierzyli w niego i czcili go, od niejakiego czasu stracili go z oczu, zapominali i zwątpili o nim, myśląc, że on sam zwątpił o sobie i o nich troszczyć się już nie chce.

Odwaga więc i śmiałość rosła w jego nieprzyjaciołach. Czego dawniéj nie śmieliby wykonać, dziś wydawało im się rzeczą łatwą i pewną.

Lew był ranny — trzeba go było kopnąć...

Zjawisko w lesie.

Ksiądz dziekan zatrzymał Zawiłę i wikarego u siebie na obiedzie, tak, że prawie cały ten dzień przepędzili razem. Materjału do zajmującéj rozmowy im nie brakło, obiad był bardzo smaczny, Wikcia donosiła wina na każde zawołanie i towarzystwo, choć niewielkie, bawiło się jak najlepiéj.

Następny dzień obrócił Zawiła na oddanie wizyty doktorowi. Konsyljarz zaprosił do siebie dziekana i wikarego i znowu biedny hrabia był najgłówniejszym przedmiotem rozmów, narad i rozmaitych planów. Między innemi Zawiła pragnął gorąco dowiedzieć się coś o zdrowiu hrabiego, o które od kilku miesięcy bardzo się zrobił dbały i troskliwy. Ale doktor oddawna już przestawszy bywać na zamku, nie mógł mu dać żadnych szczegółowych wiadomości i musiał poprzestać na powtórzeniu pogłosek i domysłów, jakie pod tym względem robiono.

Całe towarzystwo (niewyjmując i pani konsyljarzowéj) zgodziło się na to i przyszło do tego przekonania, że ostatnie awantury (tak się o tém wyrażano), musiały bardzo nadwerężyć zdrowie hrabie-

go, tém więcéj, że był już człowiekiem w podeszłym wieku i wszystko, co go martwiło i przeciwném było jego woli i humorowi, bardzo mocno zawsze odczuwał. Za rzecz także pewną uznano, że hrabia będąc zawsze ekscentrycznym i dziwakiem, w skutek ostatnich wydarzeń tém więcéj jeszcze musiał szwankować na umyśle. Widoczne też były dowody, że stracił dawną energję, że zniedołężniał i zdziecinniał; a kilka wypadków, o których ludzie opowiadali, przekonywały, że poprostu czasami odchodził od rozumu i miewał napady szaleństwa.

Tak z różnych stron nazbierawszy dosyć pocieszających wiadomości, trzeciego dnia Zawiła postanowił powrócić do Dubna. Martwiło go wprawdzie, że wracał z próżnemi kieszeniami jak przyjechał, ale pocieszał się nadzieją, że niedługo przynajmniéj połowa fortuny hrabiego przejdzie w posiadanie jego młodych kuzynów. A że wtedy i jemu pieniędzy nie zabraknie, o tém nie wątpił.

Zawiła wycieczki swoje do Ostrowca robił zawsze *incognito* i w tajemniczy sposób. Nie chciał zwracać na siebie uwagi miejscowych ludzi (z wyjątkiem, rozumie się, zaufanych osób) i nie życzył sobie,

aby wiadomości o pobycie na ziemi hrabiego, dochodziły na zamek. Wiedział on o téj dyplomatycznéj regule, że wszystko, co się robi, trzeba robić w tajemnicy, ażeby naprzód swoich planów nie zdradzać. Poczęści chodziło mu także o całość jego osoby; wiedział, że hrabia nie żartuje i bał się jakiegoś wybuchu lub wybryku złego humoru z jego strony. — Obawy jego témbardziéj wzrosły, skoro ludzie na serjo zaczęli mówić, że hrabia zdziwaczał. W takich chwilach Zawiła wierzył temu jak najmocniéj. Któż więc mógłby zgadnąć, co hrabiemu przyszłoby na myśl i coby z nim mógł zrobić.

Tym razem także Zawiła zostawił konia, na którym przyjechał, w karczmie w sąsiedniéj wsi, a sam pieszo i bocznemi drożynami przekradł się koło zamku do swoich dobrych przyjaciół w Ostrowcu.

W taki sam sposób miał również powracać. Wczesnym rankiem, wyszedłszy z dworku wikarego, u którego miał kwaterę, nie wszedł na główną drogę, ale skręcił zaraz za wikarówką na polną scieżkę.

Wiosenny ranek był chłodny, ale piękny i pogodny, słońce świeciło jasno i wesoło, pola i drzewa zaczynały się o-

krywać zielonością i liśćmi. Zawiła przytém, jak człowiek co podróżuje i to w jakimś celu, zajęty był rozmaitemi myślami, więc szło mu się raźno i sporo i przyjemnie.

Bokiem obszedł wieś i z daleka zobaczył zębate wieżyczki na zamku. Za chwilę zamek mu się skrył znowu, a Zawiła wszedł w jakiś wądół porośnięty gęstemi krzakami. Z wądołu ścieżka podnosiła się znowu do góry; kilka wielkich brył kamiennych leżało na polu, kilka dość głębokich i krzakami zarosłych parowów rozbiegało się w różne strony z tego miejsca i to wszystko tworzyło pejzaż dziki i ponury, z jakim nie często można się spotkać na uśmiechniętych niwach podolskich.

Kilkanaście minut szedł Zawiła jednym z takich parowów, który nareszcie doprowadził go na brzeg lasu. Ścieżka szła daléj jakiś kawałek lasem, a potém znów wychodziła na pole, skąd już bardzo blisko było do karczmy, w któréj Zawiła swego wierzchowca zostawił.

Wszedłszy w las, rozglądał się bacznie do około siebie, aby nie wejść na fałszywą drogę, bo bardzo często drożyny i ścieżki krzyżowały się z sobą w roz-

maitych kierunkach. Jednym razem, kiedy był właśnie na takiéj rozstajnéj drodze, ujrzał w znacznéj od siebie odległości jakiegoś człowieka, który szedł tyłem do niego odwrócony ścieżką w głąb lasu prowadzącą.

Zawiła nie potrzebował dużo czasu, ażeby w tym samotnym przechodniu poznać hrabiego. Znał doskonale jego postać i ruchy, a przytém oryginalny ubiór hrabiego, jego długa, czarna toga, czyniła jego poznanie bardzo łatwém.

Zawiła mimowoli stanął. Ten człowiek przecież, jak nam wiadomo, interesował go niemało, a tak dawno go nie widział i nie wiedział, co porabia. Teraz nastręczała mu się sposobność podpatrzenia go i dowiedzenia się o jakiéjkolwiek jego czynności.

Zawiła domyślał się, że ta bytność hrabiego w lesie może jest czémś więcéj niżeli zwyczajną przechadzką. Spodziewał się, że zapewne wiąże się nawet z nią coś niezwyczajnego i ciekawego, będąc przyzwyczajonym do rozmaitych oryginalnych pomysłów hrabiego.

Ścieżka, którą hrabia szedł, choć długa, była prosta i jakby pod linję wyciągnięta; gałęzie drzew nie zasłaniały wi-

doku i Zawiła mógł przez dłuższy czas obserwować hrabiego, nietracąc go z oczu.

Widział, że hrabia szedł powolnym krokiem, ze zwieszoną głową i pochylony w grzbiecie, że idąc opierał się na kiju wyższym daleko niż zwyczajna laska i dochodzącym mu prawie do wysokości głowy. Zdawało mu się także, że hrabia na lewéj ręce niósł coś takiego jak dwa albo trzy ogromne wieńce z gałęzi drzew szpilkowych.

To wszystko nie wystarczało jeszcze Zawile. Chciał się dowiedzieć, gdzie i poco hrabia może zmierzać.

— Djabeł nie spi! może się dowiem coś ciekawego — rzekł do siebie, i ze ścieżki, która go prowadziła na pole, zeszedł na ścieżkę w głąb lasu, którą postępował hrabia.

Zawiła szedł daleko prędzéj niż hrabia, dlatego odległość między nimi niedługo się zmniejszyła. Widział już całkiem wyraźnie i dokładnie całą postać hrabiego, przekonał się nawet, że hrabia w rzeczy saméj niósł na ręce dwa wielkie wieńce z jedliny. Ale wtenczas zboczył ze ścieżki i rzucił się w gęste krzaki przy drodze rosnące. Uczynił to zaś z przezorności, aby go hrabia nie spo-

strzegł, obróciwszy się przypadkiem, albo téż usłyszawszy czyjeś kroki za sobą.

Krzakami, wzdłuż ścieżki, szedł teraz daléj Zawiła w tropy za hrabim, mając go zawsze na oku. Coraz więcéj zbliżał się do niego, nie potrzebując się już obawiać, aby był spostrzeżony.

Hrabia szedł coraz głębiéj w las. Miejsce coraz było dziksze, droga, która dotąd szła po równinie, zaczęła się łamać po rozmaitych pagórkach i dołach. Coraz więcéj téż było widać skał wyrastających z ziemi i pokrytych zczerniałym, nawpół zgniłym mchem.

Zawiła byłby już rad, żeby hrabia stanął u jakiegoś celu. Coraz mu téż trudniéj było nie tracić go z oczu, bo droga była nierówna a pagórki i skały zasłaniały mu często hrabiego.

Właśnie wyciągnął szyję i wychylił głowę zza krzaków, ażeby lepiéj zobaczyć hrabiego, który na chwilę gdzieś mu się skrył, gdy wtém potknął się o wystający nad ziemię korzeń, i stracił równowagę. Głowa z oczami, zamiast patrzeć w górę, jak chciał Zawiła, skierowały się w dół, i zajęły się tylko własną całością. Zawiła zaklął, wyprostował się prędko i spojrzał znowu za hrabim.

Nie widział go.

Przyspieszył kroku, szedł jakiś kawałek drogi, patrząc przed siebie jak sokół, ale hrabiego nie było.

Gdzieś mu zniknął, jakby pod ziemię.

Zawiła wyszedł tedy z krzaków, ażeby na miejscu, gdzie hrabiego stracił z oczu, zrobić poszukiwania.

Miejsce to było niewielką kotliną, któréj ściany utworzone były z wielkich kamieni i skał, jakby wmurowanych do ziemnego gruntu.

Zawiła szedł dokoła téj kotliny, i zaledwie kilkanaście kroków zrobił, zobaczył w jednéj ze skał dość szeroką szczelinę. Szczelina ta nie była dość wielką na wygodne wejście do jakiéj jaskini, ale pomimo to człowiek mógł się przez nię dostać do wnętrza, jeżeli w istocie była tam jeszcze jaka jama.

Zawiła nie miał powodu wątpić, że hrabia poszedł tą szczeliną daléj we wnętrze skały. Nigdzie tak prędko nie mógł mu zniknąć z oczu, jeżeli tu się nie ukrył.

Pochylił się przeto nad otworem i nadstawił ucha. Głuchy jakiś szmer w istocie dochodził do niego. Kiedy ten ustał, ośmielił się wsunąć głowę w szczelinę i patrzył.

Po niejakiéj chwili wzrok jego przyzwyczaił się do ciemności, i Zawiła mógł widzieć, że otwór w skale coraz więcéj się rozszerza i rozprzestrzenia. Nic więcéj jednak ani nikogo nie spostrzegał.

Wtedy przyszło mu na myśl, aby wejść do środka. Doradzała mu to ciekawość. Ale niezadługo przypomniał sobie, że hrabia ma szerokie barki i żylaste ręce, a także i to, że może nie zupełnie jest przy zdrowych zmysłach. Spotkać się oko w oko z rozgniewanym szaleńcem w ciasnéj i ciemnéj jamie?... Mrowie przeszło Zawiłę i odstąpił od swego zamiaru.

Chcąc się jednak coś więcéj niż dotąd dowiedzieć, postanowił zaczekać, dopóki hrabia z swego ukrycia nie wyjdzie. Odszedł od szczeliny i o kilkanaście kroków ztamtąd przykucnął za kawałem wystającéj skały, który go przed oczami hrabiego mógł zasłonić.

Hrabia jednak, jeżli był w istocie w jaskini, bawił tam dłużéj, niż Zawiła przypuszczał. Upłynęła godzina, a nie pokazywał się.

Zawiła dał za wygranę i opuścił swoje stanowisko. Tąż samą drogą, którą przyszedł za hrabim, powrócił na ścieżkę

wiodącą na pole. Ktoby go jednak był tam wtedy widział, byłby bezwątpienia spostrzegł, że idąc przypatrywał się bardzo uważnie miejscowości, jakby sobie chciał drogę zapamiętać.

Gdy już był na polu, i zdaleka widział karczmę, w którćj z pieszego na konnego podróżnika miał się przemienić, obrócił się w stronę, gdzie leżała tajemnicza jaskinia, i robiąc silny gest ręką zawołał sam do siebie:

— To jeden jeszcze dowód więcéj, że stary stracił rozum! Nie ma innćj rady, tylko sąd powinien odebrać mu zarząd majątku i ustanowić nad nim kuratelę. Tak jest, widziałem na własne oczy rzeczy, które tylko może robić szaleniec.

Pierwszy proces wygrany.

Zawiła wracał do Dubna z całkowitym w głowie projektem procesu, jaki Henryk miał wytoczyć ojcu.

Nie była to myśl bynajmniéj nowa. Wanda miała ją już od pierwszéj chwili, w któréj usłyszała wyrok hrabiego wydziedziczający syna. W téj to myśli, jak

sobie łaskawy czytelnik zapewne przypomina, rzuciła ona pogróżkę ojcu, wspominając o innych jeszcze sądach, które innemi niż jego sąd będą się rządzić prawami.

Dotąd jednakże ta myśl nie została urzeczywistnioną. Inne kłopoty, zajęcia i uczucia nie pozwoliły Wandzie nią się zająć. Chciała ona przedewszystkiem żyć, chciała spełnić swoje marzenia, zadowolnić pragnienia swojéj próżności i serca. Proces, który wobec tego wszystkiego był tylko materjalnym interesem i kłopotem, musiał iść na drugi plan, przynajmniéj do pewnego czasu. Zresztą, chociaż młode małżeństwo nie miało pieniędzy pod dostatkiem, aby zadowolnić wszystkie kaprysy i zachcenia, i prowadzić życie odpowiednie ich pozycji, dotychczas nie brakowało ich znów tak bardzo. Z początku rządzca folwarku w Pobujny otwierał swą kasę na każde zawołanie, a potem żydowscy i nieżydowscy wierzyciele chętnie pożyczali na rewersy. Majątek ostrowiecki dawał im dostateczną rękojmię.

Ale z czasem wierzyciele ochłodli w tym zapale. Henryk nie wypłacał się na termin, rządzcy hrabiego odsyłali im re-

wersy napowrót nie myśląc ich wykupywać. Wierzyciele odtąd zaczęli się kurczyć, wahać i coraz skąpiéj a na coraz większy procent pożyczać, bo już pieniędzy nie spodziewali się odebrać tak prędko, a może i nie bez wielu kłopotów.

Wandę martwiło to bardzo, a jeszcze bardziéj gniewało, zwłaszcza, że teraz więcéj niż kiedykolwiek potrzebowałaby pieniędzy, i to dużo pieniędzy.

W tym czasie bowiem kasztelanic zaczął jéj napomykać, że niedługo zamierza powrócić do Warszawy. Pobyt jego na wsi i tak trwał dłużéj niż pierwotnie zamierzał. Kasztelanic dawał Wandzie z lekka do zrozumienia, że ona była tego powodem. W istocie zaś nie miał się poco spieszyć do Warszawy. Księżna Helena zachorowała zagranicą, wprawdzie nie niebezpiecznie ale na słabość uporczywą, i nie tak jeszcze prędko obiecywała mu się z powrotem do kraju. Mógł więc swobodnie choćby parę nawet miesięcy poświęcić jeszcze Wandzie. Ale chciał jéj dać uczuć, że robi jakieś poświęcenie, i nie mając stanowczego zamiaru odjeżdżać, od czasu do czasu przypominał jéj swój odjazd i przedstawiał jego konieczność.

Wanda wiedziała, że to wcześniéj czy późniéj nastąpić musi, dlatego pragnęła najgoręcéj jechać także do Warszawy. Tym sposobem nie potrzebowałaby się rozłączać z kasztelanicem, a prócz tego jéj miłosny stosunek z nim na tle wielkiego miasta i życia w stolicy daleko piękniéj się jéj przedstawiał i nabywał nowego uroku. W małem miasteczku czuła się skrępowaną, miejsce i ludzie wśród których żyła, towarzystwo, które miała koło siebie, wszystko to wydawało jéj się zbyt prozaicznem i poziomem, ażeby mogło stanowić akompanjament godny tych uczuć, któremi drgało jéj serce.

Aby jednak jechać do Warszawy, trzeba było mieć naprzód pieniądze. Wanda więc powróciła znowu do myśli o procesie, spodziewając się, że choćby tak prędko nie doprowadził ich do odzyskania majątku, to przynajmniéj poprawi ich kredyt i podniesie zaufanie wierzycieli.

Zawiła bardzo silnie popierał tę myśl, i należy mu oddać tę pochwałę, że on sam jeden nigdy jéj z oka nie spuścił i ciągle na jéj urzeczywistnienie nastawał. Jego wycieczki do Ostrowca głównie w téj myśli bywały przedsiębrane. Chciał wybadać na miejscu położenie rzeczy, uspo-

sobienie hrabiego, opinje tamtejszych ludzi, chciał upatrzeć stosowną porę i podniecić nienawiść przeciw hrabiemu gdzie się tylko dało. Miał on niejakie wyobrażenie o strategji i wiedział, że dobry wybór miejsca i czasu, wiele się przyczynia do zwycięztwa.

Wanda z niecierpliwością oczekiwała jego powrotu z Ostrowca. Od wiadomości, jakie miał przywieść z sobą, zależało bardzo wiele, czy proces zaraz się rozpocznie, czy też jeszcze odłożyć go będzie trzeba.

Zawiła wiedział o tem, i skoro tylko wrócił do Dubna i zsiadł z konia przed bramą, umyślił pójść do Wandy. Idąc do jéj pokoju, po drodze zabrał Henryka.

— Pójdź, pójdź — mówił do niego — wiadomości mam bardzo wiele i wcale nie złe.

Henryk poszedł za nim i niedługo wszyscy troje siedzieli w buduarze Wandy.

Zawiła zaczął od opowiedzenia im, jakie kroki przeciw hrabiemu poczyniła miejscowa władza duchowna, a mianowicie ks. dziekan i wikary.

— Nędznicy! zawołał Henryk z oburzeniem, wysłuchawszy cierpliwie całéj sprawy. Powstał z krzesła i przechodząc się tam i napowrót po pokoju dodał:

— Otóż to wdzięczność i nagroda od ludzi! Za to, że jedli u niego chleb lepszy niż gdzieindziéj, za to, że pracował nad oświeceniem i moralnością ludu, o czem oni pamiętać nie chcieli, oskarżają go o zgorszenie i bezbożność!

— Nie rozumiem zupełnie twego oburzenia — odpowiedział Zawiła z urazą. Przecież oni muszą daleko lepiéj wiedzieć niż my, co jest ze szkodą a co z korzyścią dla religji, a skoro go potępiają....

— Ludzie małego ducha rzucają kamieniem na sprawiedliwego!.... To często w świecie się powtarza.

— No, chociażby i tak było — rzekł Zawiła widocznie mięknąc i chcąc zrobić ustępstwo Henrykowi w rzeczy, na któréj mu nic nie zależało, aby go zjednać dla ważniejszéj — nam to bynajmniéj nie przeszkadza, i owszem jest to bardzo korzystne dla naszego interesu.

— Dla jakiego interesu? zapytał Henryk, zatrzymując się.

— Dla procesu.

— Znowu ten nieszczęśliwy proces! — odpowiedział Henryk, wzruszając pogardliwie ramionami i zaczął znów chodzić po pokoju.

Wanda, która dotąd nic nie mówiła, uważała, że powinna zabrać głos.

— Nie mam wyobrażenia Henryku, co ty właściwie myślisz, — odezwała się suchym głosem.

— Jak to?.. nie rozumiem cię...

— Co myślisz o naszéj przyszłości?

— Ah, boję się myśleć o tém... głowa mi pęka od téj myśli...

— To źle, trzeba być raz mężczyzną i brać na serjo życie, — mówiła Wanda tonem surowym i napominającym.

— Da się to łatwo powiedzieć, ale trudniéj wykonać, — odpowiedział Henryk. — Gdzież jest na to sposób?

— No, sposób bardzo prosty i gotowy... proces... — rzekł Zawiła, zakładając noga na nogę.

— Pomyślcie sobie tylko, jakby to wyglądało: syn procesujący ojca!

— Nie pierwszy raz zdarza się to na świecie, — odparł Zawiła. — Ty w téj sprawie jesteś zupełnie czysty na sumieniu i honorze. Przecież do tego zostałbyś zmuszony przez niesprawiedliwe i barbarzyńskie postępowanie ojca. Całemu światu wiadomo, że zostałeś przez niego bez żadnéj racji pokrzywdzony. Zresztą o cóż tu chodzi? Nie nastajesz bynajmniéj na jego zdrowie, honor albo szczęście, tylko domagasz się pieniędzy, które

ci się należą. Może ci je oddać bez najmniejszéj ujmy dla siebie.

— Ja do jego majątku nie mam najmniejszego prawa, jeżeli mi go dać nie chce. To jest jego własność.

— Przepraszam. To nie jest jego własność. On ten majątek wziął po swoich przodkach, i ma obowiązek oddać go swoim i ich następcom, to jest najprzód tobie.

— Ja się o to dopominać nie będę... wojujesz sofizmatami...

— W takim razie nie będziesz się zapewne wzdragał zażądać od niego majątku matczynego...

— Ten należy do mojéj siostry.

— Wiem o tém, że go hrabina zapisała pannie Julji zaraz po jéj urodzeniu, ale obecnie zaszła ta zmiana, że panna Julja idzie do klasztoru...

— Idzie do klasztoru?... — zapytał Henryk zdziwiony, jakby nie chciał wierzyć téj wiadomości.

— Czy w istocie?.. — odezwała się zaciekawiona również Wanda.

— Jak Amen w pacierzu, idzie do klasztoru, — odpowiedział Zawiła.

— Zapewne bez wiedzy ojca, — zagadnął znowu Henryk.

— Zdaje się.

— Biedny starzec! — półgłosem, jakby do siebie odezwał się Henryk, — więc utraci i córkę... — A po chwili dodał:

— Biedna Julja!.. musiała się czuć bardzo nieszczęśliwą.

Usiadł w kącie pokoju i zatopił się w przykrych myślach, jakie w nim świeża wiadomość obudziła. Zdawało się, że zapomniał o obecnych i o tém, o czém przed chwilą mówiono.

Wanda przez cały czas jego rozprawy z Zawiłą siedziała nawpół przechylona na kanapie z zaciśniętemi ustami, z zachmurzoném czołem. To co słyszała, gniewało ją i oburzało.

Gdy Henryk zamilkł, i jak się zdawało na tém chciał przerwać dalszą rozmowę, powstała z siedzenia, westchnęła jakby z ubolewaniem i przeszedłszy się parę razy po pokoju, stanęła wreszcie przed Henrykiem.

— Więc znów do żadnego nie przyjdziemy rezultatu? — zapytała cierpko, niecierpliwie.

Henryk podniósł na nią oczy, w których przebijał głęboki smutek. Milczał, jakby nie słyszał pytania.

— Pytam ci się, — powtórzyła Wan-

da, — czy znów nasza rozmowa na niczém się skończy... Tego byłoby już zanadto... to byłoby niegodnie z twéj strony!.. Więc cóż chcesz?.. Żebyśmy wiecznie tak się tułali, wiedli ciągle życie bez jutra, w ustawnych kłopotach!.. Ah, tegom się nie spodziewała... nie myślałam, że będziesz obojętnie patrzyć na moje zmartwienia, że będziesz chciał skazać mię na niedostatek, może na nędzę... bo i do tego niedługo przyjdzie...

Mówiła to wszystko chłodno, ale głos jéj drżał od tłumionego gniewu, który każdy inny człowiek słyszący ją w téj chwili mógł wziąć za ukrywane cierpienie.

Henryk wysłuchał cierpliwie tych gorzkich wyrzutów. Na jego twarzy nie widać było żadnéj zmiany. Wanda spostrzegła to, a jego obojętność zdziwiła ją i przestraszyła. Dotąd nigdy jéj słowa nie przechodziły bez uczynienia na nim wrażenia.

Zdziwiła się jeszcze bardziéj, skoro ujrzała na ustach Henryka nieznaczny, ale wymowny, sarkastyczny uśmiech. Ona spodziewała się ujrzeć raczéj łzy w jego oczach, była pewną, że rzuci się do jéj kolan i ręce obsypywać będzie pocałun-

kami, prosząc o przebaczenie i przyrzekając spełnić, czego żądała. On zaś nie ruszył się z miejsca, nie zwrócił się do niéj, tylko tak jak siedział, odpowiedział obojętnym tonem:

— Więc koniecznie mam dobijać mego ojca?.. koniecznie mam mu pokazać, że nie ma we mnie ani iskierki miłości i szacunku dla niego?...

Wanda nie poznawała Henryka. Zajęta przez te kilka miesięcy wszystkiém więcéj niż nim, nie wiedziała, że nic tak ludzi nie zmienia jak cierpienie, że przykre doświadczenia czynią serce nieczułém i zahartowaném na obce dolegliwości.

— Więc tak trudno zrobić wybór pomiędzy tym starcem a mną! — zawołała mocno obrażona, odstępując od Henryka.

— Bardzo trudno! — odpowiedział stanowczym głosem i powstał szybko. — Utraciłem jego serce, a nie pozyskałem twojego. Boję się ranić go jeszcze więcéj, aby nie stracić ostatniéj nadziei pozyskania może kiedyś jego przebaczenia i jego miłości... Bo twojéj pewnie nigdy nie pozyskam.

— Co ty mówisz? — zapytała Wanda zdziwiona i przerażona.

Obojętność, jaką Henryk dotąd pokazywał, była wysiłkiem z jego strony. Wrodzona uczuciowość wkrótce przemogła i odezwał się z boleścią i rozdrażnieniem:

— Wiem, że mię nie kochasz... jestto okropne, ale na to nie ma rady...

Wanda wybuchła pustym, głuchym śmiechem.

— To wyborne!.. odzywasz się zawsze jak kochanek. Dawniéj, nim poszłam za ciebie, mogłam ci podobne rzeczy darować, ale teraz nie.

Zbliżyła się do niego i z pewnem przymileniem, z uśmiechem na ustach położyła rękę na jego ramieniu. Henryk patrzył na nią jakby temu nie mógł wierzyć, a pragnął, żeby to było prawdą.

Zawiła kiwał się na stołku i kręcił głową podczas całéj téj sceny małżeńskiéj.

Wanda mówiła daléj poważnym tonem:

— Jesteś nierozsądny. Gdybym cię nie kochała, nie byłabym poszła za ciebie. Gdyby mi chodziło o majątek, mogłam go mieć od kogo innego, i to z większą pewnością niż przy tobie. Nie rozumiesz mojego usposobienia. Nie należę do kobiet, które mają czułość na ustach, które

się pieszczą i ciaćkają i popełniają tysiące niedorzeczności dla okazania mężom uczucia. Jestem cokolwiek surowa w téj mierze, nie lubię profanacji serca, nie zniosłabym tego, aby zepchnąć uczucie do rzędu igraszek i kaprysów. Dlatego a nie z innéj przyczyny wydaję ci się obojętną. Wierzysz temu?

Twarz Henryka rozjaśniła się, odetchnął silnie jakby radość podniosła jego piersi, i pochwycił jéj małą rączkę w obie swe dłonie.

— Więc ja się myliłem... ty mię kochasz Wando?...

Wanda zdobyła się jeszcze na jedno kłamstwo:

— Nie wątp o tém — odpowiedziała, patrząc mu w oczy.

Henryk się uśmiechnął.

— A wiesz, ja ciebie już posądzałem.

— O kogo? — zapytała prędko Wanda, nie spotrzegając, że może się zdradzić tém pytaniem.

— O kasztelanica.... Odkąd on zaczął bywać u nas, wydawałaś mi się jeszcze obojętniejszą, jeszcze zimniejszą dla mnie. Nie wiem dlaczego przypominałem sobie często tę noc, kiedy po raz pierwszy do nas przyjechał... Pamiętasz zapewne, że

zastałem cię wtonczas zmienioną i pomieszaną; nie spałaś, chociaż było już tak późno... Ile razy ta chwila przyszła mi późniéj na myśl, zdawało mi się, że to jego bytność tak wpłynęła na ciebie...

— I cóż więcéj?... — zapytała Wanda z jakimś żartobliwym i gorzkim zarazem uśmiechem.

Henryk roześmiał się serdecznie.

— Więcéj już nic — odrzekł — chyba to, że z tego powodu martwiłem się bardzo...

— Ale teraz już martwić się nie będziesz?... kasztelanic!... (Wanda wzruszyła ramionami) — Mogłeś przynajmniéj wybrać kogo innego... Gdybym teraz w kim się zakochała, to pewnie w takim, któregom nie znała przed tobą... Jeżeli jestem płochą kobietą, to pewnie moje serce nie cofałoby się wstecz, ale pragnęłoby czegoś nowego i nieznanego. Ale dajmy temu pokój — dodała — czy wiesz, jaki mam projekt?

— Jaki?

— Jechać do Warszawy. To oddali nas od tych wszystkich przykrych wspomnień i od tych miejsc, w których tyle złego przeżyliśmy. Wyrwiemy się także z tego towarzystwa, które tu mamy, a

które, prawdę mówiąc, jest nudne i głupie. Tam będziemy spokojniejsi i weselsi, może nawet szczęśliwsi.

Projekt w ten sposób zachwalany przez Wandę, spodobał się Henrykowi. Zdawało mu się, że ze zmianą miejsca, będzie mógł w istocie odzyskać tę swobodę umysłu, którą oddawna utracił.

— Szczęśliwa przyszła ci myśl, — odpowiedział. — Tak, powinniśmy się stąd usunąć; może gdzieindziéj zacznie się dla nas inne życie.

— Na to jednak musimy mieć większe daleko fundusze — przerwała prędko Wanda.

— A to się inaczéj stać nie może, tylko w ten sposób, że odbierzesz od ojca swój majątek — dodał poważnie Zawiła, podnosząc się z krzesła, na którém dotychczas spokojnie przysłuchiwał się rozmowie małżonków, to pokręcając wąsy to uśmiechając się złośliwie.

— Trudno odmówić co takiemu aniołowi — mówił daléj i wziąwszy Henryka pod ramię, stanął z nim przed Wandą — zwłaszcza, kiedy ten anioł dobrze radzi. Tylko się przypatrz, co to za oko, co to za usta, jaka szyja!... Niech mię djabli biorą, gdybym nie był jéj kuzynem, musiałbyś się bić ze mną o nią!

Henryk patrzył na Wandę i ogarniał jéj wdzięki tém okiem, jakby jeszcze był jéj kochankiem.

— Wando! — zawołał cicho drżącym głosem i pochylił się ku niéj z niemą prośbą o pocałunek.

Wanda w milczeniu położyła na jego ustach swoje malcńkie, różane usteczka.

— Brawo, brawo!... otóż to mi się podoba! — wołał Zawiła trzymając ciągle Henryka pod ramię. Bądź pewny mój kochany, że nikt lepiéj od żony ci nie życzy. Słuchaj jéj rady i ufaj jéj, a będziesz daleko szczęśliwszy. To powinieneś raz na zawsze sobie zapamiętać, że wszystko, co ojciec zrobił, zrobił z zazdrości i dziwactwa, dla dogodzenia swojéj fantazji. A to znowu byłoby grzechem, ażebyście wy dla jego kaprysu zmarnowali sobie życie i żyli jak dziady. Stary tego nawet nie poczuje, choćby mu ze szkatuły ubył jaki miljonik, a wy możecie z tém żyć szczęśliwi. A jak dostaniecie, co wam się należy, no to wtody bez wielkiego kłopotu i mnie także będziesz mógł oddać moje trzy tysiące dukatów.

Henryk wyszedł z Zawiłą upojony jéj pocałunkiem i nadzieją tego szczęścia,

które widział w przyszłości. W téj chwili wierzył temu jak najmocniéj, że powodem jego zgryzot, nieporozumienia z żoną i chłodu, jaki pomiędzy niemi panował, była tylko ta okoliczność, że ich interesa majątkowe nie były uregulowane, że ich byt materjalny nie miał żadnéj stałéj podstawy i pewności i że zbyt blisko tego miejsca bawili, w którém ich szczęście już w pierwszéj chwili dotkliwy cios otrzymało.

Z niezmierną pociechą swego serca widział się zmuszony przyznać, że na to wszystko nie było lepszego lekarstwa, jak to, które doradzała mu żona: poszukać w innych stronach dla siebie domu i zapewnić sobie niezależną egzystencję.

Na drugi dzień potém, pan Pajączkowski, jeden z najtęższych jurystów w Dubnie i jego okolicach, wychowaniec byłéj niegdyś palestry lubelskiéj, zanotował sobie w swoim pugilaresie dla pamięci:

„Henryk hr. Ochocki *contra* Jan Aleksander hr. Ochocki.“

Odwrotna strona medalu.

Skoro tylko Henryk i Zawiła ją opuścili, Wanda rzuciła się na kanapę i westchnęła głęboko.

Czuła się bardzo zmęczoną.

Czém? Tą sceną, którą musiała odegrać, a która nie była pierwszą w jéj małżeńskiém pożyciu.

Wanda zawiodła się w swoich nadziejach, pomyliła się bardzo w swoich wyobrażeniach. Wystawiała sobie, że można kochać kogo innego, a mieć męża obok siebie; przekonała się, że dosyć trudno, że bardzo trudno te rzeczy z sobą pogodzić.

Ile razy wprzódy myślała o tém, że wyszedłszy za mąż, zbliży się do kasztelanica, wyjawi mu swą miłość i odda serce, nie widziała nikogo przed oczami, tylko jego samego. Ten stosunek, jaki się miał między niemi zawiązać, wydawał jéj się wtedy nietylko rajem, szczytem szczęścia ziemskiego, ale także czystém połączeniem się dwóch dusz, które to będzie mieć w sobie wzniosłego, że nie będzie znać żadnych więzów, a będzie trwałe, że nie będzie mieć żadnego materjal-

nego celu i wyrachowania, a będzie ścisłe i bezwarunkowe.

Wymarzyła sobie miłość wolną, miłość dla miłości, tak powabną jak mogła być miłość olimpijskich bogów, a tak serdeczną i czułą, jak miłość sielankowych pasterzy.

Nie można się temu dziwić; nie znała świata, a wyobrażenia o nim czerpała z pragnień własnego serca.

Człowiek, którego nazywała swoim mężem, czém miał być wobec tego stosunku z kochankiem? Istotą nieistniejącą, człowiekiem, który miał jéj dawać imię, pozycję i środki utrzymania, a zresztą być jéj zupełnie obcym, obojętnym, niewidzialnym prawie dla niéj. Zdawało jéj się, że tego człowieka nie będzie potrzebowała znać, nie będzie potrzebowała z nim mówić, a témbardziéj, nie dawać mu nic ze swego serca, ze swojéj osoby.

Zaślepiona swojém uczuciem, upojona namiętnym szałem, zapomniała o zwykłych i koniecznych warunkach życia, pragnęła tego, co być nie może, wyobrażała sobie, że to być musi.

Tymczasem było inaczéj. Z tym człowiekiem żyła pod jednym dachem, spotykała się z nim co godzinę; ten czło-

wiek miał do niéj pewne prawa, żądał od niej uściśnienia jéj ręki, jej pocałunku, a nadewszystko jéj uczucia.

Położenie rzeczy było zaś tego rodzaju, że Wanda była od niego zależną, bo bez niego była niczém i nie mogła dawać kochankowi téj bezinteresownéj wzajemnemi obowiązkami nie skrępowanéj miłości.

Musiała więc robić to, czego nie chciała, musiała udawać to, czego nie czuła, o czém nie myślała. Musiała oszukiwać, jedném słowem.

To było dla niéj nieznośne i przeciwne jéj naturze. Mogła być występną, ale nie była zepsutą; mogła uczynić kogoś nieszczęśliwym, ale nie umiała być podłą.

Oszukiwać męża było dla niéj ciężkiém zadaniem, bolesną koniecznością, ale oszukiwać kochanka... to było jeszcze okropniejsze.

A jednak i to musiała czynić.

Gdzież więc była ta miłość jedyna, wyłączna, bezwarunkowa, któréj pragnęła i którą spodziewała się znaleźć, oddając swe serce człowiekowi, który je posiadł?

Nie było jéj., Wanda jéj nie doznawa-

ła. Na większe swoje nieszczęście i na domiar swojego cierpienia musiała jednak przyznać, że ona była tą stroną, która warunków takiej miłości spełnić nie mogła i nie spełniała.

Wszakże to ona całowała męża i kochanka, wszakże to jéj dłoń spoczywała w rękach ich obu, i do nich obu używać musiała tych słodkich wyrazów: kocham i jestem twoja, które tylko jeden człowiek słyszeć powinien!

Nic to nie zmieniało rzeczy, że dla jednego czyniła to i mówiła do niego ze szczerego serca, a drugiego tylko pozorami łudziła; obaj jednakowo to słyszeli, i obaj korzystali z tych skarbów, które miłość ma dla wybranych.

Wanda czuła się upokorzoną, płoniła się ze wstydu przed samą sobą, ile razy pomyślała, jaką jest ta miłość, którą daje swojemu kochankowi. Czuła, że dopuszcza się względem niego zbyt wielkiego fałszu, że wszystko to co dla niego czyni i o czem go zapewnia, pomimo jéj najszczerszéj chęci musi być tylko i jest obłudą. Fatalne położenie, w jakiem się znalazła, sprawiło, że mogła mu dać tylko miłość nieczystą, że mu nie mogła oddać wyłącznie swojej osoby, i że tożsa-

me uczucia, które dla niego miała w głębi duszy, musiała udawać dla innego. Swoje serce, swoją osobę i swoje uczucia profanowała więc, poniewierała niemi, sprzedawała je, i dopiero tak zbezczeszczone i spodlone kazała mu brać i przyjmować za miłość wielką i nieograniczoną.

Uczuwała wstręt do siebie saméj, tém większą nienawiść do Henryka, a wstyd przed kochankiem. Miłość, w któréj obiecywała sobie tyle szczęścia, tyle zachwytów, tyle uniesień do nieba, przynosiła jéj zgryzoty i rozpacz, wtrącała ją w otchłań podłości, była nędzną i nikczemną w jéj własnych oczach.

Nie ma surowszych na świecie praw jak prawa moralne; naruszone w najmniejszym punkcie, mszczą się za siebie niemiłosiernie, nieodwołalnie, z żelazną konsekwencją.

A jednak mimo to wszystko ta miłość miała dla niéj rozkoszny czar i urok; nie byłaby chciała za nic w swiecie wyrwać się z jéj złotych okó‌w, chociaż te nieraz jak kleszcze ściskały jéj serce. Gdyby utraciła tę miłość tak pełną cierpień i wyrzutów sumienia, skalaną i na każdym kroku padającą w błoto, w ży-

ciu i w świecie całym nie widziałaby nic, tylko próżnię i nicość.

Należy to także do tajemnic miłości i jest ona nieraz zbrodnią, ale nie przestaje być nigdy niebiańską.

Mając ciągle na oczach własne swoje winy i to fałszywe położenie, w jakiem się znajdowała, Wanda nie miała śmiałości nawet sama przed sobą robić wyrzutów kasztelanicowi. W głębi duszy jednak czuła, że miałaby o co i jego oskarżać, że i on nie jest takim, jakim go widzieć pragnęła, o jakim marzyła.

Kasztelanic od pierwszéj swojéj wizyty coraz częściéj zaglądał do Dubna, coraz dłużéj, nieraz po kilka dni z rzędu bawił u Ochockich. Stał się najpoufalszym przyjacielem domu i niemal członkiem rodziny. Jego łatwe obejście się, jego sympatyczna osoba i humor nadzwyczaj towarzyski zjednały mu przychylność całego domu i wszystkich przyjaciół i znajomych młodego małżeństwa. Nawet Henryk chociaż chwilami podejrzywał go, nie mógł się oprzeć jego urokowi. Kasztelanic wydawał mu się tak serdecznym, otwartym i przyjacielskim, przytem człowiekiem tak pełnym honoru i delikatności, że gdyby nie te lekkie chmury za-

zdrości, byłby bezwątpienia starał się o najściślejszą z nim przyjaźń.

Wanda była uszczęśliwiona, widząc to korzystne wrażenie jakie na wszystkich robił, i przy pomocy którego zajął w ich domu stanowisko tak wygodne dla ich tajemnych stosunków.

Ale niedługo zobaczyła coś takiego: co jéj się nie podobało.

Powiadają, że miłość jest ślepa na błędy i wady ukochanéj osoby. Można temu zupełnie wierzyć, bo jest to bardzo logiczne i ma za sobą doświadczenie długich wieków. Świat już zanadto długo praktykuje w miłości, ażeby nie dopatrzył się prawdy przynajmniéj w jéj zewnętrznych fenomenach.

Na jednę jednakowoż rzecz miłość ma zawsze oczy otwarte i czucie bardzo delikatne. Osoba kochająca, niczego tak prędko nie zobaczy i nie poczuje w przedmiocie swoich uczuć jak braku miłości, jak tego, że drugie serce nie jest z jéj sercem dostrojone do jednego akordu.

I to znowu jest bardzo logiczne i naturalne. Nigdy nie widzimy tak dobrze ciemności, jak wtenczas kiedy wejdziemy w nię z miejsca jaśniejącego od światła.

Wanda więc uczuła niedługo, że po-

między jéj uczuciem a uczuciem jéj kochanka była wielka różnica. Kiedy jéj serce było podniesione i biło w nierównym takcie jak fale podczas burzy, u niego było spokojne i jakby nieporuszone. Nie widziała w nim namiętności, która podnieca życie duszy i trawi je zarazem, nie czuła w jego spojrzeniu, w uściśnieniu jego ręki tego boskiego płomienia; który dwie istoty przemienia w parę jasnych aniołów albo szatanów ognistych.

Kasztelanic był zawsze jednakim i takim samym, jak przy pierwszém widzeniu się z Wandą. Ani w sile jego uczucia ani nawet w stopniu jego poufałości z Wandą nie zaszła żadna zmiana. Powtarzał jéj, że ją uwielbia i ubóstwia, podziwiał jéj wdzięki, mienił się szczęśliwym, że jest przez nią kochanym. Ale nie było tego znać, ażeby rosło jego przywiązanie, ażeby nabierał tego przyjacielskiego uczucia, które wytwarza się z miłości i jeśli nie tak silnie jak ona, to silniéj od niéj wiąże ze sobą kochanków. Nie widać także było, ażeby cierpiał, tęsknił i uczuwał to nienasycone pragnienie, które jest znamieniem prawdziwéj miłości, co tym więcéj mogło zadziwiać Wandę, skoro wiedziała, że obojo nie

zajrzeli jeszcze do dna téj roskosznéj czary.

Rozmowy, jakie kasztelanic z nią sam na sam prowadził, nie różniły się wiele od konwersacji, jaką się prowadzi w towarzystwie. Jeżeli Wanda sama nie wprowadziła rozmowy na tór więcéj uczuciowy i poufały, kasztelanic pewnie tego nigdy pierwszy nie uczynił i zdawał się unikać tego przedmiotu, jakby jakiéj sprawy drażliwéj i nieprzyjemnéj. Opowiadał jéj rozmaite anegdoty z wielkiego świata, niektóre przygody swego życia, rozprawiał o literaturze, o polityce, a zawsze świetnie, z dowcipem i zajmująco. Ale w struny uczucia i serca nie uderzał; Wanda nie słyszała z jego ust tych słów najsłodszych dla ucha kobiety, słów urywanych, niedokończonych nieraz, ale mówiących więcéj niż cała książka, obejmujących w sobie ogrom świata.

Spostrzegła ona i to, że kiedy kasztelanica nie było przy niéj, kiedy go nie widziała, kochała go mocniéj i gwałtowniéj, wydawał jéj się wtedy takim, jakim go mieć pragnęła, i czuła się szczęśliwszą, tak szczęśliwą, że więcéj życzyć sobie nie mogła. Gdy przychodził do niéj, gdy była z nim sam na sam, po

krótkiéj chwili przychodziły jéj do głowy jakieś myśli cierpkie i przykre, jakby jego obecność lodowaciła jéj serce i zobojętniała ją. Nigdy też w jego obecności nie była całkiem swobodną; jakiś ciężar przygniatał wtedy jéj piersi; nie miała nigdy przy nim zupełnéj śmiałości i nieraz krępowała swoje myśli, aby nie wszystkie wyjawić i wypowiedzieć.

Ale z tém wszystkiém ona go kochała i dlatego starała go się usprawiedliwiać przed samą sobą.

Nie chcąc, ażeby on był winien, zwalała winę jego zachowania się i postępowania na siebie samę.

— W takiém położeniu, jak jesteśmy — mówiła do siebie — on nie może być innym. Przecież musi to czuć, że ja mu nie daję czystéj miłości, jakiéjby pragnął. Jest zbyt delikatnym, ażeby mi to powiedzieć; ale wie i czuje bardzo dobrze, ile fałszu i brudów miesza się do naszego stosunku. Musi mieć się na baczności i powstrzymywać się, bo czyż z taką miłością można się unieść wysoko?.. Nie dziwiłabym się, gdyby mną gardził. Dowodzi mi wielkiéj szlachetności, jeżeli znosi to wszystko cierpliwie i z rezygnacją.

W ten sposób biedna Wanda ubolewała nad kochankiem, a w potępieniu własném szukała dla siebie pociechy.

Niekiedy znowu tłómaczyła sobie ten brak uczucia, jaki zdawało jéj się, że spostrzega w kasztelanicu innemi powodami.

— Zanadto prędko oddałam mu całe moje serce. Dałam się porwać uczuciu i zapomniałam o zwykłych na świecie formach i o tém, com była winna swéj godności kobiecéj. Miłość się zdobywa i otrzymuje jako nagrodę po wielu trudach i próbach... nie znajduje się jéj na drodze. Oni są przyzwyczajeni do tego i lekceważą sobie łatwe zdobycze.... I on jest zbyt siebie pewny; i dlatego nie dba o moje względy i jest nieczuły; a przynajmniéj takim się wydaje. Gdybym jednak spróbowała....

Ale próbować Wanda nie miała siły i nie umiała. Próbować umie tylko kokieterja; w romansie prowadzonym dla rozrywki lub zysku można używać tych sztuk i sztuczek, w których serce drugiéj osoby odgrywa rolę piłki lub motyla, trzepiocącego się w siatce. Namiętność jest poważną i pogardza takiemi igraszkami.

Takiém było to szczęście, które Wan-

da znalazła w swéj miłości. Nie o takiém marzyła, nie takie sobie kiedyś obiecywała. W tym krzaku różanym, odurzającym swoją narkotyczną wonią, więcéj niż kwiatów napotykała jéj ręka cierni i głogów.

W upojeniu namiętności, w szale swych marzeń widziała tylko jednę stronę tego medalu, co się miłością nazywa, i nie przeczuwała, że jego strona odwrotna może być ohydną i okropną.

Tę stronę odwrotną zobaczyła już.

Co rani, przebudza.

Tak ze wszech stron zbierały się gromy na głowę starego hrabiego.

On tymczasem nie wiedział o niczém, nie przeczuwał nic, nie pomyślał nawet, ażeby ktokolwiek na świecie zajmował się jego osobą, czy to chcąc mu dobrze czy źle uczynić. Był przekonany, że na tém, co się stało, miał już być koniec. Zrobiono mu bardzo wiele złego, zrobiono to czego chciano, więc czegóż jeszcze więcéj można było żądać od niego, gdzie wyszukać jeszcze nowe miejsce, w które-

by go ugodzić można? Wszak dotknięto go tam, gdzie cios otrzymany mógł go najbardziéj zaboleć.

Nie spodziewał się więc, ażeby go czekały nowe jeszcze cierpienia. Te, z któremi żył, mogły już wystarczyć na całe życie. Nie obawiał się także nowych nieszczęść, bo te, przez które przeszedł, czyniły go obojętnym i nieczułym na wszystkie inne. Jak można zahartować ciało, wystawiając je na zimno i niewygody, tak można zahartować i duszę.

Hrabia żył więc jak w letargu; odurzony swojemi boleściami i bez nadziei, bez uczuwania potrzeby, ażeby się z tego stanu obudzić.

Ale życie nie cierpi tego stanu nawpół martwego; dopóki się nie skończy, dopóki nie wypali się jak oléj w lampie, czerpie ze siebie coraz nowe wydarzenia, wysnuwa z siebie coraz nowe nici, które raz jako cierpienie, drugi raz jako szczęście zaczepiają losy człowieka o koło téj wiecznéj, nieustannie poruszającéj się machiny świata i ludzkości.

W tym wielkim dramacie, jaki się na téj scenie odgrywa, nie można być aktorem bez roli, nie można się usuwać za

kulisy. Kto od współudziału chce odstąpić, bywa do niego zmuszony.

Nikt nie może powiedzieć: dosyć już cierpiałem! Los odpowie mu na to z ironicznym uśmiechem: przecierpisz jeszcze więcéj, będziesz cierpiał do samego końca. Zmęczyć się w drodze życia, ustać w jéj połowie, nie można; raz wcześniéj, drugi raz późniéj, ale zawsze trzeba ją zakończyć.

Było to w miesiącu maju około południa. — Dzień był prześliczny, słońce szło po niebie, niezasłoniętém ani jednym obłoczkiem; natura oswobodzoa z więzów zimy, oddechała całemi piersiami i wydawała ze siebie wonie i zapachy wiosny.

Ogród na zamku Belmont odmłodził się także i odświeżył. Na drzewach jaśniała zieleń świeża, niewinna; promienie słoneczne przeszywały ją nawskróś tak, jak przebija się dusza na twarzy dziecka, niemającego fałszu i tajemnicy. Po ziemi, na szmaragdowym kobiercu trawy, czerwone, niebieskie, żółte i innych kolorów kwiaty podnosiły swoje głowy, roztwierały swoje łona, wiedzione chęcią życia, nadzieją szczęścia i ciekawością, co to jest ta ziemia, na któréj istnieć im przeznaczono.

Na samym końcu ogrodu, tam gdzie się stykał z sąsiednią łąką po wązkiéj ulicy, więcéj niż inne zacienionéj i krzakami po obu stronach zarosłéj, tam i napowrót chodziła Julja.

Przechadzka jéj trwała już dosyć długo, może więcéj niż godzinę. Na Julji widać było pewną niecierpliwość; czasami przystawała i nadsłuchiwała ciekawie, jakby oczekiwała czyjegoś przybycia. Dotychczas nadzieja ją zawodziła; ten szmer, który dochodził do jéj ucha, robiła sucha gałąź spadająca na ziemię, albo przelatujący ptak, kiedy swém skrzydłem potrącił o liście lub krzewy.

Julja oczekiwała kogoś, co miał przybyć od strony łąki. Pole orne przytykało do téj łąki, a daléj zaczynał się las, po części nam już znany, bo niedawno widzieliśmy w nim Zawiłę, kiedy w swoim powrocie z Ostrowca spotkał tam tak niespodzianie hrabiego.

Powiedzieliśmy, że Julja się niecierpliwiła, że byłaby rada jak najprędzéj ujrzeć tego, na kogo czekała. Z drugiéj strony znać także było na niéj pewną obawę; kiedy podniosła oczy, wzrok jéj wydawał się jakby przelękniony; oddech jéj był szybki, jakby po prędkim biegu;

niekiedy westchnęła głośno i mocno; widocznie serce jéj biło prędzéj i silniéj niż zwykle.

Chwila, któréj oczekiwała, musiała być dla niéj stanowczą.

Nareszcie między krzakami, które zasłaniały widok na łąkę, dał się słyszeć szelest głośniejszy i wyraźniejszy niż inne dotychczas, jakby kto usuwał sobie gałęzie. Niedługo słychać już było po ścieżce stąpanie kroków ludzkich.

Julja zadrżała, usłyszawszy to, ale szła daléj naprzeciwko przybywającego.

Był to hrabia w tém samém ubraniu i z tym samym wysokim kijem w ręku, jak go widział Zawiła w lesie.

Jego to oczekiwała Julja.

Od niejakiego czasu pragnęła się z nim widzieć i miała mu coś ważnego do powiedzenia. Widywali się jednak bardzo rzadko i to przy stole, gdzie zawsze ktoś z domowników był obecny. Julja zaś chciała z nim mówić sam na sam.

Najprostszy na to sposób był udać się do mieszkania ojca. Ale Julja obawiała się tego. Z tém, co mu miała powiedzieć, a co bezwątpienia miało obudzić jego niechęć i gniew, nie miała odwagi stanąć przed nim i rozmawiać w cztery oczy i

pomiędzy czterema ponuremi ścianami jego pokoju. Wydawało jéj się, że będzie śmielszą pod gołém niebem, tam, gdzie za świadków i niejako za owych obrońców będzie mieć słońce, drzewa i kwiaty.

Było to uprzedzenie i urojenie, nic więcéj. Ale ileż takich uprzedzeń ma słaba natura ludzka! Łudzimy się i oszukujemy często dobrowolnie i byle czém, i to nas pociesza i dodaje nam odwagi.

Julja wiedziała, że ojciec dosyć często odbywa dalsze wycieczki w stronę lasu. Gdzie chodził, po co? to badać nie przyszło jéj nawet na myśl. Przestawszy go kochać, przestała się nim zajmować. Postanowiła jednak skorzystać z téj sposobności i spotkać się z nim, kiedy będzie do domu powracał, bo wychodził zwykle bardzo wczas, niekiedy z pierwszym już brzaskiem dnia.

Już od kilku dni Julja wyczekiwała na niego w téj stronie ogrodu, gdzie z ulicą ogrodową łączyła się ścieżka prowadząca przez pole do lasu. Ale albo zabrakło jéj nagle odwagi i wracała do siebie nie czekając na ojca, albo też przybycia jego doczekać się nie mogła, i zwątpiła, żeby go zobaczyła.

Tego dnia dowiedziała się od kamer-

dynera, że hrabia wyszedł bardzo rano z domu. Zebrała wszystkę swoję odwagę, postanowiła raz już zrzucić ten ciężar, który miała na sercu, i szczęśliwy wypadek zdarzył, że jak pragnęła spotkała się z ojcem.

Hrabia wyszedł już z krzaków i zbliżał się do Julji nie spostrzegając jéj. — Ona zwolniła kroku. Tuż przy samej drodze pod piękną brzozą opuszczającą melancholicznie swoje gałęzie ku ziemi stała ławeczka. — Julja usiadła na niéj, i czekała aż ojciec nadejdzie. — Bytności swojéj na tem miejscu chciała odjąć pozór oczekiwania, a spotkanie się z ojcem uczynić niby dziełem przypadku.

To jéj potrzebném było do nabrania śmiałości przynajmniéj na początku rozmowy.

Hrabia zrównał się już z nią prawie, a jeszcze jéj nie widział. Był zamyślony, i w samotnym swoim ogrodzie nie spodziewał się spotkać jak zwykle nikogo.

— Dzień dobry! — odezwała się wtenczas Julja drżącym głosem.

Hrabia podniósł głowę.

— A to ty... rzekł i zdawało się, że nie myśli się zatrzymać.

Julja powstała, i dotknęła ręką jego ramienia.

— Parę słów tylko — odezwała się cicho — czy mogę prosić?...

Hrabia wtedy dopiero przypatrzył jéj się dobrze. — Była blada, pomieszana i drżąca. Jakiś nagły niepokój ogarnął jego serce. Równocześnie zdziwił się bardzo, że Julja chce z nim rozpocząć rozmowę i ma mu cóś powiedzieć. Od tak dawna oprócz zwykłéj, obojętnéj konwerzacji, nie było między nimi innéj rozmowy.

Wziął ją za rękę i posadził na ławeczce i usiadł obok niéj.

— Co tobie jest Juljo? — zapytał wpatrując się troskliwie w jéj twarz.

Julja spuściła oczy jakby jego wzroku wytrzymać nie mogła, i uśmiechnęła się z przymusem.

— Nic mi nie jest, nic zupełnie. — Chciałam skorzystać ze szczęśliwego wypadku i pomówić....

Od niejakiego czasu unikała w rozmowie z hrabim tego wyrazu: ojciec.

— I owszem, mów, mów o wszystkiem co chcesz.

Julja wysunęła swą rękę z jego dłoni, i po chwili rzekła pewnym i stanowczym głosem:

— Chcę iść do klasztoru...

Jakkolwiek była pewna, że to jéj postanowienie nie otrzyma potwierdzenia od ojca i jego gniew na siebie ściągnie, nie chciała go wypełnić wprzódy, dopóki mu o niem nie powie. Czuła, że nawet utraciwszy miłość dla ojca, ma jeszcze dla niego pewne obowiązki.

Hrabia spojrzał się na nią mocno zdziwiony:

— Ty chcesz iść do klasztoru?...

Julja czuła wzrastającą w sobie śmiałość.

— Tak jest — odpowiedziała krótko.

— Któż ci to doradził? — zapytał znowu hrabia łagodnie.

— Nikt, ja sama tego pragnę.

— I dla czegóż ty chcesz iść do klasztoru?

— Nie lubię tego świata.

Hrabia uśmiechnął się boleśnie:

— To za wczas — rzekł i równocześnie jego oczy padły na przecudną, pełną świeżości i życia naturę, która dokoła nich roztaczała swe wdzięki.

W téj chwili uczuł mimowoli całą jéj piękność, i rzekł poważnym, ale spokojnym głosem, w którym drgała coś takiego jakby poczucie szczęścia.

— Patrz, jaki ten świat cudowny!...

jak wszystko garnie się do życia i oddecha szczęściem! Dla czegóżby ten świat miał zbrzydnąć w twoich oczach, — dla czegóżbyś chciała zaprzeczyć temu, że jest wielki i wspaniały? Ty jesteś jeszcze jak ten kwiatek, który dzisiaj dopiero rozkwitł, jak ta kropla rosy kryształowa i czysta, która mieni się od promieni słonecznych w tęczowe barwy. Czy nie byłoby grzechem, gdyby ten kwiatek wgniótł ktoś nogą w ziemię, albo gdyby tę kroplę otrząsł z tego listka i przemienił ją w błotnistą plamę na ziemi?

— Jest jeszcze świat drugi, ten który stanowią ludzie — odpowiedziała Julja, o tym ja mówiłam....

— Tego drugiego świata ty jeszcze znać nie możesz. — Jednym jest na nim źle, drugim lepiéj..... Trzeba wprzódy sprobować....

Potem dodał:

— A wiesz ty — co to jest klasztor?

— Miejsce, gdzie jest spokój i modlitwa — odpowiedziała.

Hrabia potrzął głową:

— Mylisz się — rzekł. Tam toczą się walki sroższe niż na świecie, tam modlitwa przemienia się często w bluźnierstwo i złorzeczenie. Klasztor to jest grób, a

prawem świata jest życie. Natury bezkarnie obrażać nie można. — Kto za życia wejdzie do grobu, czeka go powolne, okropne konanie i rozpacz. — Do grobu mogą iść tylko umarli. Kogo zabiła boleść, kto stracił nadzieję temu wolno żywcem się zagrzebać, ale kto nic nie doznał i nie przeszedł, tego obowiązkiem jest poznać, co boli, tego obowiązkiem jest żyć. Samobójstwo jest występkiem, a kto zabija w sobie uczucia naturalne, myśl i serce, czyni to samo, jakby sobie odbierał życie.

Julja słuchała tych słów obojętnie, nie słuchała ich raczéj; wiedziała naprzód, że je usłyszy. Wszakże powiedziano jéj, że jéj ojciec odstąpił od Boga i religji.

— Ja oddawna czuję w sobie powołanie iść do klasztoru — odpowiedziała krótko na przedstawienia ojca.

— Takiego powołania nikt nie ma. — Ludzie stworzeni są do życia. Twoje powołanie nie jest niczem innem tylko chwilowém urojeniem. Powiedz mi, jak sobie wyobrażasz życie w klasztorze, — co ty tam będziesz robić?

— Będę się modlić?...

— I o co będziesz się modlić?...

— O to, żeby Bóg przebaczył mi wszystkie grzechy...

— Jakież ty możesz mieć grzechy... ty dziecko niewinne i czyste!

— Będę się modlić także i za innych...

Julja powiedziała to mimowoli z jakimś znaczącym naciskiem. Hrabia, który nie znał tajemnic jéj serca, nie spostrzegł tego jednak.

— Twoje modlitwy obcym grzechom nic nie pomogą — rzekł pochylając głowę na piersi. — Każdy odpowiada i pokutuje za siebie.

Nastała chwila milczenia.

Przerwała ją Julja i podnosząc błagalne oczy na ojca, zapytała:

— Więc cóż, czy zyskałam pozwolenie?...

— Na to, co się sprzeciwia mojemu przekonaniu i twojemu szczęściu, pozwolić nie mogę — odpowiedział hrabia. — Zastanów się jeszcze bliżéj nad tą myślą. Rozwaga i czas wpłyną pewnie na zmianę twojego postanowienia. Nie wierzę temu, ażeby ono było stałem i domyślam się, że ktoś wpłynął na jego powzięcie.

Ostatnich słów hrabia domówił z pewną goryczą. Ten „ktoś,“ co się wkradał w jego prawa, zakrwawił mu serce.

Julja powstała z ławki obojętna i nic nieporuszona tém, co ojciec mówił. Czuła, że jéj teraz lżéj na sercu, skoro spełniła już ten ciężki obowiązek. Pozostawał jeszcze do spełnienia drugi obowiązek — względem Boga i swego sumienia. Miała najsilniejsze postanowienie i ten również z całą gotowością wypełnić.

— Pójdziemy już zapewne na zamek — odezwała się chłodno, jakby o przedmiocie tak ważnéj rozmowy już zapomniała.

Hrabia podniósł się także i oboje szli obok siebie do zamku niemówiąc ani słowa.

Hrabia rozmyślał przez drogę o tém, co usłyszał i uczuł coś, jakby wyrzuty sumienia. Zdawało mu się, że to z jego własnéj winy córka przyszła do tak szczególnego i niespodziewanego postanowienia. On o niéj zapomniał, usunął się od niéj, a biedne dziecko w samotności i opuszczeniu, w pustym zamku i prawie bez towarzystwa, musiało stracić upodobanie do świata i przybrać sobie do głowy te melancholiczne i rozpaczliwe myśli.

W taki sposób tłómaczył sobie to niespodziewane postanowienie córki. Nie wystarczało mu to jednak zupełnie. Myśl, że Julja przyszła do tego postanowienia pod czyimś wpływywem, za czyjąś namo-

wą i radą, wydawała mu się bardzo prawdopodobną i jedynie zdolną całą tę sprawę wyjaśnić. Wychowanie, jakie jéj dał, pojęcia, jakie w niéj zaszczepiał i cała ta atmosfera duchowa, jaka w jego domu panowała, były tego rodzaju, że Julja sama nie mogła przyjść na myśl podobną i powziąć taki zamiar. Ktoś inny musiał jéj te myśli podsunąć i w niéj je rozwijać.

Ten „ktoś inny“ w pierwszéj już chwili, jak powiedzieliśmy, bardzo mu się nie podobał, a im więcéj hrabia rozmyślał nad tém, tém więcéj bolało go serce. — Więc znowu znalazł się „ktoś,“ co większe niż on posiadł zaufanie jego dziecka, co mu wykradał tę duszę, którą on uważał za swoje dzieło i za swoję własność! Ten nieznajomy inspirator działał wbrew jego dążnościom, więc bezwątpienia niezomieszkał w oczach córki przedstawić jego zasad i przekonań jako zło i błędne, a ta córka poszła za jego głosem i uwierzyła mu...

Hrabia przypominał sobie wrażenie, jakie na nim rozmowa z córką robiła i nie mógł się oprzeć przekonaniu, że ze słów Julji wiał jakiś chłód i obojętność dla ojca. Ten wpływ obcy musiał zatém

sięgać głęboko i zmienił nietylko wyobrażenia Julji, ale także jéj uczucia, przytłumił tę miłość, jaką miała zawsze dla ojca.

Te myśli raniły mocno serce hrabiego, ale znowu musiał przyznać, że się to stało z jego winy i z tego powodu, że nie pamiętał o córce i tém samém dawał komu innemu sposobność do wywierania na nią swojego wpływu.

W skutek tych reflcksji dusza hrabiego ocknęła się z letargu, w jakim dotychczas była. Uczuł coś podobnego, jakby nagle rozdarła się mgła nad jego oczami wisząca, a on zobaczył wtedy, że oprócz cierpień w jego wnętrzu zamieszkałych, jest jeszcze na świecie coś innego — są jakieś obowiązki, jest dziecko!... Z tą świeżą boleścią, która go dotknęła, wszedł także do jego serca jakiś promień świetlany i obudził go.

Hrabia postanowił naprawić swoje błędy i zająć się więcéj córką. Równocześnie uczuł jakby jakieś świeże siły w sobie, jakby niespodziany przybytek życia.

Obce prawa nie obowiązują.

Odtąd częściéj niż w ciągu ostatnich kilku miesięcy można było widzieć ojca w towarzystwie córki. Hrabia przychodził do pokoju Julji i bawił tam czas jakiś, wypytując o jéj zdrowie, o jéj zajęcia i starając się wynaleźć oprócz tych rzeczy potocznych inny jeszcze jakiś ważniejszy a interesujący przedmiot rozmowy. Bardzo często także wychodzili razem na przechadzkę, do ogrodu, na wieś albo na pola.

O klasztorze nie było nigdy więcéj mowy pomiędzy niemi. Hrabiemu zdawało się, że Julja o tém zapomniała, że poznawszy jego zapatrywanie się i wolę, zgadzała się z niemi, i stopniowo, może nie bez pewnéj walki z sobą, odstępowała od powziętego zamiaru. To przypuszczenie cieszyło go bardzo, chociaż nie bez smutku zawsze widział, że usposobienie córki względem niego bynajmniéj się nie polepsza. Julja była zwykle małomówiącą, smutną jakąś i do dawnéj z nim poufałości i szczerości powrócić

nie mogła. Zdawało się, że ciągle jest pomiędzy niemi coś, co ich rozdziela i córkę odpycha od ojca.

Gdyby hrabia mógł był przejrzeć serce Julji, byłby zobaczył jeszcze coś gorszego, niż się domyślał. Towarzystwo ojca i rozmowy z nim były dla niéj poprostu męczące i nieprzyjemne. Byłaby wolała jego dawniejszą niepamięć, niż tę troskliwość, jaką teraz dla niéj pokazywał. Zadawała sobie gwałt, ażeby te uczucia na jaw nie wyszły i w tém, jaką była, widziała już pewne poświęcenie ze swéj strony.

Ale i hrabia niezupełnie się także odmienił, i gdyby się był nad tém zastanowił, mógł także i w samym sobie znaleść coś do zarzucenia. Ten prąd nowego życia, jaki po nim przebiegł, nie był długotrwały i zawsze jednakowo silny. Przebudziło się w nim poczucie obowiązku, podrażniła go rana świeżo otrzymana, ale dawniejsze były daleko boleśniejsze i jeszcze krwią się sączyły. Więcej on w siebie wmawiał, że mu należy powrócić do życia, niżeli do niego w istocie powrócił; podniecał w sobie niby sztucznemi sposobami siły, ale nie było w nich dawnéj energji i hartu. Zapominał

się téż często i wpadał w dawny letarg, w swoje czarne myśli i rozpamiętywanie swych boleści.

Tym sposobem można było nieraz widzieć, jak starzec i dziewica chodzili całemi godzinami po polach pokrytych zielonemi jeszcze nawpół kłosami w milczeniu, nie odzywając się do siebie, każde zatopione w swoich myślach, ona ze spuszczonemi oczyma, a on z rękami w tył skrzyżowanemi i z głową zwieszoną na piersi.

Julja była rada takim chwilom, czuła się wtedy swobodniejszą, a hrabia stanąwszy dopiero w bramie zamkowéj z powrotem, opamiętywał się i wyrzucał sobie swoje zapomnienie.

Zdarzało się także czasem, że hrabia przyszedłszy do Julji, aby z nią pomówić albo wyjść z zamku, nie zastawał jéj u siebie. Wtenczas nikt zwykle nie wiedział, dokąd i kiedy wyszła. Za pierwszém widzeniem się z ojcem, Julja wytłómaczyła się zawsze z swojéj nieobecności, powiadając, że była to w ogrodzie, to w chacie jakiéj znajoméj sobie wieśniaczki, która albo sama była chorą, albo miała chore dziecko, to gdziekolwiekindziéj.

Hrabia musiał wierzyć, chociaż mu się to nie podobało. W istocie Julja kłamała, i musiała kłamać, bo jakim sposobem mogłaby się przyznać ojcu, że w tym czasie była w dworku wikarego, albo jeźli jéj tak kazał, w kościele.

Stosunki pomiędzy niemi dwojgiem nie ustawały na chwilę, owszem stawały się coraz ściślejsze, a widywanie się ich coraz częstsze.

Pewnego dnia, nad wieczorem, hrabia i Julja wracając z podobnéj przechadzki, przechodzili przez wieś. Był to dzień roboczy, daleko jeszcze było do zachodu słońca, a jednak na wsi panował jakiś ruch niezwykły. Przed domami na drodze stały gromadki mężczyzn po kilku i więcéj i zajęte były jakąś ważną rozmową. Najczęściéj gromadki te zbierały się około jednego lub dwóch starszych gospodarzy. Ci zdawali się coś tłómaczyć młodszym, a młodsi słuchali, zapytywali i potém znowu wspólnie się naradzano.

Przedmiot tych narad nie musiał być bardzo wesoły. Na twarzach widać było smutek, jakby z otrzymania niespodzianéj a niemiłéj wiadomości. Gospodarze kiwali często głowami i spoglądali po

sobie z tym wyrazem, jakby sobie mówili: niedobrze się stało, a nie wiemy, co z tém mamy zrobić.

Największa taka gromada stała przed drzwiami cerkiewnego cmentarza. Zdawało się, że tam jest źródło całego tego ruchu i zajęcia, że ztamtąd wyszła ta niepokojąca wiadomość. Każdy prawie ze świeżo przybywających na ulicę z domu albo z pola, pogadawszy chwilę z pierwszą lepszą spotkaną na drodze gromadką, szedł potém przed cerkiew, jakby chcąc się o czémś przekonać, i powracał po niejakim czasie do swoich z zadowolnioną ciekawością i z tym wyrazem twarzy, jaki nadaje pewność o jakiémś smutném wydarzeniu.

Hrabia nie zwracał bardzo uwagi na to, co widział idąc przez wieś. Nie spostrzegł także i tego, że wieśniacy dzisiaj jakoś inaczéj niż zwykle go witali. Nie przybiegali do niego, nie zaczynali z nim rozmowy, ale raczéj zdawali się unikać jego zbliżenia się. Zdaleka tylko uchylali czapek i kapeluszy, jakby z jakąś niechęcią i nieśmiałością, i spoglądali przytém na niego jak gdyby mieli do niego jakąś urazę, albo sami względem niego coś zawinili.

Ktoby dziś po raz pierwszy był ich widział, powiedziałby, że albo ten dziedzic jest wielkim despotą, albo jego poddani bardzo złymi ludźmi.

Hrabia i Julja doszli do bramy zamkowéj. I tu także stało kilka mniejszych gromadek. Jedni zaglądali nieśmiało za bramę, jakby na dziedzińcu było coś ciekawego, drudzy stali wzdłuż muru, twarzą do niego obróceni i patrzyli w górę.

Julja przechodząc spojrzała machinalnie w to miejsce i zdawało jéj się, że zobaczyła na murze jakiś duży papier zapisany. Nie pomyślała jednak, coby to być mogło. Było tyle jeszcze innych rzeczy na świecie, które ją nic nie obchodziły!

Na dziedzińcu powtórzyło się prawie to samo widowisko. Tylko że stojąca tutaj gromadka składała się z ludzi dworskich, z lokai i kozaków, którzy otoczyli dokoła niewielki wózek parą koni zaprzężony i siedzących na nim trzech ludzi obcych i nieznajomych.

Hrabia szedł z córką ulicą, na któréj właśnie ta gromadka się zebrała. Nie mógł jéj zatém nie widzieć, i zdziwiony zatrzymał się:

— Co to takiego? — zapytał.

Ludzie dworscy odstąpili od wózka i zeszli na bok, usłyszawszy za sobą głos hrabiego.

Stary marszałek dworu zbliżył się do niego z jakąś zafrasowaną miną.

— Jaśnie panie, — rzekł wskazując, — to woźny z sądu kamienieckiego...

— Czego on tu chce?

— Przyjechał do pana hrabiego...

— Do mnie?... ja ze sądami nie mam nic do czynienia — odpowiedział hrabia i nie spojrzawszy nawet na urzędową osobę postąpił kilka kroków naprzód.

Wtedy ten, którego marszałek nazwał woźnym, zeskoczył z wózka i szybko podążywszy za hrabim, zabiegł mu drogę.

Figura jego nie wzbudzała ani dla siebie ani dla urzędu, który reprezentowała wielkiego uszanowania. — Twarz mocno trędowata ze spiczastym i zadartym nosem, z rudawemi faworytami, miała na sobie wyraz umysłowego ograniczenia a przytem nie małéj zarozumiałości i wyobrażenia o osobie swojego właściciela. Okrągła z dużem dnem furażerka, surdut ciemno-oliwkowéj barwy; dobrze przetarty na szwach i zachodzący poniżej kolan, wysokie buty juchtowe i wreszcie

olbrzymi, szeroki halsztuch, w którym broda mogła swobodnie odbywać rozmaite manewra — oto było ubranie, które tę osobę pokrywało.

Dogoniwszy hrabiego woźny jedną ręką zdjął czapkę z głowy, drugą zaś wyjął z zanadrza jakiś papier.

— Czy widzę przed sobą Jana Aleksandra hrabiego Ochockiego? — zapytał uroczystym głosem.

Hrabia spojrzał na niego surowo, ale zatrzymał się.

— Czegoż waćpan odemnie chcesz?

Woźny ukłonił się nisko i podał mu papier.

Hrabia rozłożył go i rzucił nań okiem.

— Co to jest?..... zawołał drżącym od gniewu głosem — pozew?... mnie pozew!....

— Od sądu kamienieckiego — rzekł woźny nie tracąc miny i z niskiem ukłonem.

Byłoto w saméj rzeczy wezwanie hrabiego do stawienia się przed sądem w Kamieńcu w skutek skargi zaniesionéj przez Henryka. Oskarżający żądał, aby sąd wezwał hrabiego do oddania mu przypadającego nań majątku i ażeby nad jego osobą sąd ustanowił kuratelę, jako nad człowiekiem zapadającym na umyśle.

Ta druga część bez wiedzy Henryka a na żądanie Zawiły została przez pana Pajączkowskiego wsuniętą do zaskarżenia.

Oba te motywa zawezwania były w piśmie urzędowem wyraźnie wymienione.

Hrabia w jednéj chwili to bladł, to czerwieniał; jego oczy martwe i nieruchome zabłysły gniewem i zaczęły się rzucać w swéj oprawie, jakby chciały wybiegnąć z czaszki.

Zacisnął pięść konwulsyjnym ruchem, zmiętosił, pozew zrobił z niego gałkę papieru i w tym stanie rzucił go pod nogi zdumionemu urzędnikowi.

— Precz mi stąd!.... zawołał — ja wtaj nie znam żadnych sądów!.... Powiedz tym, co cię przysłali, że mnie ich prawa nic nie obchodzą.... ja sam jestem tu panem swych czynności i przed ludźmi z nich sprawy nie zdaję.

Woźny nie stracił jeszcze odwagi. Dodało mu jéj oburzenie, które uczuł na widok czynu spełnionego przez hrabiego. Obrócił się do ludzi dworskich obecnych na dziedzińcu i donośnym głosem zawołał:

— Biorę was za świadków, że doręczyłem pozew jaśnie wielmożnemu hra-

biemu, biorę was także za świadków, co hrabia...

Nie dokończył, bo przerwał mu głos hrabiego grzmiący za jego plecami:

— Wyrzucić go!

Ludzie dworscy, do których ten rozkaz był wymierzony, okazali w jednéj chwili wielką gotowość, do jego wypełnienia. Kilku z nich już się naprzód wysunęło.

Spostrzegł to woźny, zmiarkował, że nie przelewki, i bokiem zaczął się rejtetować ku wózkowi. Siedziało tam dwóch pachołków sądowych, których zabrał ze sobą dla większéj powagi i ostentacji. — Byli oni nawet uzbrojeni, bo mieli przy boku pałasze, nieszczęściem tępe i zardzewiałe w pochwie, i pewnieby razów dobrego kija nie wytrzymały.

To też zaledwie woźny dopadł wózka, wskoczył do niego ze zręcznością kota, i nie dowierzając widać sile swojéj armji zaciął konie i galopem puścił się ku bramie.

Ludzie dworscy rzucili się za nim z krzykiem i śmiechem, ale powstrzymał ich marszałek, który sądził, że trzeba koniec położyć téj awanturze, skoro ży-

czeniu hrabiego stało się zadość, i woźny wyniósł się z zamku.

Hrabia tymczasem szedł z córką do domu rozdrażniony i pełen gniewu.

Niemym świadkiem téj sceny była Julja. — Z początku, gdy zobaczyła nagłą zmianę w ojcu i usłyszała jego głos drżący, uczuła w sercu głęboki żal dla biednego starca. Omało nie rzuciła mu się na szyję z wykrzykiem pełnym współczucia: Mój ojcze! i z prośbą aby swoje oburzenie pohamował. Gdy jednakowoż hrabia wybuchł gniewem, kiedy zapomniał się w swojem uniesieniu, litość w sercu Julji ustąpiła miejsca jakiemuś wstrętowi. Nigdy jeszcze nie widziała ojca w podobnym stanie, i w jednéj chwili to dzisiejsze wydarzenie przypomniało jéj podobne wypadki z jego dalszéj i bliższéj przeszłości.

Serce Julji, na chwilę rozbudzone uczuciem, zmartwiało znowu, a delikatna jéj dusza ze zgrozą przypatrywała się temu nowemu wybuchowi namiętności. Gniew hrabiego, na który patrzyła własnemi oczami, był jednym jeszcze więcéj powodem, ażeby go potępiła, i ażeby sobie powiedziała: ten świat, na którym nawet ludzie, którzy za dobrych i mądrych u-

chodzą, tyle mają błędów i tak są ułomni, nic nie jest wart.... można nim tylko pogardzać, albo go porzucić.

Vox populi, vox Dei.

Gdy się to działo na dziedzińcu zamkowym, na wsi ten niezwykły ruch, o którym mówiliśmy, bynajmniéj nie ustawał, ale wzmagał się coraz więcéj. Pojedyncze gromadki łączyły się w coraz większe kupy, rozmowy stawały się coraz gwarniejsze, coraz hałaśliwsze. Nie tylko mężczyzni, ale teraz już i kobiety należały do tych zgromadzeń pod gołém niebem i do rozpraw jakie z wzrastającym zapałem prowadzono.

Z początku było to tylko wzajemne udzielanie sobie jakiéjś wiadomości i wynurzanie tego smutnego wrażenia, jakie ona w umysłach wywołała. Teraz zaczęto już o tém wydarzeniu wydawać swoje sądy i objawiać swoje zdanie. Powszechnéj zgody widocznie nie było, i każda prawie z mniejszych lub większych gromadek dzieliła się na dwa przeciwne obozy. Silniejszą była strona tych, którzy

odzywali się jakiemiś wyrazami nieprzyjaznemi, z szyderstwem, niechęcią, a nawet pogróżką; ci także mówili głośniéj, niekiedy z krzykiem i przekleństwem. Na obozie przeciwnym widać było pewien smutek i to zniechęcenie, jakie ogarnia człowieka, jeźli broni sprawy potępionéj przez ogół, a dla jéj usprawiedliwienia nie może znaleźć wystarczających powodów, i sam w te, które podaje, nie dosyć mocno wierzy.

Wydarzenie, które zaszło na dziedzińcu zamkowym, dodała nowego fermentu do tego wzburzenia umysłów. Woźny podciąwszy konie na dziedzińcu, nie obejrzał się za siebie aż w połowie lipowéj alei, a widząc, że go nikt nie goni, odzyskał i śmiałość i powagę urzędową, i z gęstą miną zajechał do wsi przed karczmę.

Tutaj dopiero wylał on ze siebie cały potok złorzeczeń i odgróżek na hrabiego. Chłopi nie rozumieli z początku, o co mu chodzi, późniéj zmiarkowali nieco z jego urywanych wyrazów, a resztę dopowiedzieli im ci, którzy stojąc przy bramie zamkowéj byli świadkami tego zajścia, a teraz ze świeżą wiadomością do wsi wrócili.

Rozumie się, że ta wiadomość nim doszła z dziedzińca zamkowego na wieś, musiała uledz znacznemu przekształceniu. Niedługo opowiadano sobie po wsi, że urzędnik przyjechał hrabiego aresztować, a hrabia w twarz go uderzył.

— Źle z naszym panem, źle! — mówili starsi gospodarze, kiwając z politowaniem głowami — musiał on coś bardzo złego zrobić, skoro tak wielkiego pana przyszli uwięzić. Kto wié, co z tego jeszcze będzie!..

Przed cerkwią ciągle jeszcze był główny punkt całego ruchu. Na drzwiach cmentarza było przylepione pismo podobne do tego, jakie Julja widziała na murze przy bramie zamkowéj. Kilku z obecnych, widać świeżo na to miejsce przybyłych, stało w bliskości tego pisma, które niedawno jeden z młodszych gospodarzy im odczytał.

— I cóż wy na to? — zapytał jeden z nich najbliższego swego sąsiada, wskazując na pismo.

— Toć oni tam muszą być mądrzejsi niż my — odpowiedział mu sąsiad wzruszając ramionami.

— A czy to prawda, że tam podpisa-

ny paroch i ksiądz dziekan? — zapytał głos kobiecy.

— Prawda, prawda — mówił jakiś młody gospodarz, i zbliżywszy się do pisma, wskazywał palcem — tu widzicie ksiądz dziekan, a tu paroch.

— Boże mocny, ktoby się był spodziewał — westchnęła kobieta — że człowiek także dopuszczał się takich herezji! — i przeżegnała się pobożnie.

— To graf, a nie wy, będzie mieć na sumieniu — pocieszała ją druga.

O kilkanaście kroków od nich zgromadzenie liczniejsze otaczało do koła jakiegoś starego gospodarza, który stał na kamieniu i przez dłuższy czas do zgromadzonych przemawiał.

— Teraz — kończył swoję przemowę — należy nam rozważyć, czy mamy słuchać grafa czy parocha. Rozmyślcie to sobie dobrze, i jak kto myśli, niech głośno wypowie.

Nastała cisza w zgromadzeniu; sprawa wydawała się być ważną i drażliwą.

Nareszcie z ciżby wyszedł Maksym Pawluk, chłop rosły i barczysty a ogorzały jak cygan. Stanął niedaleko starca i odezwał się silnym głosem:

— Tu nie ma się co namyślać, my

nie możemy słuchać grafa, skoro nam księża zakazują. Iwan (tu wskazał na starca) już wam dostatecznie wytłómaczył, co znaczy to pismo, które nasz paroch i łaciński ksiądz podpisali. Więc to jasne jak słońce, że wachać się nie możemy. Ja tak myślę i zdaje mi się, że się ze mną zgodzicie.

— Dobrze mówi, dobrze mówi, nie możemy słuchać grafa — odezwały się głosy z tłumu.

Maksym zachęcony jeszcze więcéj powodzeniem mówił daléj:

— Byliśmy głupi, jak zwyczajnie prości ludzie, i daliśmy się obałamucić dziedzicowi. Przecież i ja pamiętam i starsi ludzie jeszcze lepiéj pamiętają, że tych rzeczy, które on zaprowadzał, za dawnych czasów nie bywało. Nie znali tego nasi ojcowie ani nasi dziadowie, i po swojemu Pana Boga chwalili, a było im z têm dobrze. Pańskie wymysły mogą być dobre dla panów, ale nie dla gromady, nie dla nas chłopów. Chociaż i to jest rzecz wątpliwa, bo teraz księża, którzy się znają lepiéj niż my i panowie na chwale bożéj, otwarli nam oczy i pokazali, że w têm wszystkiém było dużo bezbożności i herezji. Dziękujmy więc Panu Bogu

i naszym ojcom duchownym, że nas oświecili, i powróćmy do dawnych zwyczajów. Toć i niejednemu z was zapewne nieraz na myśl przyszło, że te wszystkie nowości, które graf zaprowadzał, nie są potrzebne, a zbawieniu duszy mogą być szkodliwe. A to także wiecie, że chłopi zagraniczni nieraz się nam dziwowali i z nas się śmiali albo nami gorszyli, że my odprawiamy jakieś nabożeństwa, o których u nich nigdzie ani słychać.

— Prawda, prawda! — odezwały się znowu głosy z tłumu — po co nam tych nowości grafa, chwalmy pana Boga jak inni.

Stary Iwan słuchał zadumany słów Maksyma, a kiedy tłum się uciszył, odezwał się znowu:

— Prawda, że nasi ojcowie duchowni chcą czego innego, a pan graf czego innego. Ale trzebaby się rozmyślić, czy to czego pan graf chce, jest zupełnie złe i szkodliwe. W piśmie św. napisano: „z uczynków ich poznacie je,“ więc też i my powinniśmy na to patrzyć, co nasz graf czynił, czy czynił źle czy dobrze. Nikt mu tego nie może zarzucić, żeby źle czynił, bo był pan dobry, ludzki i łaskawy,

pamiętał o nas i robił nam dobrze gdzie tylko mógł...

— To do rzeczy nie należy — odezwał się głos z tłumu — tu chodzi o to, czy ta wiara, któréj nas graf nauczał, była dobra czy zła.

— Zła, zła! — zawołało kilkanaście głosów — nie chcemy wiary grafa!

— Na potępienie naszych dusz nie damy! — dodał jeden jeszcze głos.

— Ani dusz naszych dzieci! — odezwała się jakaś kobieta.

— To były herezje!

— Graf nas bałamucił, jak powiedział Maksym!

— Paroch nam wyraźnie napisał, że nabożeństwa i kazania grafa są bezbożne!

— Trzymajmy się dawnéj wiary i cerkwi!

— Łacinnicy w miasteczku toż samo powiadają, i byli już u swego księdza, aby mu to powiedzieć, skoro tylko pismo przeczytali.

— Graf jest czarownik i stumanił nas!

— Graf trzyma z czartem i chciał nas mu zaprzedać!

— Już dawno nam paroch powiadał, że nie da temu rozgrzeszenia, kto grafa będzie słuchać!

— Dziękujmy Bogu, żeśmy swoich chrześciańskich dusz nie zagubili!

— Graf musi być zły człowiek, nie darmo go urząd chciał więzić!

— Ho, ho, byli dzisiaj po niego i jeszcze przyjdą z żołnierzami!

— Bóg to wié, co on mógł zrobić!

Takie głosy odzywały się to pojedynczo, to razem, to zwrócone do całego tłumu, to do najbliższych sąsiadów. Stary Iwan nie mógł przyjść do słowa i oparłszy się na kiju, czekał cierpliwie aż się wrzawa uspokoi.

W tém zbliżył się do niego Sciopa Szeremeta, poważny i zamożny gospodarz, i rzekł pół głosem:

— Powiedzcie jeszcze co za grafem. Jest nas tu kilku, którym żal naszego pana. Ten przeklęty Maksym tak wszystkich przeinaczył.

— Ha spróbuję — odpowiedział Iwan i odezwał się głośno:

— To dobrze, że nie chcecie wiary grafa, niech i tak będzie, skoro wam tak powiada sumienie. I ja i wszyscy gospodarze zrobimy toż samo co wy, i w tych rzeczach grafa słuchać nie bedziemy. Może on chciał dobrze, chociaż jako człowiek mógł zbłądzić. Ale zmiłujcie się

ludzie, poco te krzyki i wyzywania na niego? To taka od was nagroda za to, że był waszym ojcem i dobroczyńcą? Tak prędko zapomnieliście o wszystkiém dobrem, które dla was uczynił? Ja wam tak radzę. Pójdziemy do grafa i powiemy mu co się stało, przeprosimy go, że będziemy tak robić jak nam każe nasza święta cerkiew i nasi ojcowie duchowni, bo się o swoje dusze boimy, i oświadczymy, że odtąd na jego nabożeństwa i kazania chodzić nie będziemy...

— Poco nam przepraszać grafa! — zawołał Maksym Pawluk — my jemu nic złego nie zrobili, tylko on nam. Nie pójdziemy do grafa!

— Nie pójdziemy, nie pójdziemy — zawtórował mu tłum.

— Jak on swoje nabożeństwo ogłosi — mówił dalej Maksym — to nikt z nas tam nie pójdzie, i tém mu pokażemy, co myślimy o nim i o jego wierze.

— Tak jest, tak jest! — odezwały się znowu głosy.

Stary Iwan zeszedł z kamienia, na którym stał, machając ręką jakby z rezygnacją, Maksym wskoczył na kamień na jego miejsce.

— Więc wierni chrześcianie, nie ma co

więcéj o tém mówić. Wszyscy tutaj zgadzamy się na jedno i od tego nie odstąpimy. Niech graf robi co mu się podoba, a my będziemy robić swoje. Pójdźmy teraz do wsi, i powiedzmy innym, na czém tu stanęło.

— Pójdźmy, pójdźmy, — odezwały się liczne głosy i cały tłum ze zgiełkiem i bezładnie rzucił się na drogę do wsi. Maksym szedł na czele.

Szczupła tylko garstka zdawała się nie dzielić powszechnego uniesienia, i pozostała trochę w tyle za innymi.

— Źle się stało — mówili do siebie — trzeba to było jakoś inaczéj zrobić. Graf się zmartwi, i ta niewdzięczność będzie go bardzo boleć. Ot, żałować nam starego grafa, przecież to zawsze nasz pan i dobry człowiek!

Odezwa do wiernych chrześcjan.

Hrabia na terasie rozstał się z córką; ona poszła do siebie, a on również do swego gabinetu w narożnéj baszcie. Oboje nie powiedzieli do siebie ani słowa o tem świeżem wydarzeniu, które hrabiego tak bardzo wzruszyło.

Oburzenie i gniew hrabiego nie ustawały bynajmniéj. Szerokiemi krokami chodził po swym pokoju; postać jego niedawno pochylona i przygięta do ziemi ciężarem trosk, nagle się wyprostowała; na lica jego wystąpił rumieniec, a oczy zabłysły ogniem. Zdawało się, że hrabia odmłodniał, że nagle wstąpiło w niego nowe życie. Zamiast tego smutku rozlanego jeszcze przed chwilą na jego twarzy widać było rozbudzoną energję, dumę i silne postanowienie stawienia czoła téj napaści, której doznał.

Bo za nic innego tylko za napaść, za bezprawie i za gwałt uważał hrabia ten akt, który spełniało na nim ramię sprawiedliwości i ten czyn, którego syn znowu względem niego się dopuścił.

Zkądże społeczeństwo miało prawo wkraczać za granice, które on pomiędzy niem a sobą zakreślił, i oddzielając się od niego, utworzył sobie świat swój własny i odrębny?

Zkąd sprawiedliwość ludzka miała prawo stawać pomiędzy nim a synem, nad którym całą i wyłączną władzę jemu samemu tylko nadali Bóg i natura?

Jakiém prawem jakakolwiek zwierzchność mieszała się w jego domowe spra-

wy, w rozsądzanie jego postępków, kiedy w granicach swojéj ziemi on był jedynym panem i władzcą?

Jakiém prawem wreszcie ten syn mógł się upominać o majątek, i chcieć przymusić do tego gwałtem swojego ojca? Odkąd przez swoje nieposłuszeństwo zerwał łączące ich ze sobą węzły, przestał już być synem, nie był już nawet nieposłusznem i występnem dzieckiem, był dla niego osobą obcą, był niczem. Tak samo jak on teraz, mógłby pierwszy lepszy człowiek zażądać od niego podzielenia się majątkiem, i nie dopuściłby się przez to bynajmniéj większego bezprawia.

Wszystko co było w zapatrywaniu się hrabiego na świat najwięcéj utopijnego, najwięcéj z rzeczywistością i stósunkami ludzkiemi sprzecznego, podsuwało mu te myśli i pędziło je do jego głowy razem z prądami wzburzonéj krwi.

Dla niego w tych refleksjach na gorąco robionych, było wszystko logiczne i jasne; ogniwa jego myśli trzymały się szczelnie jedno drugiego. Nie widział zaś tego, że jego punkt wyjścia był fałszywy, że jego z łożenie było błędne. Nie czuł tego bynajmniéj, że to on sam właśnie wydawał walkę społeczeństwu, że on się my-

lił sądząc, że można istnieć poza jego granicami, i zdawało mu się, wierzył temu jak najmocniéj, że on został wyzwany, albo raczéj bez wyzwania pokrzywdzony.

I w innym punkcie jeszcze hrabia się mylił i oszukiwał sam siebie. Nie przyznawał synowi prawa do jego synowskiego tytułu, uważał go za odebrany i zniszczony, kiedy ten syn na jego mocy o coś upominał się u niego, a równocześnie cierpiał, cierpiał nad tem bardzo, że syn tym krokiem targnął się znowu na jego osobę i na jego godność. Nie uznając jego za syna, siebie nie przestał uważać za ojca.

Już może godzina upłynęła od powrotu hrabiego do siebie. Ta bolesna rozmowa z samym sobą uspokoiła go już trochę, bo go zmęczyła. Wolniejszym już krokiem chodził po pokoju, ręce mu opadły, a głowa znowu na pierś się pochyłila.

Wtedy cicho i nieśmiało drzwi się otwarły. Wszedł marszałek, i stanął przy drzwiach spoglądając niespokojnym wzrokiem na hrabiego. W ręce trzymał jakiś duży papier złożony.

Hrabia zatrzymał się spostrzegłszy go:

— Co mi powiesz stary? — zapytał.

— Panie hrabio, dziś na nas jakiś dzień fatalny. Ze wszystkich stron nieszczęcia walą się na nas.

— Cóż się stało?.... co to za pismo masz w ręce?....

Marszałek wyciągnął rękę i podał mu pismo. Ręka ta drżała jakby spełniała uczynek, który go przejmował zgrozą i trwogą.

— Niech pan hrabia przeczyta — rzekł głosem takim, jakby płacz w sobie tłumił.

Hrabia szybko rozwinął pismo i czytał...

Czytelnik domyśla się zapewne treści tego pisma, powiemy więc tylko krótko, że to była odezwa wydana w imieniu wyższych władz kościelnych, a podpisana i ogłoszona przez obu miejscowych proboszczów. Wzywała ona „wszystkich wiernych chrześcijan“, aby nie ważyli się brać udziału w uroczystościach religijnych, przez hrabiego urządzonych, jako to: Święto doroczne, święto gajowe i święto żniw, jakotéż aby nie zgromadzali się dla słuchania jego nauk i mów, „które pełne były zawsze heretyckich błędów i bezbożności i na fałszywe drogi

wiernych sprowadzić mogły". Wszystko to zakazanem było pod zagrożeniem, że winni nie otrzymają przy spowiedzi rozgrzeszenia i duszę swoję na wieczną zgubę narażą.

Odezwa ta nadesłana miejscowemu duchowieństwu od ich zwierzchności, nie zadowolniła bynajmniéj ani księdza dziekana ani wikarego. Spodziewali się oni, że na oskarżenie jakie zanieśli na hrabiego przyjdzie odpowiedź daleko silniejsza, że zwierzchność kościelna nie będzie oszczędzać hrabiego, i bez żadnego względu zgani i potępi zarówno jego czyny, z któremi publicznie występował, jakoteż i te, które akt oskarżenia jego prywatnemu życiu zarzucał. Ale tam „w górze" miano więcéj rozumu i taktu i choć dotknięto hrabiego osobiście, czyniąc go odpowiedzialnym za bałamucenie umysłów i nieprawne mięszanie się do obrządków religijnych, pominięto jednak zupełnie inne punkta oskarżenia.

Nie było na to jednak rady i musiano ogłosić odezwę taką jaką była.

Przeczytawszy ją hrabia zbladł, ręce mu się zatrzęsły i pismo upadło na ziemię.

— Dopięli wreszcie swego celu — rzekł, a potem zapytał: Skąd to wziąłeś?

— Takie pisma są na wszystkich cerkwiach, na kościele i na plebanji w Ostrowcu, a oprócz tego wiele ich rozrzucono pomiędzy ludźmi.

— Cóż ludzie na to mówią?...

— Panie hrabio, gwałt wielki w całéj wsi, wszyscy obwiniają pana hrabiego, i powiadają, że nie chcą gubić swéj duszy....

Hrabia uśmiechnął się gorzko:

— Biedni ludzie! — rzekł — dali się tak prędko uwieść.... Ale ja to naprawię.... Pójdźmy....

Hrabia zrobił kilka kroków ku drzwiom marszałek nie ruszał się z miejsca.

— Panie hrabio, jabym się ośmielił radzić, żeby do nich nie chodzić — odezwał się, popierając swoją prośbę błagającym wzrokiem.

— Dla czego?

— Są bardzo rozdrażnieni. Pana hrabiego może spotkać jaka nieprzyjemność, może co zaboleć...

— Zobaczysz, że mię posłuchają. Ci ludzie rozumieją, kiedy się do nich od serca mówi.

Marszałek usunął się od drzwi, a hrabia wyszedł prędko z pokoju.

Przyszedł do swoich, a swoi go nie poznali.

Niedługo stanął we wsi. Był blady, niespokojny, ale pełen otuchy i nadziei. Żal mu było nie siebie, ale tych ludzi, których uważał za uwiedzionych i pragnął ich jak najprędzéj ratować.

Właśnie wtenczas tłum idący od cerkwi ciągnął przez wieś, i zabierał ze sobą po drodze mniejsze gromadki.

Wieśniacy, których hrabia pojedynczo spotykał, uchylali przed nim kapelusze, ale żaden się nie zatrzymał — niektórzy omijali go — albo przyspieszali kroku, jakby chcieli uniknąć jego spotkania. — Byli i tacy co się po prostu odwracali od niego.

Tłum idący od cerkwi spostrzegł hrabiego ze znacznéj dość odległości.

— Graf idzie! — odezwało się kilka głosów, i prawie wszyscy zatrzymali się jakby nie wiedząc co robić. Nie spodziewali się tego.

— Co nam do tego! — zawołał Maksym Pawluk — naprzód gromada! i dla

dania dobrego przykładu szedł daléj. — Za nim ruszył się i tłum na chwilę powstrzymany.

Hrabia szedł prosto ku nim. Gdy już był o kilka tylko kroków od nich, zawołał donośnym głosem:

— Stójcie!

W jednéj chwili cały tłum stanął. Nawet najodważniejsi nie śmieli się ruszyć.

— Dokąd idziecie? — zapytał hrabia.

Nikt nie odpowiadał. Szmer zrobił się w tłumie, jedni spoglądali na drugich i trącali się wzajemnie. Najwięcéj głów obracało się w stronę, gdzie stał Maksym, patrząc w ziemię i marszcząc czoło.

To nieme odwołanie się do jego osoby zmusiło go do śmiałości. Zdjął kapelusz z głowy i powiedział:

— Idziemy panie grafie do innych, powiedzieć im cośmy postanowili.

— A coście postanowili?

Maksym miął kapelusz w ręku, zacinał zęby od złości, ale na bliższe objaśnienie hrabiego zabrakło mu odwagi. — Hrabia więc zaczął mówić po chwili.

— To coście postanowili, musi być złém, skoro nie macie serca powiedzieć mi tego. Dzieci moje, ufajcie mi i wierzcie! Tyle lat przeżyliśmy ze sobą w zgo-

dzie i jedności. Mieliście tysiączne dowody, że wam dobrze życzę, że was kocham jakby swych rodzonych synów i córki. Skądże mógłbym pragnąć zagubienia tego, co w was i dla was jest najdroższe — zagubienia waszych dusz! Ja chciałem podnieść je wyżéj, podnieść je do Boga i nauczyć was, jak stwórcę swego macie chwalić i kochać nie ustami, ale sercem, nie słowami ale czynem i życiem. Nie dajcie wiary temu oskarżeniu, które wyszło na mnie od ludzi niegodziwych i przewrotnych...

Głuchy szmer niezadowolnienia przeszedł po całym tłumie. Hrabia się zatrzymał i spojrzał na nich. Szmer znowu ustał.

— Oskarżają mię o bezbożność, o herezję, o zgorszenie, które wam daję. To wszystko kłamstwo! Czyście widzieli kiedy coś podobnego, czyście słyszeli z moich ust aby jedno słowo, któreby się sprzeciwiało nauce proroków i ewangelji, czym wam powiedział kiedy, że grzéch nie jest grzéchem, że występek jest dobrą rzeczą, że tém co jest święte można pogardzać i pomiatać? Uczyłem was tego, co wyznawali ludzie sprawiedliwi i cnotliwsi od dzisiejszych, tego, co nam

podał Pan w swojém piśmie. Nie wiodłem was do złego, wierzajcie mi, moja droga była prosta i każdemu widoczna, a największém mojém szczęściem było, kiedym was widział dobrymi i cnotliwymi, największą moją chlubą było, żem był waszym ojcem i patrjarchą...

Szmer głośniejszy niż przedtém przerwał mu znowu mowę. Wśród tego kilka odważniejszych głosów odezwało się:

— Nie chcemy patrjarchy!

Wykrzyk ten dodał śmiałości całemu tłumowi i przypomniał mu niedawno powzięte postanowienie.

— Nie chcemy patrjarchy! — powtórzyło krzykliwie kilkadziesiąt głosów.

Hrabia pochylił głowę, załamał ręce i stał w milczeniu. Tłum również nie ruszał się z miejsca.

Tymczasem zmrok zapadał coraz większy. Chaty i drzewa daléj stojące zaczęły ginąć w szaréj ciemności. Na niebie za to gwiazdy wynurzały się jedna po drugiéj i słabe swoje promienie ciskały ku ziemi.

Hrabia podniósł jednym razem głowę i ręce do góry i wpatrując się w niebo, zawołał z głęboką boleścią:

— Biorę na świadka tego Boga na wy-

sokościach, że w moich ustach i sercu była prawda! Przysięgam wam na jego wszechmocne imię, że moje chęci i zamiary były czyste i sprawiedliwe. Niechaj on mię ukarze, jeżeli was wiodłem do złego, jeżelim się dopuszczał i was nauczał bezbożności.

W tłumie tu i ówdzie dały się słyszeć jakby szlochania i tłumione łkanie. Żaden głos jednak nie przerywał milczenia, jakie po słowach hrabiego nastąpiło.

— Dzieci moje! — odezwał się znowu po chwili — nie opuszczajcie mię, nie zatruwajcie mi krótkich już chwil mojego życia. Niechaj przed śmiercią nie patrzę jeszcze na to, że praca całego mojego życia zmarniała. Nie rzucajcie na mnie kamieniem, bo ten kamień trafi waszego ojca. Jeszcze czas, zaufajcie mi i pójdźcie za mną!

Głuche milczenie było odpowiedzią na to wezwanie. Po chwili znów mówił:

— Wiem, że pomiędzy wami są rozmaite zdania. Jedni mię potępiają, drudzy nie. Jeżeli już nie mogę wszystkich was odzyskać, niechaj pozostaną choć ci, co jeszcze wiary we mnie nie stracili. Kto z was przeto chce ze mną zostać, niech przejdzie na moją stronę i stanie przy mnie.

Nikt z tłumu nie ruszył się, wszyscy stali w miejscu jak wryci. Choć byli tacy, coby mieli chęć to uczynić, co szczerze żałowali hrabiego, powstrzymała ich bojaźń przed innymi i to uczucie solidarności, które ludowi wspólne jest z najwyższą warstwą społeczeństwa.

Cała gromada jak jeden człowiek wyrzekała się hrabiego.

On czekał chwilę, a widząc co się dzieje, zrobił ruch ręką, jakby im pokazywał drogę i rzekł stłumionym głosem:

— Więc idzcie wszyscy, gdzieście iść mieli!...

Tłum ruszył się w jednéj chwili w najgłębszém milczeniu i przeszedł mimo hrabiego, który stał nieporuszony z ręką wyciągniętą, z głową zwieszoną.

Niedługo, w coraz grubszéj ciemności tłum ten zniknął i tylko z daleka słychać było chaotyczny szum jego stąpań.

Wtedy hrabia, jakby się nagle ocknął, postąpił z miejsca i szedł z powrotem do siebie powolnym i ociężałym krokiem.

Coraz ciemniéj robiło się na dworze...

Ale ciemniéj jeszcze było w duszy patrjarchy...

Dwór w karczmie.

Nie stało się to przypadkiem, że oba te gromy uderzyły w hrabiego jednego dnia.

Odezwa władz kościelnych nadeszła kilka dni wcześniéj, i wikary uwiadomił o tem Zawiłę, bo na to się obie strony zgodziły, aby nic nie działać bez wzajemnego porozumienia się. Zawiła kazał mu wtedy z ogłoszeniem odezwy się wstrzymać, dopóki nie przyjdzie wiadomość, kiedy pozew sądowy hrabiemu zostanie doręczony.

Przewidywał on, że hrabia pozwu nie przyjmie, że nie będzie chciał stawić się przed sądem, i że z tego mogą wyniknąć jakieś awantury. — Równocześnie zatem chciał oburzyć przeciw hrabiemu jego poddanych i podwładnych; zdyskredytować go w ich opinji, odwrócić od niego ich umysły, aby na każdy wypadek hrabia został opuszczony przez wszystkich i nie mógł liczyć na pomoc tych ludzi, którzy dotąd przywiązani byli do niego ciałem i duszą, i na żadną jego krzywdę lub zniewagę nie byliby pozwolili.

Hrabia bezbożnik i heretyk, potępiony przez wyższe władze duchowne, był zgubionym w opinji prostego ludu. Jeżeli mógł się dopuścić podobnych występków, jeżeli grzeszył przeciw Bogu i religji, do jakichż zbrodni nie był zdolny? Jeżeli potępiał go kościół, dla czegóż sprawiedliwość ludzka nie miałaby także słusznych powodów, aby go poszukiwać i dosięgnąć swojem ramieniem?

W taki sposób, gdyby zniknął urok świątobliwości i cnoty, który dotychczas przywiązywał do niego umysły, niktby się za nim nie ujął, wszyscyby go opuścili, i pozostałby na łasce tych, którzy się na niego sprzysięgli. Wtenczas byłby bezsilny, i możnaby wszystko z nim zrobić, bo nikt go nie bronił.

Taki był plan, który oddawna kręcił się po głowie Zawiły, nad którym naradzał się nieraz wspólnie z Wandą i zyskał dla niego nie tylko jéj ale i kasztelanica potwierdzenie. Ten ostatni przyznając słuszność Zawile i pochwalając jego przezorność, ile razy przytomny był tym naradom, równocześnie jednak uśmiechał się ironicznie, — jakby całe to przedsięwzięcie wydawało mu się zbyt

awanturniczem, a może i nie zupełnie honorowem.

Nareszcie otrzymano wiadomość, że pozew jest gotowy i kiedy będzie doręczony. Wtenczas wyjęto z kieszeni czekającą tylko na niego odezwę i w wiadomy nam sposób ją ogłoszono.

Ksiądz dziekan i wikary zrobili toż samo w miasteczku, cośmy widzieli na wsi. Wrażenie i tam było prawie takież same, choć tak burzliwie się nie objawiało. Obaj starali się przy tem uniknąć wszelkiego pozoru wpływania na opinję, i jak na wsi tak i w miasteczku nie widać było podczas tego wydarzenia żadnéj osoby duchownéj.

Byli pewni sukcessu, i siedząc spokojnie w domu, cieszyli się z niego.

Skoro tylko odebrano w Dubnie wiadomość o terminie pozwu, natychmiast postanowiono opuścić to miasto i zbliżyć się do miejsca, które teraz miało być głównem polem działania. Henryk od kilku dni znajdował się już w Kamieńcu; wysłany tam został dla przypilnowania i przyspieszenia interesu. Wanda i cały jéj dwór mieli także tam podążyć, i to w tym czasie, kiedy hrabia pozew już otrzyma.

Aż do téj chwili Zawiła i Wanda chcieli być jak najbliżéj Ostrowca, ażeby mieć jak najprędsze wiadomości, w jaki sposób hrabia pozew przyjmie i wszelkim możliwym tego następstwom jak najprędzéj zaradzić.

Myśl, że hrabia wezwaniu sądowemu zadosyć nie uczyni, plątała im się zawsze po głowie.

W tym celu w drodze do Kamieńca postanowiono zrobić stację. Wybrano do tego wieś leżącą na saméj granicy majątku Ostrowieckiego. Tam miano się zatrzymać w wigilję tego dnia, kiedy pozew zostanie oddany i tam oczekiwać rezultatu tego oddania.

Woźny sądu kamienieckiego według poprzedniego porozumienia się z Zawiłą, miał tam do nich przybyć i osobiście zdać relację ze swojéj missji.

Zawiła myślał i o tem, że woźny nie będzie mógł tego zrobić..... Bo któż mógł przewidzieć, w jaki sposób postąpi sobie z nim taki chimeryk i dziwak jak hrabia? Ale w każdym razie stacja była tylko o dziewięć wiorst od Ostrowca, i można było o wszystkiem, coby i jak się stało, łatwo się dowiedzieć.

W oznaczonym dniu szumno i dwor-

no wyjechała Wanda z Dubna. Orszak jéj był bardzo liczny, składał się bowiem z kasztelanica, z Zawiły i wszystkich prawie tych młodych bałagułów, którzy bywali gośćmi w domu Ochockich w Dubnie. Każdy z tych panów prowadził ze sobą stangretów, lokai, kozaków, strzelców i t. p., tak że cała kalwakada na liczbę wynosiła około trzydziestu osób, i naturalnie odpowiednią ilość sześciokonnych koczów i czterokonnych furgonów i bryczek. Na samym czele jechało konno dwóch kozaków, którzy w czasie nocnéj jazdy mieli palić kagańce.

Cały ten konwój miał towarzyszyć Wandzie aż do Kamieńca, gdzie znowu jedni krócéj, drudzy dłużéj, według upodobania i chęci byliby u Ochockich zabawili.

Wanda nie miała nic przeciw tak licznemu towarzystwu; przy pierwszym wjeździe do miasta, gdzie jéj zupełnie nie znano, mogło jéj to tylko pochlebiać, i zrobić dobre wrażenie na tamtejszéj publiczności, która miała być niedługo najbliższym świadkiem toczącego się procesu.

Zawiła zaś był w duszy bardzo rad téj asystencji. Jakieś przeczucie powiedziało mu, że to jest bardzo dobrze mieć

pod ręką większą siłę, którą na każdy wypadek można rozporządzać, czy to w zaczepném czy odpornéın działaniu.

Umówiono się także, iż na drugi dzień po doręczeniu pozwu Henryk przyjedzie z Kamieńca na stację po żonę. Było to tylko kilka godzin drogi, a przyzwoitość nakazywała, żeby Wanda w towarzystwie męża przybyła do miasta.

W wigilją więc tego dnia, który był tak płodny w wydarzenia na zamku Belmont, jak to w poprzednich rozdziałach widzieliśmy, cała kalwakada towarzysząca Wandzie zajechała nad wieczorem do Andrzejówki. Tak się nazywała wieś przeznaczona na stację.

W téj wsi na szczęście była karczma, wspanialsza i większa od wielu innych karczem, tak, że mogła dać schronienie na dwadzieścia cztery godzin najmniéj tak licznemu i do większych wygód przyzwyczajonemu towarzystwu.

Najokazalsza i największa izba dostała się naturalnie Wandzie; mały alkierzyk obok przeznaczony był dla Anusi, miał on osobne dla siebie wejście i nie łączył się z zaimprowizowanym apartamentem saméj pani. Nie było to jednak tak bardzo niewygodnie; przegradzająca je ścia-

na była cienka, i lekkiém zapukaniem albo nawet podniesieniem głosu można było zawołać garderobianę.

Niedługo po przybyciu apartament Wandy wyglądał też wcale przyzwoicie. Wydobyto z furgonów i bryczek dywany, serwety i obrusy, wysłano niemi podłogę, pozakrywano odrapane i brudne ściany, pokryto stoły i stołki. Przyniesiono prócz tego do izby własne talerze, szklanki, filiżanki i inne przyrządy do jedzenia, ustawiono nawet źwierciadło i zrobiono pewien rodzaj toalety.

W jednéj chwili izba zmieniła się nie do poznania, i mogła przyjąć bez wstydu w swoje progi uroczą piękność. Towarzysze Wandy zajęli się tém z wielką gorliwością, i przy pomocy swojéj służby w krótkim czasie dokonali téj metamorfozy. Hałasu, krzyku, biegania było przytém nie mało, ale to dodało tylko powabu temu zajęciu i czyniło je dla uczestników nadzwyczaj zabawném i oryginalném.

Kasztelanic umieścił się w izbie po drugiéj stronie sieni, którą również wyporządzono przystrojono jak było można. Reszta towarzystwa mniéj już dbała o komfort; mieszczono się gdzie kto mógł

i jak kto mógł. Pokazało się jednak, że gościnne izby w karczmie nie wystarczały dla tak licznych gości, wyproszono więc arendarza z całą famiją z jego stancji i najęto prócz tego w poblizkich chałupach kilka izb porządniejszych.

Arendarz znalazł dla siebie jeszcze jakąś małą ciupkę obok stajni, i nie miał powodu skarżyć się na tę przymusową translokację, bo go dobrze zapłacono.

W ten sposób karczma przybrała niedługo fizjognomję niby jakiegoś szlacheckiego dworu. Było w niéj brudno i ciemno jak przedtém, nie wszędzie powietrze zalecało się czystością; ale obok tego uderzały w oczy jaskrawe kolory dywanów, świeciło się srebro i porcelana, jaśniały swoją świeżością bielizna i obrusy. Nadewszystko zaś nowi jéj miaszkańcy nadawali jéj inny zupełnie pozór. Po izbach i w sieni chodzili, biegali i krzątali się sami tylko panowie w eleganckich rajtrokach, w lakierowanych butach, w cienkich pilśniowych kapeluszach i w małych furażerkach na lewe ucho zasuniętych, albo też służba z galonami na kapeluszach, w malowniczym kozackim stroju i w zielonych kurtach strzeleckich.

Śmiechów, wrzawy, dowcipów lepszych

i gorszych było bez miary i bez końca. Słońce już zaszło, już kilka godzin ciemnéj nocy upłynęło, a jeszcze w karczmie wrzało jak w ulu, i było jasno we wszystkich oknach i drzwiach nawpół przymkniętych. Dopiero po północy zaczął się ten gwar uciszać i światła jedno po drugiém gasnąć.

Wyprawa na niedźwiedzia.

Na drugi dzień od południa Wanda i Zawiła byli w ciągłém oczekiwaniu. — Pragnęli jak najprędzéj wiadomości z Belmont i spodziewali jéj się lada chwila.

Wiadomość jednak nie nadchodziła. — Wiemy, że woźny dopiero nad wieczorem przybył na zamek i pozew hrabiemu doręczył. Po niezbyt grzeczném przyjęciu, jakiego doznał, pocieszał się jakiś czas w karczmie ostrowieckiéj. Zaciekawiony także był mocno tém, co się we wsi działo, i postanowił nie wprzód ztąd wyjechać, aż się cała ta rzecz „wyklaruje“. Co jednakowoż dopiero późnym wieczorem nastąpiło.

Rezultat całéj téj awantury tak go znowu ucieszył, że „na pohibel grafowi“ znowu kilka kieliszków przewrócił i przez

godzinę blisko nie mógł się o tém wydarzeniu nagadać.

Nocą więc dopiero, razem ze swoją eskortą, puścił się do Andrzejówki. Był obcy w tych stronach, drogi nie znał, przytém nie miał zupełnéj przytomności, więc kilka razy błądził, musiał nawracać i nadkładać drogi.

Gdy wreszcie po wielu trudnościach stanął szczęśliwie i z chłodniejszą już głową przed karczmą andrzejowiecką, pierwszą osobą, którą tam spotkał, był Zawiła.

Nie mając żadnéj wiadomości, nie mogąc się doczekać woźnego, chociaż to już była noc późna, nie mógł on dosiedzieć w izbie i wyszedł przed karczmę. Już od pół godziny chodził tam i napowrót, wytrzeszczając oczy, nadstawiając uszu, klnąc w duszy i głośno woźnego, i przy tém wszystkiém niecierpliwiąc się okrutnie.

— A kiegoż djabła waćpan zjadłeś, tak długo gdzieś siedzieć! — były pierwsze słowa, któremi przybyłego powitał.

Woźny zlazł z bryczki, usprawiedliwiał się i opowiedział Zawile wszystko, co widział, słyszał i czego doznał.

Zawiła nie bawiąc się, poszedł z temi wiadomościami do Wandy. Kasztelanic

był także u niéj, i oboje siedzieli na zaimprowizowanéj kanapie. Z ich miny i całego zachowania się można było wnosić, że byli ze sobą na stopie poufałéj i serdecznéj. Kto ich nie znał bliżéj, byłby sądził, że widzi przed sobą jeśli nie męża i żonę, to z pewnością brata i siostrę.

— Co teraz będziemy robić? — zapytał Zawiła, powtórzywszy przed nimi jak najwierniéj relację woźnego.

— Kłopotu z tém będzie nie mało — odezwał się kasztelanic — a co najważniejsza, zwłoka.

Wanda i Zawiła równocześnie się zamyślili, jakby zastanawiali się nad projektem, do połowy przynajmniéj gotowym w głowie.

— Ha, tu nie ma innéj rady! — odezwała się Wanda prędko, patrząc na Zawiłę, jakby się nawzajem dobrze rozumieli.

— To prawda — odrzekł Zawiła — czekać aż sąd zmusiłby go do tego, to może potrwać wieki. Porwiemy go... i rzecz skończona! Albo powieziemy go potém do sądu, albo sami przymusimy, że zrobi, czego chcemy.... Cóż pan na

to? — dodał, zwracając się do kasztelanica.

Ten trochę się skrzywił, zlekka ruszył ramionami, ale ostatecznie kiwnął głową, jakby się przychylał do tego projektu. Widocznie zdawał on mu się trochę ryzykowny, nie bardzo godziwy i pewny, ale nie chciał wyraźnie przeciw niemu się oświadczyć, bo to mogłoby się nie podobać projektującym. W gruncie rzeczy zaś cały ten projekt nic go nie obchodził i nie myślał mieszać się do jego wykonania.

— Czy tylko da się to wykonać? — zapytała Wanda.

— Dlaczego nie — odrzekł Zawiła. — Znam doskonale zamek, hrabia nie wielu ma przy sobie ludzi, a tych będzie łatwo zastraszyć, ze wsi nikt się nie ruszy na jego obronę, bo wszyscy są na niego oburzeni. Bylebym tylko mógł zebrać jakąś garstkę, a podejmuję się wykonać wszystko bez wielkiego hałasu. Co do tego punktu zaś nie wątpię, że nasi przyjaciele nie odmówią nam pomocy... To trudno, z tym starym inaczéj nie poradzimy! Jak mu damy czas i pozwolimy się namyślić, gotów się zamknąć w swym zamku jak w fortecy, a wtedy pisz do

niego na Berdyczów! niech sobie sąd posyła woźnych i pozwy, on kpić sobie z tego będzie z jaki rok, i chyba wojskiem i armatami przystawią go do Kamieńca. A my tymczasem będziemy siedzieć na bruku... Piękna historja!... A to dlatego, że ten stary dziwak zaciął się i uparł. Do kroćset djabłów! to przecież my dla jego satysfakcji nie będziemy jedli pieczonych ziemniaków i razowego chleba!

Tę długą tyradę zakończył Zawiła silném uderzeniem pięści o stół. To widać przerwało mu jego gorzkie refleksje, a przypomniało główny przedmiot narady.

— Więc nie ma co zwlekać — rzekł — ja idę werbować na ochotnika. Kto wam dobrze życzy, ten wsiądzie na wózek i daléj do Belmontu!

— Jakto, zaraz? — zapytała Wanda.

— Jak najprędzéj, choćby i zaraz.

Obrócił się do kasztelanica;

— Pan naturalnie z nami?

— Może się tam bezemnie obejdzie — odpowiedział kasztelanic, uśmiechając się dobrodusznie — a tutaj trzeba także kogoś na usługi i na obronę płci pięknéj.

— Pan tutaj zostanie — wtrąciła Wanda szybko — nie mogę zostać tak sama...

Przedsięwzięcie, do którego się zabie-

rał Zawiła, nie mogło i w oczach Wandy być zupełnie chwalebném. Coś awanturniczego i nieczystego było w niém zawsze. Kobiety, które prawdziwie kochają, nie lubią czy to swych kochanków czy mężów wciągać do podobnych przedsięwzięć. Inni... to co innego!

Oprócz téj, żadnéj innéj myśli Wanda nie miała, zatrzymując kasztelanica.

Zawiła skłonił głowę na znak, że się z tém zgadza, i wyszedł z izby.

Po drugiéj stronie była główna kwatera tak nazwanych przez Zawiłę „przyjaciół."

Po kolacji, na którą Wanda zaprosiła ich do siebie, pożegnali ją oni, ażeby w swéj kwaterze, z większą swobodą, po kawalersku, dobić wieczoru, zostawiając tylko kasztelanica przy pięknéj gospodyni. Kilka butelek wina stało już próżnych na stole, znalazły się i karty w czyjéjś torbie podróżnéj, więc bawiono się wyśmienicie. Koncepta sypały się jeden po drugim, wtórowały im głośno śmiechy, brzęczały pieniądze rzucane na stół albo zgarnywano do kieszeni, a otwartemi oknami buchał na dwór dym z kilku fajek, jakby z komina. Jedni grali, drudzy przypatrywali się grającym, inni wre-

szcie siedzieli po kątach w najrozmaitszych pozycjach, prowadząc żywą gawędę, albo rzucając co chwila swoje głośne uwagi i sentencje dla zbudowania wszystkich obecnych.

Zawiła wszedł w ten dym i w tę wrzawę. Po jego minie poważnéj poznali wszyscy, że przychodzi z wiadomościami. — W jednéj chwili uciszyło się wszystko i wszystkich oczy zwróciły się na niego.

— No, i cóż tam?... jakże pozew?... — zapytało kilka głosów.

— Djabli go wzięli! — odrzekł Zawiła.

— Czy tak?... doprawdy?...

— A jużci nie inaczéj!

I po raz wtóry opowiadał znowu Zawiła historję niefortunnego pozwu.

— To teraz nawrócimy zapewne do Dubna — rzekł jeden z „przyjaciół,“ gdy Zawiła skończył.

— Tobyśmy się dopiero zbłaźnili! — odparł Zawiła — teraz dostawiemy hrabiego do sądu, skoro sam iść nie chciał.

— Ehe, żartujesz!...

— Nie żartuję i robię wam propozycję, moi panowie: Kto kocha Henryka i panią Wandę, ten wsiądzie ze mną na wózek i pojedzie do Belmontu. Napadniemy na zamek i zabierzemy hrabiego...

— Brawo, brawo, genjalna myśl!... — zawołało kilka głosów.

— Wiecie co, to byłaby niespodzianka, o jakiéj nie marzyliśmy — rzekł jeden z „przyjaciół.“

— Przez rok mieliby o czém gadać w całéj gubernji! — dodał drugi.

— To byłoby coś takiego jak rozdział z romansu; stalibyśmy się bohaterami! — rzekł mały i krótki Ignaś z patetyczną miną, stając na palcach.

— Ależ by to było zabawne! — zawołał piękny Alfred, muskając swoje wąsiki mocno wypomadowane.

— Więc zgoda? — zawołał Zawiła, podając wszystkim po kolei rękę.

— Zgoda! zgoda! Wyciągniemy na świat tego odludka!

— Pokażemy ludziom tego warjata!

— Zrobimy obławę na niedźwiedzia!

Tak wrzeszczały ze wszystkich stron chaotycznie pomięszane głosy. Ostatnia dykcja jednak najwięcéj się spodobała, bo jednym chórem zawołali wszyscy:

— Na niedźwiedzia, na niedźwiedzia!

I przez kilka minut nic nie było słychać, tylko ten okrzyk rozlegający się na różne tony po izbie.

— Uciszcie się! cicho do krocset! —

wołał Zawiła niemogąc przyjść do głosu.

Uspokoili się wreszcie, widząc, że Zawiła ma jeszcze coś mówić.

— Jeżeli mamy co robić — mówił tenże — to trzeba zrobić natychmiast. Nietracąc czasu, siadajmy na bryczki i daléj w drogę. Noce teraz krótkie, a za półtoréj godziny już zacznie świtać. Dopóki dzień się nie zrobi, może nam się wszystko najlepiéj udać. Ludzie będą w zamku spać i sprawimy się cicho i bez hałasu.

— Dobrze, dobrze!... wsiadajmy!... na niedźwiedzia! na niedźwiedzia!...

W mgnieniu oka izba się wypróżniła. Wszyscy wybiegli to do stajni, to do sieni, to do sąsiednich chałup. Pobudzono służbę, która już spała na dobre, albo drzémała po kątach i zaczęto zaprzęgać do furgonów i bryczek.

Panowie także zaczęli się ekwipować na wyprawę. Zrobił się po całéj karczmie zgiełk i zamięszanie, jakby nagle pożar wybuchnął.

Te bezładne i hałaśliwe przygotowania trwały jednak długo. Zawsze jeszcze komuś czegoś brakowało, albo to lub owo nie było całkiem dobre. Młode hulaki wybierały się na wyprawę nocną, jak

młode panny na bal. Chcieli wystąpić efektownie, wymyślali sobie rozmaite kostjumy, o ile możności, jak najwięcéj zbliżone do kostjumów bandyckich.

Cieszyło ich to i bawiło.

Służba zbudzona ni ztąd ni zowąd z pierwszego snu i mając na widoku nie spać przez całą noc, robiła wszystko niechętnie i bez porządku, klnąc w duszy i pod nosem zachcianki panów, które tém dziwaczniejszemi musiały im się wydawać, że nie wiedzieli, o co właściwie chodziło.

Klął także i Zawiła i chodząc od jednego do drugiego, naganiał do pośpiechu. Niewiele to pomagało, ale nareszcie w dobrą godzinę po zapadnięciu decyzji, cała wyprawa była już gotowa.

Siła, którą Zawiła zobaczył pod swemi rozkazami, była wcale znaczną i mogła mieszkańcom zamku zaimponować. — Oprócz panów należała do téj armji prawie wszystka służba, strzelcy i kozacy. We furgonach znalazło się kilka dubeltówek, a szkatułkach podróżnych kilka par pistoletów. Nabito je, opatrzono skałki i pozawieszano je sobie demonstracyjnie przez plecy, albo pozatykano za pas.

Dla nadania téj wyprawie jakiegoś u-

rzędowego charakteru, Zawiła nie zapomniał wziąć także z sobą dwóch pachołków sądowych, uzbrojonych również, jak wiemy, w pałasze.

Z pewném zadowolnieniem spojrzał Zawiła po téj armji, kiedy już wszyscy siedzieli na swych miejscach w furgonach i bryczkach i wskakując ostatni do furgonu, gromkim głosem krzyknął:

— Ruszać wiara!

Dwa nic nieznaczące wydarzenia.

Kiedy ruszyli z miejsca, niebo na stronie wschodniéj zaczęło już szarzeć. Ale do zamku było tylko dziewięć wiorst. — Nim się ludzie pobudzą, można było dojechać i zrobić swoje.

Wyśmienity humor i pusta wesołość ani na chwilę nie opuszczały uczestników. Tysiączne projekta, co i jak będą w zamku robić, jedne od drugich fantastyczniejsze i nierozsądniejsze rodziły się w ich głowach rozmarzonych winem i niespaniem i przelatywały z jednego furgonu na drugi, przyjmowane wszędzie głośnemi śmiechami i wiwatami.

Dopiero, kiedy już zbliżali się do Ostrowca, Zawiła zalecił większą wstrzemięźliwość w języku, aby przypadkiem kto, zasłyszawszy o ich zamiarach, nie uprzedził o tém mieszkańców zamku.

W ciągu drogi zresztą, oprócz dwóch nic nieznaczących wydarzeń, nic się nie przytrafiło.

Pierwsze z tych wydarzeń miało miejsce niedaleko za Andrzejówką. Nasza drużyna nie zrobiła jeszcze może trzech wiorst, kiedy spotkała jakąś brykę żydowską zjeżdżającą właśnie na bok, na drogę, która w tém miejscu krzyżowała się z drogą od Andrzejówki wiodącą.

Była to zwyczajna bryka żydowska, używana do przewożenia osób. W całéj swojéj długości pokryta była wielką budą z grubego płótna, która służy za ochronę od deszczu i słońca, a oprócz tego oba otwory po bokach, któremi pasażerowie wchodzą i wychodzą do tego rodzaju ekwipażów, a częściéj jeszcze na świat boży wyglądają, były szczelnie zasłonięte firankami, o ile można było widzieć wewnątrz bryki przywiązanemi do drążków.

Oprócz żyda furmana w krótkim baranim kożuszku i w takiéjże krymce, który

siedział na samym przodzie i powoził, nie było zresztą zupełnie widać, czy kto więcéj był albo nie był w bryce.

Bryka ta obudziła podejrzenie Zawiły, najprzód dlatego że jechała od strony Ostrowca, a potém, że zdawała mu się mieć jakąś minę tajemniczą. Zobaczywszy ją, był niemal pewny, że siedzi we środku ktoś, coby nie chciał przez nikogo być widziany.

Na wyprawie, jaką robiła nasza drużyna, tak bardzo podobnéj do wyprawy wojennéj, trzeba było zachować wszelkie środki ostrożności.

To téż Zawiła zawołał na swojego woźnicę:

— Stać! — zeskoczył szybko z furgonu i pobiegł za bryką, która z jakie trzydzieści kroków odjechała już w bok od drogi, na któréj nasza zbrojna karawana się zatrzymała.

— Stój żydzie! — krzyknął na furmana powożącego brykę, i dla nadania większego waloru swym słowom wymierzył na niego pistolet.

Żyd widział to, bo jego droga szła ukośnie do drogi od Andrzejówki idącéj, i na tak silny argument odpowiedział natychmiastowém posłuszeństwem. Zatrzymał się.

Zawiła przyskoczył do niego.

— Kogo wieziesz? — zapytał groźnym tonem.

Żyd blady nie odpowiadał, tylko obejrzał się za siebie i trwożliwym a błagającym wzrokiem zdawał się kogoś, co był w środku, zapytywać, czy może odpowiedzieć czy nie.

Zawiła nie czekał zezwolenia pasażera, ale szybko nawróciwszy się do jednego z otworów bocznych, szarpnął mocno firankę i zerwał trzymające ją sznurki. Dokonawszy téj operacji wścibił głowę pod firankę z miną ciekawą i groźną zarazem.

Towarzysze jego patrzyli na to z niedaleka, gotowi w razie potrzeby dać mu pomoc. Ale to okazało się niepotrzebném, bo twarz Zawiły rozjaśniła się nagle jakimś przyjacielskim uśmiechem, i jednę rękę podniósł do otworu, jakby dla uściskania dłoni siedzącéj wewnątrz osoby.

Rozmowa pomiędzy nim a niewidzialnym pasażerem nie trwała długo. Po niejakiej chwili Zawiła machnął ręką na furmana i zawołał:

— Jedź! — a do środka bryki odezwał się:

— Szczęśliwéj drogi!

Bryka ruszyła dalėj swoją drogą, a Zawiła powrócił do towarzyszy.

— Cóż to było? — zapytało kilku ciekawych, podczas gdy Zawiła siadał napowrót do furgonu.

— Mój dobry znajomy, wikary z Ostrowca.

— Wczas się gdzieś wybrał...

— Ha, musiał mieć interes, — odpowiedział Zawiła z jakimś znaczącym uśmiechem i zawołał:

— Wio! wio!

Drużyna ruszyła dalėj.

Drugie wydarzenie było jeszcze mniejszéj wagi.

Drużyna dojeżdżała już do zamku. Na dworze nie było już szaro, ale prawie jasno. Szczyty wieżyczek i dachów zamkowych wychylały się chwilami z pośród gałęzi drzew i z za okolicznych pagórków.

Jeżeli łaskawy czytelnik przypomina sobie choć trochę topografję Belmontu, będzie mu wiadomém, że zaraz poza ogrodem grunt się podnosił do znacznéj wysokości. Tym sposobem z téj strony horyzont nie był bardzo rozległy i jakby nagle ucięty. Na samym jego kraju ciągnęła się linja drzew, któréj ciemny pas tworzył niejako obrębek horyzontu.

Im bliżéj byli zamku, tém większą spokojność i baczność zalecał Zawiła swoim towarzyszom. Sam téż biegał oczami na wszystkie strony, czy coś podejrzanego albo niebezpiecznego nie zobaczy.

Jednym razem jeden z jego towarzyszów na tym samym furgonie siedzący odezwał się:

— Patrzcie, tam ktoś idzie, — i wpatrywał się na pagórek wznoszący się nad zamkiem Belmont.

Zawiła skierował także tam oczy.

W istocie na samym końcu horyzontu, na tle szarawém lasu, poruszał się bardzo zwolna jakiś punkt ciemny.

— Prawda, — rzekł Zawiła, — jakiś człowiek! i przypatrywał się jeszcze mocniéj.

— To nie chłop!

— Nie, nie chłop!.. potwierdził Zawiła.

Towarzysz wpatrzył się także w ciemny punkt z całą uwagą.

— Ba! — rzekł po chwili śmiejąc się — wielka historja... żyd!

— Czy dobrze widzisz? — zapytał Zawiła.

— Ale słowo honoru, żyd. Idzie na

jarmark do Krasnego. Tylko się przypatrz dobrze.

Obrócili się znów obaj w tamtę stronę.

— A co widzisz?

— Nic nie widzę.

— I ja także. — Rozśmiali się obaj.

Ciemny punkt w rzeczy saméj zginął gdzieś w jednéj chwili. Widocznie przeszedł za linję widnokręgu.

Najazd.

W kilka minut potém, zostawiając wieś na boku, stanęli przed zamkiem.

Brama była otwarta jak zawsze. Wjechali na dziedziniec, gdzie nie widać było jeszcze najmniejszego ruchu. Wszyscy jeszcze spali. Drużyna zajechała przed sam zamek.

Zawiła wydał od razu polecenie, ażeby cały zamek otoczyć, o ile na to jego siły pozwalały. Odłączył dziesięciu ludzi, którzy mieli po obu bokach i z tyłu zamku dawać baczność, ażeby nikt ogrodem z niego się nie wymknął. Reszta miała uderzyć z przodu na zamek i wejść do środka.

Nim oba te korpusy się rozłączyły, z oficyn i ze stajen wyszło kilku ludzi dworskich, nawpół ubranych, a zwabionych tutaj niezwykłym w zamku zgiełkiem i turkotem tylu pojazdów naraz zajeżdżających.

Byli pewni, że to są goście, chociaż ich przybycie niezwyczajne i niespodziane bardzo ich zadziwiło. Obecność dwóch pachołków sądowych, których przed dwoma dniami poznali, pobałamuciła wkrótce ich wyobrażenia. Ujrzawszy ich, myśleli, że przybyli są wysłannikami urzędu. Kiedy wreszcie zobaczyli także Zawiłę, nie wiedzieli zgoła, co mają o tém wszystkiém myśleć.

Z ciekawością i pewném osłupieniem przypatrywali się więc przybyłym.

Zawiła wysunął się do nich.

— Graf w domu? — zapytał.

— W domu.

— To dobrze.

Skinął na jeden oddział swoich towarzyszy, a ci w jednéj chwili otoczyli ludzi hrabiego, którzy zupełnie stracili przytomność.

Z furgonów wydobyto sznury, które z sobą przywieziono.

— Dajcie się powiązać — odezwał się do nich Zawiła — albo inaczéj...

Towarzysze zrozumieli, co chciał powiedzieć, i kilka rur dubeltówek i pistoletów skierowało się na ludzi hrabiego.

Teraz dopiero zrozumieli oni, że coś złego się święci. Ale nie było rady; trzeba było uledz przemocy. Związano wszystkich jak baranów, zaprowadzono do wozowni, i tam ich zamknięto, zostawiwszy na straży dwóch ludzi z bronią.

Zawiła tymczasem popchnąwszy owych dziesięciu w ogród, z głównym korpusem zmierzał na teras. W samych drzwiach spotkał go marszałek: nieco daléj widać było dwóch lokai ledwie ze snu ocuconych i trwożnie spoglądających na przybyłą drużynę.

Marszałka zbudził także hałas na dziedzińcu. Wyszedł on przed chwilą na teras, i lubo nie mógł sobie z tego zdać sprawy, widział co się tam działo. Ujrzawszy Zawiłę, domyślił się choć w części, o co chodzi.

Patrząc surowo na przybyłych, zapytał:

— Do kogo to?

— Powiedz nam stary, gdzie jest graf?.. u siebie?... — odpowiedział mu Zawiła.

Marszałek rozkrzyżował ręce w bramie
— Do grafa tak się nie wchodzi, proszę sobie ztąd wyjść! — zawołał mocnym głosem.
— Żartuje sobie z nas!
— Związać go! — zawołało kilka głosów.
Dwóch ludzi ze sznurami przystąpiło do niego. Starzec pchnął jednego i drugiego w piersi, aż się w tył potoczyli. Przyskoczyli inni i powalili go na ziemię. Niedługo starzec leżał związany na kamieniach.
Dwaj lokaje hrabiego, widząc co się robi z marszałkiem, zaczęli uciekać przez sień do pałacu. Zawiła krzyknął za nimi, podnosząc pistolet:
— Stój, bo palę! — i obaj stanęli w miejscu. I ich także związano.
Cała załoga zamkowa była już w rękach zwycięzców.
— Teraz prosto do niedźwiedzia! — zawołał Zawiła na swoją drużynę, i poprowadził ją do gabinetu hrabiego w narożnéj baszcie.
Drzwi zastali niezamknięte. — Kilku „przyjaciół“ z Zawiłą weszło do środka, reszta została na kurytarzu.

Ale w gabinecie nie było nikogo. Łóżko było rozesłane i widać było, że ten kto na niem spał, niedawno je opuścił.

Szukano pod łóżkiem, w kominie, zaglądano pod stół i za każdy większy sprzęt w pokoju stojący, ale napróżno.

Na stole, przy zgaszonéj lampie, leżała biblja hrabiego w pergamin oprawna i rozłożona. Zapewne wieczór lub w nocy hrabia z niéj czytał. Kartka, na któréj książka była otwarta, była nieco zabrukana i nosiła na sobie ślady częstszego czytania.

Zawiła, stanąwszy przy stole, rzucił machinalnie wzrokiem na tę kartkę i natrafił na te słowa:

„Przecz nędznemu dana jest światłość, a żywot tym, którzy są utrapionego ducha?

„którzy czekają śmierci, a nie przychodzi, choć jéj pilniéj szukają niż skarbów skrytych;

„którzyby się z radością weselili, pląsając, gdyby znaleźli grób.

„Przecz dana jest światłość mężowi, którego droga skryta jest, a którego Bóg ciężkościami ogarnął?"

Zawiła czytał to bez myśli, nie zastanawiając się nad tem, jakie znaczenie

mogą mieć w tem właśnie miejscu, w którem był, te rozpaczliwe skargi nieszczęśliwego Joba.

Odwrócił się od książki z tem samem usposobieniem, w jakiem do niéj przystąpił, i odezwał się nawpół z gniewem nawpół z kwaśną miną:

— Za długo bawiliśmy się na dziedzińcu, stary gdzieś czmychnął tymczasem. Ale musi być w zamku, i choćby był pod ziemią to go znajdziemy.

W téj chwili niespodziana przygoda zwróciła oczy wszystkich w jeden kąt pokoju.

Jeden z towarzyszów wyprawy, szukając czy hrabia się gdzie nie ukrył, nagle zapadł się w samym rogu gabinetu pod podłogą, tak, że mu tylko głowę widać było i przestraszony tym wypadkiem, krzyknął mocno.

Wszyscy w jednéj chwili pobiegli w tę stronę, dopomogli towarzyszowi do wydobycia się na wierzch i odsunąwszy dywan z podłogi, zobaczyli, że w istocie w tem miejscu był otwór, jakby prowadzący do jakiegoś mieszkania niżéj położonego.

Czytelnicy nasi lepiéj niż towarzysze Zawiły zrozumią, że była to owa tafla

spuszczająca się, po któréj można się było dostać do zamurowanego pokoju, znanego nam dobrze z poprzedniego opowiadania. Tafla ta wisiała teraz nieruchomo w trzech czwartych wysokości zamurowanego pokoju. Widocznie w jéj maszynerji coś się popsuło. Tym sposobem jednak w gabinecie hrabiego utworzył się rodzaj samołowki, niewidocznéj, bo zakrytéj dywanem, w którą wpadł nieszczęśliwy towarzysz wyprawy.

Zawiła położył się na ziemi, ażeby lepiéj otworowi się przypatrzyć, i wetknąwszy głowę tak głęboko jak było można, przekonał się, że otwór ten prowadzi gdzieś daléj. Podniósł się więc szybko i zawołał z radością:

— Mamy go!... o téj jamie nie wiedziałem....

Zapalono światło i przy pomocy sznurów kilku odważniejszych spuściło się do zamurowanego pokoju.

Wszystko było tu w tym stanie, jak to widzieliśmy owéj nocy, kiedy hrabia spowiadał się przed Wandą z okropnych wydarzeń swojego życia. Nie było tylko dwóch rzeczy: portretu hrabiny i czaszki Jurdokima.

Ale co gorsza nie było także i hrabiego. Przetrząśnięto znowu jak najskrupulatniéj pokój, i pomimo uporczywego przekonania Zawiły, że hrabia tu być musi, nigdzie go nie znaleziono.

Cały zamek uległ podobnie ścisłéj rewizji jak gabinet i pokój zamurowany. Szukano po wszystkich pokojach, po strychach i po piwnicach, bez najmniejszego skutku. Nigdzie ani śladu pobytu hrabiego lub ucieczki znaleźć nie było można. Wypytywano się o niego ludzi dworskich, grożono im ciężką karą, gdyby zataili prawdę, ale wszyscy odpowiadali, że hrabia był wczoraj wieczór w zamku i na noc udał się do swego gabinetu.

Z kolei udano się także w celu poszukiwań do pokojów kobiecych i do mieszkania Julji. Małgorzata już nie spała, ale ponieważ okna w téj stronie wychodziły na ogród, a stara piastunka, jak wiemy, mocno szwankowała na słuchu, nie wiedziała więc nic zupełnie, co się w zamku działo.

Skoro zobaczyła na progu Zawiłę i jego towarzyszy ze strzelbami i pistoletami, a przytem z jakiemiś minami groźnemi, które na ich twarz wywołał gniew i nie-

zadowolnienie z dotychczasowych bezskutecznych poszukiwań, przelękła się bardzo i krzyknęła załamując ręce:

— Matko Boska, ratuj nas!

— Cicho stara! zawołał do niéj na cały głos Zawiła — nie bój się, nic ci złego nie zrobimy. Jest tu hrabia?

— Czego wy od nas chcecie?... idźcie sobie precz, bo mi panienkę zbudzicie!... wołała Małgorzata nie dając się uspokoić.

— Gadaj, czy tu jest hrabia! więcéj nie potrzebujemy nic wiedzieć — odparł Zawiła.

— Tu nie ma pana hrabiego..... zkądby on się tu wziął!....

— Więc gdzie jest?..... mów, tylko prędko!

— O ja nieszczęśliwa kobieta!.... Najświętsza Panno Latyczewska!.... zkąd ja mogę wiedzieć, gdzie jest pan hrabia..... jest pewnie u siebie.... tutaj go nie ma.

— Poszukamy, czy go tutaj nie ma — odpowiedział Zawiła i postąpił ku łóżku Julji zasłoniętemu firankami.

Małgorzata zebrała wszystkie swoje siły, poskoczyła w tę samę stronę i wprzód nim Zawiła stanęła przed łóżkiem i rozkrzyżowała ręce:

— Ani mi się ważcie! — zawołała z jakimś rozpaczliwym gniewem — tam śpi moja panienka, mój aniołek!....

Zawiła odepchnął ją silnie, że biedna kobieta o mało nie upadła na ziemię, i rozsunął firanki zaglądając ciekawie, czy nie ujrzy hrabiego. Reszta towarzyszy także się do łóżka zbliżyła.

Ale wprzódy jeszcze nim Zawiła mógł dobrze rozpatrzyć się za firankami, Małgorzata jak samica broniąca gniazda z pisklętami, rzuciła się na łóżko i chciała je pokryć swą osobą.

— Nie ruszajcie!.... nie patrzcie!... wołała ochrypłym od wzruszenia głosem.

Nagle podniosła się blada jak ściana, i obłąkanym wzrokiem powiodła po napastnikach.

Łóżko Julji było próżne.

— Zbójcy, rabusie!... wołała robiąc piersiami z wielkiego żalu — porwaliście mi moją panienkę!... Oddajcie mi ją.... gdzieście ją podzieli?...

Zawiła uśmiechnął się złośliwie.

— Nie bój się stara o nią — rzekł — w bezpiecznem ona schowaniu — i poklepał ją po ramieniu.

Reszta towarzyszy nie wiele zważała na krzyki Małgorzaty. Ani osoba ani los Julji zupełnie ich nie obchodziły.

Stara piastunka załamywała ręce, rwała sobie włosy z głowy, patrząc ciągle na łóżko, jakby jeszcze nie wierzyła, że Julji w niem nie ma. Nareszcie jakby się opamiętała, wybiegła szybko z pokoju krzycząc:

— Gwałtu, na pomoc!... panie hrabio, panie hrabio!...

Nikt jéj nie zatrzymywał, a ten lub ów rozśmiał się tylko z nierozsądku staréj kobiety.

W tym pokoju także nie znaleziono, czego szukano. Niedługo nie było już gdzie szukać. Poszukiwania te zabrały jednak kilka godzin czasu, i była już dziewiąta godzina zrana. Wszyscy czuli się zmęczeni, a choć nie w najlepszym byli humorze, widząc, że ich zamiary spełzły na niczem, apetyty jednak mieli wyborne i zaostrzone doskonale długą fatygą. W piwnicach hrabiego znaleziono pod dostatkiem doskonałego, starego wina, śpiżarnia zamkowa mogła także dosyć materjałów kuchennych dostarczyć, zawołano więc kucharza i kazano mu jak najprędzéj ugotować wspaniałe śniadanie.

W dolnéj sali niedługo potem najezdnicy bankietowali przy stole hrabiego, jedząc i pijąc w najlepsze, a choć nieraz

wspomnienie, że hrabia im uszedł, zamąciło im na chwilę wesołość, odpędzali je od siebie jakiem zaklęciem, któregoby się i dragon nie powstydził, albo rubasznemi drwinami z samych siebie.

Śniadanie już się miało ku końcowi, gdy Zawiła nagle zamyślił się, jakby sobie coś niespodzianie przypomniał, i uderzając się w czoło zawołał:

— Jakiż ze mnie wielki osieł!

Towarzysze spojrzeli po nim:

— Ho, ho, cóż znowu takiego?.. zapytali.

Zawiła powstał od stołu. Oczy mu się śmiały więcéj niż od wina z jakiejś wewnętrznéj radości, ale poważnym głosem się odezwał:

— Kończcie co jeszcze macie jeść i pić, bo pójdziemy jeszcze tam, gdzieśmy dotąd nie byli. Możecie powiedzieć, żem jest huncwot, jeźli was nie zaprowadzę do legowiska, w którém znajdziemy naszego niedźwiedzia.... *parole d'honneur* — i basta!

Rumor zrobił się przy stole na te słowa Zawiły. Wszyscy prawie (prawda, że już dosyć nasyceni i napojeni) porwali się od stołu, trącono się jeszcze raz ostatni w kieliszki, rozbito „na wiwat" kilka próżnych i niepróżnych butelek, i cała drużyna okazała gorącą chęć i gotowość, jak

najprędzéj iść za swym przewodnikiem tam, gdzie nareszcie miano złapać niedźwiedzia.

— Pójdziemy trochę daléj — mówił Zawiła, i na tę nową wyprawę przeznaczył tylko panów, służba zaś pod dowództwem małego Ignasia miała zostać na załodze w zamku. Nim wyruszono zabrano ze sobą także kilka latarni ze stajen i z oficyn na wyraźny rozkaz Zawiły.

Tym razem wyszli z zamku przez ogród, skąd dostali się na pole, a następnie do lasu, w którym przed kilku tygodniami Zawiła wracając do Dubna spotkał idącego hrabiego.

Przez drogę, Zawiła po części przypominał towarzyszom dawać baczność na wszystkie strony i opisywał im przytem, jak hrabia wygląda, po części zaś mruczał coś sam do siebie pod nosem, a co wyglądało, jakby sobie robił wyrzuty.

— Jak można było tak się zapomnieć! Doprawdy, miałbym to do śmierci na sumieniu, gdyby nam stary umknął. Ten czarny punkt, który widziałem rano, to przecież nie mógł być kto inny, tylko on w swojéj rewerendzie... A do tego ten punkt szedł do lasu, do tego samego lasu, w którym mi on już raz zniknął jak kam-

fora... Oj głowo, głowo!... Gdyby to zrobił kto inny, powiedziałbym, że jest wielki bałwan!...

Bezwątpienia wino, które Zawiła miał w głowie, przyczyniało się także niemało do téj jego szczerości względem swojéj osoby i do tego, że nad swoją nierozt ropnością tak bardzo ubolewał.

Gdy weszli już w las, droga nie szła im tak prędko. Czy z powodu że nie był zupełnie trzeźwy, czy z braku pamięci, a może z obu tych przyczyn naraz, Zawiła zwracał często swą drużynę z jednéj ścieżki na drugą, to znowu powracał na dawną, albo też szukał jeszcze trzeciéj. Upłynęło dwa razy tyle czasu, ile przy dobrém przewodnictwie potrzeba było na odbycie drogi, a drużyna nie stanęła jeszcze u celu. Gniewało to niezmiernie Zawiłę, który tego się lękał najbardziéj, aby hrabia nie wyszedł z lasu, podczas gdy oni błądzili szukając go. Cokolwiek także bolały go śmiechy i żarty towarzyszy, którzy spostrzegłszy niepewność swego przewodnika, zaczęli nie bardzo w to wierzyć, aby to nowo poszukiwanie na więcéj się przydało jak poprzednie, i nabierali przekonania, że ta wyprawa do lasu jest tylko wybrykiem jego fantazji.

Nareszcie Zawiła ujrzał, czego pragnął, ujrzał tę dziką, skalistą wyżynę, na któréj mu hrabia niegdyś z przed oczu zniknął, a następnie i tę jaskinię, do któréj wtenczas według jego domysłów wszedł. Drużyna stanęła przed otworem jaskini. Zapalono latarnie, dwóch towarzyszów zostawiono na straży u wejścia, a reszta z odwiedzionemi kurkami u broni weszła do środka.

Nikt nie wiedział na pewne, co tam może być w jaskini, a kiedy zajrzeli w czarne jéj wnętrze, mimowoli rozbudziła się w nich fantazja, poczęła tworzyć różne obrazy i przewidywać rozmaite możliwe wypadki.

Przejście z początku było bardzo niewygodne. Trzeba się było zgiąć prawie w pół i ciągle pamiętać o głowie. Szli więc powoli jeden za drugim. Daléj jaskinia rozprzestrzeniała się i w szérz i na wysokość.

Gdy byli już na tém miejscu, usłyszeli jakiś stuk podobny do uderzenia młota, który ponurém echem obijał się o ściany jaskini.

— Słyszycie?... zapytał Zawiła zniżonym głosem — to nikt inny tylko on...

Pomimo tego zapewnienia i nadziei o-

siągnięcia nareszcie celu wyprawy, mrowie przeszło niejednemu po kościach, i niejeden gdyby chciał szczerze się przyznać, musiałby powiedzieć, żeby wolał być tam pod jasném niebem, niż tu w ciemnéj jamie.

Ale wszyscy szli daléj. Stuk stawał się coraz wyraźniejszy i głośniejszy, napastnicy zaś postępowali w coraz większéj cichości i milczeniu.

Gdy tak uszli znowu kilka kroków, uderzyła ich oczy jasność padająca z góry. Podnieśli głowy i zobaczyli, że w tém miejscu jaskinia była rozpadnięta, a otwór ztąd powstały dochodził aż do wierzchu ziemi. Było to więc światło dzienne, które zobaczyli i które oświecało wnętrze jaskini w dosyć znacznéj przestrzeni i dosyć jasno.

W téj chwili stuk, który dotychczas słyszeli, nagle ustał.

— Musiał nas spostrzedz — szepnął Zawiła do towarzyszy — przyspieszmy kroku, bo inaczéj umknie jaką dziurą.

Przy świetle dziennem padającém z góry, drużyna nabrała więcéj serca i mogła prędzéj postępować. Rozkaz Zawiły został więc spełniony. Wszyscy ruszyli się naprzód, ale zaledwie kilka kroków się

posunęli, jaskinia znowu się zniżała i robiło się w niéj coraz ciemniéj.

Na szczęście, daléj już iść nie było potrzeba.

W zagłębieniu jaskini, które było już ostateczną jéj granicą, ujrzeli nagle hrabiego.

Siedział on klęczący na ziemi, i w jednéj ręce trzymał młot, jakby świeżo od roboty odjęty. Jego długa siwa broda dotykała aż do kolan...

Legowisko niedźwiedzia.

Co hrabia tam porabiał?

Kuł groby.

Słowa te potrzebują niejakiego objaśnienia.

Od kilku miesięcy hrabia był codziennym gościem w jaskini, a nawet można powiedzieć w połowie przynajmniéj jéj mieszkańcem. Kilka bowiem godzin dziennie przebywał w niéj. Potrzebował miejsca zdaleka od świata i ludzi, gdzieby nic nie przerywało jego bolesnych rozmyślań. Jego samotny i prawie ludziom niedostępny gabinet, zdawał mu się nie

dość jeszcze cichym, nie dość od świata oddalonym. On potrzebował pustyni, w któréjby nietylko nie widział i nie słyszał ludzi, nietylko się o nich nie ocierał, ale w któréjby sam ginął dla nich bez wieści. Samotność wydawała mu się wtenczas dopiéro zupełną, kiedy nietylko on mógłby zapomnieć o świecie, ale kiedy i świat także nie wiedziałby gdzie on jest, nie domyślał się miejsca jego pobytu.

Pokój zamurowany mógł być podobnego rodzaju schronieniem. Nikt prawie nie wiedział o jego istnieniu. Ale hrabia nie wybrał go na swoję pustelnię. Odpędzały go od tego miejsca bolesne wspomnienia, i to nietyle dawniejszych czasów, ile najświeższych wydarzeń. Wszakże w tym pokoju otworzył przed Wandą całą swą duszę i sumienie, tutaj słyszał z jéj ust zapewnienie miłości i przywiązania, a to co późniéj się stało, było z tém wszystkiém w tak rażącéj sprzeczności, i tak silnie zraniło jego serce.

W wycieczkach swoich do lasu, do którego wnętrza coraz daléj się zapuszczał, napotkał tę jaskinię, i zdawało mu się, że znalazł, czego chciał. Miejsce odludne, zapomniane, w którém mógł żyć, oddé-

chać, rozmyślać i boleć, a nikt z ludzi nie wiedział, że on się tam znajduje.

Dodajmy i to, że to wybranie pewnego miejsca niejako na przybytek cierpienia, na świątynię poświęconą wyłącznie na wynurzenie się jego duszy przed samą sobą, sprawiało mu pewną ulgę. Przebywszy tam kilka godzin ze swemi zgryzotami i bolesnemi wspomnieniami, uczuwał, że część ciężaru spadała mu z piersi, i powracał do domu z większym spokojem i męztwem. To że cierpiał, wbijało go w pewną dumę wobec siebie samego; to że cierpiał samotnie i bez ludzkiego współczucia, zadawalniało jego miłość własną, od któréj nawet boleść nie jest wolna. Czuł się wyższym od innych, którzy przechodzili przez życie nie sięgając do dna jego tajemnic, do tego dna, na którém obok kropli rozkoszy dopija się człowiek całych haustów boleści i goryczy.

Było to zapewne urojenie, którego dopuszcza się bardzo wielu ludzi, rządzących się i pojmujących świat sercem. Odurzenie się własnemi cierpieniami, pewne lubowanie się w nich, rozciąganie w nieskończoność pasma nieszczęść w swojéj wyobraźni, sprawia im pewnego rodzaju zadowolnienie, które w pewnych chwilach

przynajmniéj każe im zapominać o goryczy nieszczęścia.

Urojenie podobne tym łatwiejsze jest do zrozumienia w umyśle tak skłonnym do fantastyczności i marzycielstwa jak umysł hrabiego.

Z początku chodził on do swéj pustelni w różnych porach, według tego jak uczuwał potrzebę samotności, albo téż cięższą boleść w swém sercu. Niekiedy bawił tu przez cały dzień, niekiedy znów tutaj noc przepędzał. Odkąd Julja zrobiła przed nim owo wyznanie, i odkąd postanowił więcéj nią się zajmować, udawał się zwykle na to miejsce wczas rano, najczęściéj o świcie, a powracał do zamku w południe lub nieco późniéj, ażeby drugą połowę dnia poświęcić córce.

Od czasu, w którym na tak ciężkie próby został wystawiony, zaszła w nim jeszcze jedna zmiana, któréj pominąć milczeniem nie możemy.

Szacunek, jaki miał zawsze dla pamięci swéj żony, urósł w tych czasach w jakąś nieograniczoną i prawie bałwochwalczą cześć dla niéj. Zdawało się hrabiemu, że ten niegodny czyn, jakiego się Wanda względem niego dopuściła, był karą przez Opatrzność wymierzoną za krzywdy, ja-

kie mógł żonie wyrządzić. Z tego przekonania wychodząc, zaczął coraz mocniéj w to wierzyć, że żona jego nie była nigdy winną, że popełnił względem niéj największą niesprawiedliwość i zbrodnię. — Obie te kobiety równocześnie stawały mu na oczach, i w jednéj widział swą ofiarę, w drugiéj karzącą go Nemezys. Im w czarniejszych kolorach stawała wtenczas przed nim Wanda, tym jaśniejsza i promienistsza aureola rozpalała się dokoła skroni nieszczęśliwéj żony.

Jedna z tych kobiet dawała mu miłość cichą i spokojną, a on tego uczucia nie przyjął, nie uznał za miłość i zniszczył je w tak okropny sposób; w drugiéj z nich przeczuwał on tę szatańską i czarującą siłę namiętności, tę pełnię uczucia, która była marzeniem jego młodości, a pragnieniem lat późniejszych, i wyciągnął po nie ręce z chciwością, ale został odepchnięty i zabity tą dłonią, od któréj się nowego życia spodziewał.

Czy nienawidził przeto Wandę, czy przestał ją kochać? Bynajmniej. Ona była sprawczynią jego cierpień, bo na to zasłużył; gdyby był zasłużył na szczęście, byłby je tak samo z jéj ręki otrzymał. Jéj nie uważał on za potępionego anioła,

tylko siebie za istotę, którą musiała dotknąć pomsta boża i wybrała sobie do tego narzędzie, jakie jéj się podobało.

Hrabia na téj zmianie zyskał tyle, że żona stała się dla niego jakąś istotą wyższą i świętą, którą przebłagawszy cierpieniem, mógł uważać za swoją patronkę, za swego anioła stróża, pierwsze zaś jego uczucie nienawistne dla Wandy straciło wiele ze swéj zaciętości i goryczy.

Hrabia zatém wobec jednéj i drugiéj potępiał najwięcéj siebie. Ale takie potępienie podwyższa człowieka i zmniejsza jego cierpienia; bo im więcéj widzi on dokoła siebie i nad sobą istot doskonalszych, tym więcéj kocha i tym mniéj czuje się nieszczęśliwy.

Z tego uczucia wypłynęło także pragnienie uczynienia pewnéj ekspiacji cieniom nieszczęśliwéj żony.

Hrabia od pierwszych prawie chwil, w których skalista grota stała się drugiém jego mieszkaniem, postanowił obrać ją także na miejsce wiecznego dla siebie spoczynku. Był przekonany, że długo już nie pożyje, i byłby szczerze i gorąco tego pragnął, gdyby nie ta myśl, że jeszcze jest ktoś na świecie, co potrzebuje jego serca i opieki. Ale i to mogło się prze-

cież niedługo skończyć. Miał nadzieję, że znajdzie dla Julji męża, który potrafi zastąpić go przy niéj i zrobić ją szczęśliwszą niźli on. Wtenczas byłby już zupełnie wolny i mógłby złożyć bez wyrzutów sumienia i obawy swą siwą głowę pod grobowy kamień.

Jaskinia miała więc być dla niego grobowcem. Własną ręką postanowił wykuć sobie w téj skale grób, w którymby go złożono po śmierci.

Ale sam jeden czyż on tu mógł spoczywać? Wszakże były na świecie istoty, z któremi los jego był tak silnie chociaż boleśnie splątany, a te istoty już nie żyją? Połączyć się z niemi powinien był i po śmierci, jak niegdyś złączony był za życia.

Oprócz grobu dla siebie, hrabia w téj skale chciał także mieć grób dla swéj żony i tego, który przy niéj padł ofiarą jego zaślepienia i namiętności.

To się należało ich pamięci, to potrzebném było dla jego uspokojenia.

Pierwszy grób, który wykuł w ścianie jaskini, był dla żony. Zwłoki jéj spoczywały w katakumbie pod zamurowanym pokojem. Nikt o tém w zamku nie wiedział, bo i miejsce jéj spoczynku, jak

wszystko zresztą co się niéj tyczyło, chciał hrabia okryć wieczną tajemnicą, przez wzgląd na dzieci. Nocną porą wydobył je ztamtąd i przeniósł do jaskini. Jéj portret z zamurowanego pokoju umieścił także w tym nowym grobowcu.

Z ciała Jewdokima została tylko czaszka; gdzie była reszta, hrabia nigdy o tém nie wiedział. W drugim grobowcu więc złożył tę głowę, któréj widok kiedyś zabił jego żonę.

Miał więc już dwoje zmarłych towarzyszy do spoczynku, którego się sam niedługo spodziewał... Nad ich grobami we środku powiesił wielki krucyfix z dębowego drzewa, który własną ręką zrobił, a który niedługo zczerniał w jaskini. Często także przynosił z lasu wieńce z gałązek dębowych lub jodłowych i zawieszał je na ścianie nad temi grobowcami.

Zawiła nie mylił się, spotkawszy przed kilku tygodniami hrabiego w lesie, że niósł na ramieniu dwa wielkie wieńce.

Z kolei hrabia przystąpił do roboty trzeciego grobu — dla siebie samego. Ostatni ten grób był już prawie gotowy, i kilkanaście uderzeń młota wystarczało do jego zupełnego wykończenia.

Wszystkie trzy wykute były w jednéj ścianie jaskini jeden obok drugiego i podobne były do grobów, jakie widzieć można w niektórych kryptach klasztornych kościołów.

Dwa pierwsze były już zamurowane, albo raczéj założono drobnemi kamieniami, poukładanemi jeden na drugim; trzeci, nad którym hrabia pracował, był otwarty.

Po jednéj i po drugiéj stronie było jeszcze na ścianie miejsce wolne.

Z jaskini do lochu.

Napastnicy zastali hrabiego przy robocie tego trzeciego grobu. Na ziemi obok niego leżało dłuto i stał dzbanek z wodą.

Hrabia pierwéj ujrzał napastników, niźli oni jego. Oni oświeceni byli po części światłem dostającém się przez górną szczelinę do jaskini, po części latarniami, które nieśli w ręku. Ten sam słup słonecznych promieni, które ich oświecał, zakrywał go przed ich oczyma aż do chwili, w któréj tuż przy nim stanęli.

Poznał on odrazu Zawiłę, a domyślił się, że jego towarzysze są owymi przyjaciółmi Henryka, o których niekiedy przychodziły do niego nie bardzo pochlebne wieści.

W jednéj chwili zrozumiał znaczenie téj napaści, i wlepił w nich oczy surowe i groźne, pełne oburzenia i obrażonéj dumy.

Napastnicy zobaczywszy go nagle w téj groźnéj i imponującéj postawie, potracili głowy i nie wiedzieli, jak się zabrać do wykonania swéj drażliwéj misji. Mimowoli uczuli uszanowanie dla tego starca, o którym słyszeli zawsze jako o dziwaku i szaleńcu, i którego widzieli teraz po raz pierwszy w takiém miejscu i przy takiém zajęciu, że gdyby im o tém ktoś przy dobrym obiedzie lub kolacji opowiadał, byliby pękali od śmiechu.

To wzajemne rekognoskowanie się trwało jakąś chwilę. Ani hrabia, ani żaden z przybyłych nie odzywali się. Nareszcie Zawiła zdejmując czapkę, przemówił nadzwyczaj skromnym i grzecznym tonem:

— Pan hrabia daruje, że zmuszeni koniecznością, chwycić się musieliśmy tego ostatecznego środka...

— Przyszliście tu z rozkazu mojego syna? — przerwał mu hrabia, podniosłszy głos, aby tym sposobem pokryć boleść, którą uczuwał przy tych wyrazach.

— Pan hrabia się myli — odparł Zawiła tym samym słodkim głosem jak przedtém — nie z rozkazu pańskiego syna, ale w skutek uchwały sądowéj... Pan hrabia nie raczył zadość jéj uczynić...

— To wszystko jedno! — zawołał hrabia opryskliwie. — Więc czego tutaj chcecie?...

— Pan hrabia będzie łaskaw pofatygować się z nami...

— Dokąd?..

— Do siebie.

— A potém?..

— Do sądu... Albo może nigdzie już więcéj, jeżeli tego nie będzie potrzeba.

Hrabia rozśmiał się gorzko i jak się Zawile zdawało złowrogo, i spojrzał na niego tak iskrzącemi oczami, że aż mrowie przeszło go od stóp do głowy.

Dla honoru Zawiły należy dodać, że przeraziły go nie tyle ten uśmiech i spojrzenie hrabiego, ile potężny młot, który ciągle trzymał w ręku. Narzędzie to w silnéj dłoni hrabiego, rozdrażnionego jak

się zdawało do najwyższego stopnia, mogło być straszną bronią.

Co robić w takim razie, gdyby hrabia chciał był stawić opór? Pytanie to przeszło w jednéj sekundzie przez głowę Zawiły i niejednego z jego towarzyszy. Użyć na niego kuli?.. Mieli je gotowe w lufach, ale o tém na serjo żaden z nich nie myślał; do téj ostateczności nie chcieli doprowadzać rzeczy.

Hrabia pochylił głowę i zatopił się w myślach, jakby chciał uskromić swój gniew i oburzenie. Po chwili twarz jego rzeczywiście straciła swój imponujący i groźny wyraz, a oblała ją jakaś posępna rezygnacja.

Powolnym ruchem położył młot obok dłuta na ziemi. Zawiła chrząknął w téj chwili, jakby chciał powstrzymać jakiś wykrzyk radosny.

Starzec podniósł się z ziemi i odezwał się spokojnym głosem:

— Idę.

Gdyby nie był przeczuł wahania się napastników i tego, że do ostatecznych środków nie mieli ochoty, byłby zapewne przyjął walkę. Umrzeć, zginąć od kuli, którą wysłała na niego ręka synowska, mogło mu sprawić bolesną radość,

że kielich wypił do dna, że padł ofiarą niesłychanéj złości, nie poddając się przemocy. Ale walka, na którą mógł się wystawić, byłaby innego rodzaju. Zapewneby się mocowano z nim, szarpano go, powalono na ziemię. Taka walka mogłaby go narazić tylko na śmieszność i musiałby w niéj uledz ostatecznie.

Wolał więc uledz dobrowolnie.

Napastnicy otoczyli go i wyszli z nim razem z jaskini, a następnie udali się do zamku.

Zaprowadzono go do jego gabinetu; Zawiła kazał mu przynieść jeść. Postawiono potrawy na stole, ale hrabia nie ruszał się z fotelu, na którym usiadł zaraz za przyjściem. Tak teraz, jak i przez całą drogę nie przemówił do nikogo ani jednego słowa.

Zawiła chciał mu dać czas do namysłu; odchodząc więc od niego, odezwał się:

— Niech pan hrabia będzie łaskaw zastanowić się nad tém, co wypada zrobić. Powrócę tu za godzinę.

Hrabia nie spojrzał nawet na niego. Zawiła wyszedł, zostawiając przy drzwiach gabinetu czterech ludzi na straży.

Za godzinę, jak przyrzekł, powrócił.

Zastał hrabiego w téj saméj pozycji na fotelu, jak go zostawił. Potrawy na stole były nietknięte.

Po chwili, widząc że hrabia nie zaczyna rozmowy, odezwał się:

— Pan hrabia zapewne już się namyślił?... Lepiéj zrobić wszystko po dobréj woli i zgodnie, niż włóczyć się po sądach... Pan hrabia może być przekonany, że my także sobie tego nie życzymy.... Brevi manu, sprawa może się jak najlepiéj dla obu stron zakończyć.

Mówił to powoli i przerywał sobie często, jakby za każdém swojém zdaniem oczekiwał odpowiedzi hrabiego, i patrzył przytém na niego tak pożerającym wzrokiem, jakby chciał odpowiedź wydrzeć mu z gardła.

Ale nie odebrał żadnéj odpowiedzi.

Zbliżył się potém do stołu i wskazując na leżący na nim arkusz papieru, rzekł znowu:

— Niech pan hrabia będzie łaskaw tylko tu napisać, że odstępuje na rzecz syna: Pobujnę, Zarzecze, Horodów, Wojutyn i Osowę z jéj dwoma folwarkami, jako téż cały inwentarz i gotówkę w kasach tych folwarków się znajdującą, a my wyrzekniemy się wszystkich dalszych

pretensji, odstąpimy od procesu i pan hrabia w téj chwili będzie wolnym. Inaczéj zaś...

Hrabia spojrzał na niego, jakby się dziwił temu, co on mówi i odpowiedział obojętnie:

— Czyńcie, co wam się podoba... jestem w waszych rękach.

Zawiła wzruszył ramionami, niemogąc pojąć, jak można być tak nierozsądnym i upartym człowiekiem — i wychodząc, głośno drzwi za sobą zatrzasnął.

— Djabła ma w sobie ten człowiek! — wykrzyknął sam do siebie, kiedy już był na kurytarzu.

Nie pozostawało więc nic innego, tylko zabrać hrabiego z sobą.

Dla pewnéj przyzwoitości i dla uniknięcia oczu ludzkich, postanowiono wywieść hrabiego dopiero o zmierzchu. Gdy wieczór się zrobił, cała kalwakada wsiadła do swoich furgonów i bryczek, dla hrabiego zaś zaprzężono jego własną karetę, wsadzono go do niéj i szczelnie zasunięto firanki u okien.

Koło karety miało jechać konno czterech ludzi, pomiędzy nimi także Zawiła. Był to środek przezorności przeciw wszelkiéj możliwéj interwencji obcéj. Konie

na ten cel wzięto także ze stajni hrabiego.

Kiedy kareta ruszała z dziedzińca, nagle z terasu dał się słyszeć krzyk rozpaczliwy:

— Panie hrabio!... panie hrabio!... naszéj Julci niema... porwali ją ci rabusie!...

Hrabia zadrżał na te słowa, rzucił się do okna w karecie i przez wązką szczelinę w zapuszczonéj firance zobaczył Małgorzatę zbiegającą ze schodów terasu z załamanemi rękami.

Stara piastunka, zrobiwszy rano to fatalne odkrycie, że Julji u siebie nie było, pobiegła, jak wiemy, natychmiast do hrabiego, aby mu donieść o tém wydarzeniu i zażądać jego pomocy, bo wszystkiego tego, co się w zamku działo, zgoła nie rozumiała. Naturalnie hrabiego zastać u siebie nie mogła, bo był wówczas w swojéj jaskini, a gdyby tam nie był, już dawno najezdzcy byliby go pochwycili. Z płaczem więc i krzykiem błąkała się późniéj po zamku, biegając z miejsca w miejsce w nadziei, że Julję gdzie znajdzie, albo się o niéj coś dowie.

W ciągu dnia wracała jeszcze nieraz do gabinetu hrabiego, już nawet i wtenczas, gdy najezdnicy przywiedli go do zamku. Ale straż stojąca przy drzwiach

i na korytarzu, nie dopuszczała jéj do niego.

Biedna Małgorzata dochodziła do rozpaczy, niemogąc pojąć, co to wszystko ma znaczyć. Przelękniona o los swéj wychowanki, traciła przytomność, odchodziła prawie od zmysłów i łkając bezustannie, zawodząc lamenty na cały głos, biegała znowu po zamku i po ogrodzie jak szalona.

Nareszcie, kiedy hrabiego przeprowadzono do karety i kiedy najezdnicy z zamku się wynieśli, zabierając się do powrotu, nie było już nikogo, ktoby dawał na nią baczność i mógł ją powstrzymać. Małgorzata wybiegła na teras właśnie w chwili, gdy hrabiego wsadzano do karety i zobaczyła go. Dobywszy więc ostatnich sił, zawołała na niego i puściła się za nim, chcąc go dognać i rozmówić się z nim.

Hrabia poraz pierwszy przez jéj wołanie dowiedział się o jakiémś nieszczęściu, które spotkało jego córkę. W téj chwili niczego więcéj nie pragnął jak jednéj minuty wolności, ażeby mógł rozmówić się z Małgorzatą i coś więcéj o Julji się dowiedzieć.

Propozycja Zawiły stanęła mu przed oczami.... Gdyby zrobił ustępstwa, których syn żądał, mógł być téj chwili wolny i zapobiedz może jeszcze nieszczęściu, które groziło córce, wyratować ją...

Pokusa była silna.

W téj chwili Zawiła przejeżdżał na koniu około okna, do którego hrabia twarz swą przylepił. Już wyciągał rękę, aby zapukać w szybę, już miał zawołać na niego...

W tém kareta ruszyła, a hrabia rzucił się napowrót w tył pojazdu na siedzenie.

Postanowił nie robić żadnych koncesji dla występnego syna, który niepoczuwając się do dawnych win, śmiał jeszcze teraz podnieść rękę na ojca.

Kareta potoczyła się szybko po piasku, a Małgorzata, która biegła za nią, straciwszy ostatnią nadzieję, upadła bez tchu na ziemię.

Bez żadnéj zresztą przygody kalwakada wraz z więźniem stanęła przed karczmą andrzejowiecką. Hrabia został na dworze w karecie pilnowany przez straż, a Zawiła poszedł wprost do Wandy.

Była sama. Lampa słabo świeciła się w jéj pokoju; pomimo to, Zawiła dostrzegł wielką w niéj od wczoraj zmianę. Była blada, pomięszana i smutna.

— Przywieźliśmy go — rzekł Zawiła, wchodząc do izby.

— Kogo?

— Hrabiego.

— A prawda! — rzekła Wanda, chcąc zatrzeć swoje roztargnienie.

— Gdzie go umieścić? — zapytał Zawiła.

— Ja nie wiem — odpowiedziała Wanda tym tonem, jakby miała inne ważniejsze dla niéj rzeczy na głowie.

— No, to już ja o tém pomyślę. Może chcesz się z nim widzieć, możebyś ty go prędzéj nakłoniła....

— Ja?... nie, nie chcę się z nim widzieć... — odrzekła Wanda prędko i z oburzeniem.

Ta propozycja w istocie napełniła ją jakąś trwogą. Za nic w świecie nie byłaby chciała w téj chwili spotkać się oko w oko z hrabią. Uczuła jakieś wyrzuty sumienia.

— Wyobraź sobie — mówił Zawiła, mało się troszcząc o jéj pomięszanie — powiedziałem mu jak najwyraźniéj, że byle oddał nam te kilka nędznych folwarków, nie będziemy go ruszać z domu i odstąpimy od procesu. Ale cóż? stary kutwa ani słuchać nie chciał!.. No,

dobranoc — dodał, zabierając się do wyjścia — muszę iść wynaleźć dla niego kwaterę.

Gdy już był we drzwiach, zatrzymał się.

— Ale... —rzekł—Henryk przyjechał?

— Nie. Nie wiem, co to znaczy, że go dotąd niema.

— Tém lepiéj. Zanadto jest drażliwy. Mógłby nam przeszkodzić. Pewno w nocy nadjedzie. A jutro ze wschodem słońca jedziemy daléj... czy tak?

— Tak.

— Dobranoc.

Wyszedłszy od Wandy, Zawiła zajął się najprzód, jak powiedział, wyszukaniem kwatery dla więźnia.

Nie była to rzecz tak łatwa. Wszystkie izby w karczmie były zajęte, a prócz tego Zawiła chciał wynaleźć bezpieczne dla hrabiego schronienie. Z jego ponuréj i zamyślonéj twarzy, z uporczywego milczenia, które ciągle zachowywał, wnosił on, że hrabia knuje zapewne jakieś plany i uległszy przemocy, będzie usiłował podstępem się uwolnić. Wielka jego siła, o któréj wiedział, dawała mu także do myślenia. Z drugiéj zaś strony przewidywał, że towarzysze wyprawy, umęczeni niespaniem i trudami, jakie przez całą

dobę ponosili, wreszcie także i winem, którego sobie przez cały ten czas bynajmniéj nie żałowali, będą spać jak zabici — i w razie nawet jakiegoś nagłego wypadku, niełatwo by się ich można dobudzić.

Zawiła mógł fałszywie czytać w twarzy hrabiego, obawy jego mogły być całkiem płonne, ale bądź co bądź nie dowierzał on jeszcze własnemu szczęściu, które mu hrabiego do rąk oddało i postanowił je szanować, zachowując wszelkie środki przezorności.

Zajęty więc myślami, gdzieby i jak więźnia najbezpieczniéj ulokować, obejrzał całą karczmę jak najskrupulatniéj, wewnątrz i zewnątrz, zaglądając do każdego kąta, próbując mocy wszystkich drzwi i okiennic.

Nareszcie wynalazł miejsce, które mu się najodpowiedniejszém wydawało.

Na samym końcu sadu był rodzaj składu czy téż piwnicy, a naprawdę jeden z owych lochów, z jakiemi po wsiach często się spotkać można. Nie był zbyt obszerny, ale za to mocno zbudowany z kamienia i cegły i do połowy swéj wysokości zachodzący w ziemię. Wejście do niego stanowiły drzwi dębowe, przepasa-

ne na krzyż dwoma żelaznemi sztabami. Po jednéj stronie drzwi było okienko, które nie mogło wprawdzie wpuszczać do środka dostatecznéj ilości światła, ale od biedy wystarczało do przewietrzania lochu. Opatrzone było także mocną kratą.

Zwyczajnie loch ten służył do przechowywania mięsa i nabiału, a przez zimę także jarzyny. Oprócz tego stały w nim po kątach rozmaite sprzęty domowe, jak naprzykład: stare taczki, cebrzyki, łopaty i grabie.

Zawiła, odbywszy dokładną rewizję lochu i uprzątnąwszy go z grubsza, uczuł pewne skrupuły, czy można tam hrabiego ulokować. Ale po niejakiéj chwili wybił sobie z głowy tę zbyteczną swoję delikatność, powiadając sobie, że wobec wyższych względów na bezpieczeństwo i pewność, na takie drobnostki nie można uważać, i że zresztą hrabia zaledwie kilka godzin będzie mieszkańcem tego niezbyt wspaniałego apartamentu.

Z karety przeprowadzono więc hrabiego do lochu w jak największéj cichości i tajemnicy. Na czas téj translokacji arendarz z żoną zostali przyaresztowani w jakimś kącie karczmy i z tego tylko

mogli się domyślać, że coś zaszło — ale co? daremnie nad tém łamali sobie głowę.

Hrabia z tą samą obojętnością, z jaką dotychczas wszystko przyjmował, wszedł do lochu, niepokazawszy nawet najmniejszego zdziwienia.

Zawiła z największą skrupulatnością sam własną ręką zamknął za nim drzwi na kłódkę i oprócz tego przytoczył pod drzwi kilka wielkich kamieni, leżących niedaleko na sadzie. Postanowił sam stróżować i o kilka kroków od lochu usiadł na ziemi, opierając się o jakąś gruszę, z pistoletem w ręku na każdy wypadek. Lecz niedługo, pomimo najszczerszéj chęci czuwania, sen go zmorzył i Zawiła zasnął....

Nowy gość.

W karczmie tego wieczoru dość wczas wszystko się uciszyło. Jak Zawiła przewidywał, towarzysze wyprawy dopadłszy swoich łóżek i sienników, z prawdziwém zadowolnieniem oddali się przyjemnościom spoczynku i snu. Na godzinę przed pół-

nocą wszystkie światła pogasły i nad karczmą zaległa uroczysta cisza.

Tylko w izbie zajmowanéj przez Wandę, ktoby podszedł był aż pod samę ścianę, mógł był ujrzeć, że się jeszcze świeci. Inaczéj niktby tego nie mógł spostrzedz, bo okna zasłonięte były dywanami, i tylko wązkiemi szczelinami padał na szyby słaby odblask światła będącego w izbie. Zresztą okna te wychodziły na sad, i niczyjéj uwagi na siebie zwrócić nie mogły.

Przed samą północą zbliżał się do karczmy jeszcze nowy jakiś podróżny. Szedł pieszo, tobołów na sobie nie miał żadnych, i jak z konturów jego rysujących się wśród nocnéj ciemności widzieć było można, musiał być szlachcicem i panem.

Szedł powoli, ociężale i jakby niechętnie, chociaż i to było widać, że był młody.

Zastawszy bramę zamkniętą, wszedł do karczmy fórtką obok niéj będącą, która na cały głos na swych zawiasach zaskrzypiała.

W sieni było ciemno, podróżny jednak nie wołał na nikogo, i szedł na ślepo, jakby dufając w to, że idąc przed sie-

bie, przecież zajść gdzieś musi, albo też, że głośne skrzypnięcie fórtki dostatecznie jego wołanie zastąpiło.

Nie omylił się w swojém przeczuciu, jeźli je miał, bo równocześnie dwoje drzwi z dwóch stron przeciwnych się otwarło: drzwi alkierzyka i drzwi arendarza.

Z alkierzyka wychyliła głowę Anusia, popatrzyła na przybyłego, który tyłem do niéj obrócony zbliżał się tymczasem do arendarza, trzymającego w ręku dopiero co zapaloną łojówkę.

Przy słabém świetle téj świeczki zdawało się Anusi, że poznała przybyłego. Nie odezwawszy się jednak nic, zamknęła drzwi za sobą.

Arendarz, który w innym czasie byłby zapewne uprzejmie powitał podróżnego, teraz na jego widok zrobił kwaśną i opryskliwą minę.

— Nie ma gdzie nocować, dużo państwa w karczmie, niech pan sobie gdzieindziéj poszuka noclegu — odezwał się na samym wstępie, nie mając dobrego wyobrażenia o podróżnym, który przyszedł pieszo.

Podróżny nie zważał widać na jego słowa, i zapytał wskazując na izby gościnne:

— Czy państwo już spią?

— Już spią przeszło od godziny.

— A nie ma jeszcze jakiéj wolnéj izby?

— Zkądby się wzięła? gdyby ich było jeszcze dziesięć, toby się wszystkie były przydały.

— To zostanę tutaj — rzekł podróżny wskazując na ciupkę arendarza.

— Tu nie ma gdzie spać — odpowiedział arendarz z niechęcią.

— Ja spać nie będę — odrzekł podróżny i wszedł do izdebki, uchylając głowy na progu.

Przy drzwiach stał koszlawy stolik i za nim ławka. Podróżny usiadł na téj ławce i zapytał:

— Państwo odjadą rano?

— Raniutko, tak powiedzieli.

— To dobrze, tu ich się doczekam.

To powtórne już zapytywanie o państwo nocujące w karczmie, zwróciło na siebie uwagę arendarza i przypomniało mu coś, o czém w ciągu dnia zasłyszał. Przypatrzył się lepiéj podróżnemu, i jakby w jego postaci znalazł potwierdzenie swych domysłów, odezwał się nieśmiało i jak mógł najgrzeczniéj:

— Przepraszam za śmiałość, może jasny pan graf?...

Podróżny nie odpowiedział ani przecząco ani twierdząco na to zapytanie, ale domysły arendarza były prawdziwe, bo widział przed sobą oczekiwanego już od kilku godzin Henryka.

Arendarz téż nie wątpił, że zgadł, i nie wiedział, co zrobić ze swoją figurą. Henryk spostrzegłszy widać jego ambaras, rzekł po chwili:

— Idź spać.

— Skoro jasny pan graf pozwoli.... i arendarz zaczął się zabierać do kontynuowania przerwanego spoczynku.

Henryk siedział na ławce, łokieć położył na stole i ręką podparł brodę. Patrzył bezmyślnie przed siebie, był blady, ponury, zdawał się być mocno strudzonym; włosy jego bezładnie rozrzucone pokrywała furażerka nizko na czoło zasunięta.

Żyd kręcił się jeszcze po izbie, gdy Henryk nagle odwrócił się do niego i zawołał jakby z gniewem:

— Daj mi wina!

Arendarz nie wiedział, czémby mógł na jego gniew zasłużyć, i struchlał jesz-

eze bardziéj, skoro rozkazu tak groźnie wydanego spełnić nie mógł.

— Nie ma ani kropli, jasny panie grafie; co było, państwo i ludzie wypili...

— Daj mi wódki!

Arendarz zrobił minę wstydliwą:

— Pan graf może takiéj pić nie będzie... była lepsza ale i tę wypili.

— Daj jaką masz.

Arendarz skoczył po wódkę, dziwiąc się, zkąd grafowi przyszła taka ochota na śmierdziuchę, którą zwykle traktował chłopów i czumaków.

— Co się należy? — zapytał Henryk, skoro żyd postawił przed nim kieliszek i gąsiorek do połowy napełniony gorzałką.

— Za kieliszek?

— Za wszystko.

Arendarz spojrzał na niego wielkiemi oczami, i powiedział cenę. Henryk zapłacił.

— Teraz już mi nic nie trzeba — rzekł — idź spać.

Żyd postawił na piecu łojówkę, któréj długi knot już zaczął grzybami porastać, a sam wtulił się w swoje bety, i niedługo głośno zachrapał.

Przy kieliszku wódki.

Henryk przybył z Kamieńca do Andrzejówki pocztą. Wysiadł na stacji o kilkaset kroków od karczmy i przyszedł tutaj pieszo. Spodziewał się, że o téj porze będą już wszyscy spali i nie chciał ich budzić swoim przyjazdem. Czynił to zaś nie tyle przez grzeczność i delikatność, ile z tego powodu, że nie czuł najmniéjszéj ochoty widzieć się i mówić z kimkolwiek, ani z żoną, ani z Zawiłą, ani z którymkolwiek ze swoich przyjaciół.

Przyjazd jego nastąpił o kilka godzin późniéj niż go się spodziewano. Stało się to z przyczyny bardzo prostéj i dość zwyczajnéj. Na jednéj ze stacji zabrakło koni, i długo trzeba było na nie czekać.

Zostawszy sam w izdebce karczmarza, bo śpiących w niéj ludzi trudno za towarzystwo uważać, w krótkich przerwach nalał sobie już kilka kieliszków wódki, i każdy duszkiem wychylił. Czynił to zaś z taką obojętnością, tak machinalnie, jakby o tem nie wiedział, nie

zmieniając ani na chwilę swéj pozycji, ciągle podparty na ręce i patrząc jakimś nieruchomym i ponurym wzrokiem w ścianę przeciwległą, na któréj zaiste nic nie było do widzenia oprócz kilka dziur w miejscach gdzie glina opadła i wahającego się co chwila cienia, który padał od łojówki na piecu.

Henryk pił, bo chciał uspić w sobie trujące go myśli, pił, można powiedzieć: z rozpaczy.

Kilkodniowy pobyt w Kamieńcu wpłynął na niego tak niekorzystnie. Przez ten czas zajęty był prawie ciągle interesem, w którym tam pojechał, to jest procesem przeciw ojcu. Po całych dniach rozmawiał i myślał tylko o tem, miał więc dosyć czasu i spokojności zastanowić się dobrze nad tą sprawą, przypatrzéć jéj się ze wszystkich stron.

Przez te kilka dni także oderwał się od swego zwyczajnego towarzystwa, był sam jeden, daleko od wpływów działających dotychczas na niego. Tym sposobem odzyskał swoją samodzielność i wolę, która kiedindziéj naginała się tak łatwo do obcych życzeń i zapatrywań — Upajający urok pocałunku Wandy, albo jéj słodkiego słowa rozwiał się tutaj i stra-

cił swoją moc w jego pamięci. Nie było także przy nim tych przyjaciół, którzy co chwila podszeptywali mu i podsuwali swoje zdania i pojęcia.

Pomiędzy obcymi ludźmi, z którymi nic nie łączyło go wspólnego, Henryk zaczął się patrzyć na rzeczy rozważniéj i z innego punktu, i doszedł do przekonania, że sprawa, którą rozpoczął, nie była zgodna ani z jego sumieniem ani z sercem.

Jak zawsze myślał w głębi w duszy, proces wytoczony ojcu, wydawał mu się rzeczą ohydną, występkiem przeciw Bogu i naturze. Prawo nie widziało wprawdzie nic w tem zdrożnego, mogło nawet rozstrzygnąć rzecz na jego korzyść, ale Henryk zwycięstwo jakie na tej drodze mógł odnieść nad ojcem, uważał za dany mu policzek za wyrządzoną mu nową zniewagę. Nie mógł on nigdy wyzuć się z tego uczucia, jakiem nasiąkł od dzieciństwa, że ojcu był winien miłość i uszanowanie. Trzeba było tak silnéj namiętności, jak jego miłość do Wandy, ażeby go zmusiła do złamania jego synowskich obowiązków, do wypowiedzenia ojcu posłuszeństwa. Czuł on wówczas, że miał do tego prawo, które nadała mu

natura każąc mu kochać tę kobietę, i wzajemność jaką ze strony téj kobiety otrzymał. — Pomimo to, bolał zawsze mocno nad tem, że szczęścia, którego pragnął, nie mógł osiągnąć bez zadania ojcu dotkliwego ciosu i cierpiał z téj przyczyny podwójnie: nad nim i nad sobą.

Henryk czuł nawet i to, że ojciec wyrządził mu krzywdę, wyrzekając go się i wydziedziczając. — Ale rozumiał także dobrze powody téj niesprawiedliwości, i w swojem sercu rozgrzeszał z niéj ojca, i kochał go zawsze jak przedtem. Na żaden zaś sposób nie czuł się uprawnionym do zemsty za tę niesprawiedliwość, do zmuszenia ojca przy obcéj pomocy do tego, czego na mocy swojéj rodzicielskiéj władzy uczynić nie chciał.

Pomimo takich przekonań i uczuć, wytoczył jednak proces ojcu. Widoczną było rzeczą, że uczynił to wbrew swéj woli i swemu sumieniu. Ktoś inny wymusił to na nim. Tym zaś kimś innym byli: Wanda, Zawiła et consortes.

Henryk gorzko się uśmiechał, ile razy razy przypomniał sobie żonę. Czy dla niéj warto było robić takie poświęcenie? Zaiste nie. — Czy go kochała? Oprócz chwil zapomnienia, oprócz krótkotrwa-

łych uroków, jakie dla niego miała, kiedy chciała nad nim władzy i przewagi, kiedy to w jéj interesie leżało, Henryk nabierał coraz silniejszéj wiary, że go nie kochała, że te oznaki uczucia, które czasem okazywała była fałszem i obłudą.

A nawet i ten proces nieszczęsny, czyli nie był jeszcze dowodem świadczącym przeciw niej? Czyż kobieta kochająca byłaby n°gliła swego męża do podobnego kroku, byłaby go narażała na bolesne walki ze sobą samym, na wyrzuty sumienia i zgryzoty, które cierpiał z tego powodu?... Wanda nie zdawała się nawet tego spostrzegać; to co jego tak głęboko raniło, co kosztowało go tyle trosk i zmartwień, dla niéj było rzeczą całkiem zwyczajną, godziwą i tak łatwą do wykonania jak najpowszedniejsze przedsięwzięcie.

Henryk zatem był tylko narzędziem w rękach jéj i może jeszcze kilku jéj przyjaciół, był manekinem, którego poruszeniami oni kierowali — manekinem bez własnéj woli, ale na nieszczęście czującym wszystkie te bolesne eksperymenta, które na nim robiono.

To wszystko oburzało go; czuł pogardę dla swych mniemanych przyjaciół, i

jakiś żal pomięszany z nienawiścią do Wandy, przed sobą zaś samym wstydził się za swe niedołęztwo i słabość i wściekał się sam na siebie.

Ten gniew był tym sprawiedliwszy, że pomimo całego oburzenia, jakie nim miotało, Henryk nie czuł w sobie dość siły, aby się wyrwać z tego fałszywego i upokarzającego położenia, zmusić swoich nieprzyjaciół, (za takich musiał uważać żonę i swych tak nazwanych przyjaciół) do uszanowania jego woli i przekonań, i całéj tej nieszczęsnéj sprawie koniec położyć.

Nieraz będąc w Kamieńcu miał myśl iść do sądu i odstąpić od procesu. Ale zawsze zabrakło mu odwagi i powiedział sobie:

— Zrobię to za kilka dni, zrobię to z ich wiedzą....

Nie mógł się więc jeszcze i teraz usamowolnić od obcych wpływów i odwoływał się zawsze do drugich.

Do goryczy, jaką uczuwał w skutek tych myśli i uczuć, przyczyniała się także nie mało podróż Wandy z Dubna do Kamieńca wraz ze stacją, jaką miano zrobić w Andrzejówce. Cały ten plan podróży znany mu był, bo został ułożony je-

szcze za jego bytności w Dubnie. Nie podobał mu się od pierwszéj chwili, ale jak na wiele innych rzeczy musiał się i na to zgodzić.

Dzisiaj, gdy sam jeden na pocztowym wózku, w nocy jechał naprzeciw swéj żony, obraz całéj téj wyprawy, jaką ona robiła, stanął mu żywo przed oczami, i wydał mu się czemś awanturniczem, nieprzyzwoitem i wstrętnem.

Ona, jego żona, prawie sama jedna kobieta odbywała tę drogę ze zgrają młodych hulaków i birbantów, którzy wcale do tego nie byli potrzebni.... W jéj towarzystwie był taki kasztelanic, którego mimo zapewnień Wandy, Henryk zawsze instynktowo podejrzywał, i który na każdy sposób odgrywał w jego domu jakąś dwuznaczną rolę. Z tymi ludźmi ona jechała mil kilkanaście, zatrzymywała się po stacjach, i wreszcie w karczmie Andrzejowieckiéj miała przez całą dobę zabawić.

Gdy Henryk truł się swojemi myślami, gdy się zajmował wstrętnym dla niego interesem, całe to towarzystwo bezwątpienia spędzało czas jak najprzyjemniéj na żartach i śmiechach, i bynajmniéj jego nieobecności nie uczuwało. On, mąż

zdawał się dla tego grona, w którem jego żona także była, zupełnie niepotrzebnym i zbytecznym. Wysłany został jakby naumyślnie na załatwianie interesów, aby inni tymczasem jego miejsce zajęli.

Henryk nie posądzał żony o wiarołomstwo, ale bolał nad jéj lekkomyślnością, i nie mógł jéj przebaczyć tego, że nie szanuje jego osoby i honoru.

Takie to myśli i uczucia przyprowadzały prawie do rozpaczy Henryka w czasie pobytu w Kamieńcu, w czasie jazdy do Andrzejówki i teraz wreszcie, gdy siedział w karczmie przy kieliszku wódki.

Nie mogąc się uspokoić, chciał smutki utopić w trunku, przytępić nim swój mózg i uczucie, a może i nabrać w nim odwagi do jutrzejszéj rozprawy, którą przewidywał.

Biedny Henryk!

Już blisko od godziny tak siedział, już łojówka na piecu dopalała się i wkrótce miała go zostawić w ciemności, gdy drzwi izdebki po cichu się otwarły i weszła nawpół ubrana Anusia.

Miała minę przerażoną i tajemniczą.

Henryk z niechęcią na nią spojrzał. Nie lubił jéj, bo mu się nie podobała ta wielka poufałość, jaka była między jego

żoną a nią, i w téj chwili myślał, że przychodzi w poselstwie od Wandy. Wódka zaś nie naprawiła dotąd jego humoru do tego stopnia, aby mógł się z nią widzieć i rozmawiać o rzeczach dla niego tak przykrych i bolesnych. Zdziwiła go jednak niezwyczajna fizjognomja Anusi.

Anusia ucieszyła się widocznie, kiedy przypatrzywszy mu się dobrze, przekonała się, że się nie myliła biorąc przybyłego przed godziną podróżnika za niego.

— Panie hrabio — odezwała się prędko i cichym głosem, spoglądając niespokojnie na śpiącą w drugim kącie familję arendarza — niech pan idzie za mną....

— Czy pani cię przysłała?

— Nie, nie — odpowiedziała urywanym od wzruszenia głosem — niech pan hrabia idzie za mną na miłość Boską! i złożyła przed nim ręce.

Henryk wstał.

— Cóż się dzieje? zapytał.

— Tylko cicho panie hrabio, tylko cicho, żeby nie robić hałasu — i mówiąc to Anusia otwierała drzwi do sieni, jakby mu nie chciała dać chwili do namysłu.

Henryk stanąwszy we drzwiach zapytał znowu:

— Gdzieś mnie prowadzisz?

— Tu niedaleko, tylko przez sień, do mnie — odpowiedziała drżącym głosem i jak naciszéj.

— Po co?

— Panie hrabio, tylko prędko.... jedna chwila, a może być zapóźno.... będziesz mi pan wdzięczny na wieki, za to com uczyniła....

Anusia mówiła to wszystko jakimś wzruszonym i rozrzewnionym głosem, którego Henryk nigdy z jéj ust nie słyszał! Zdawało się, że nad czemś cierpi, i że jéj saméj osobiście wiele na tem zależy, aby Henryk zadość uczynił jéj żądaniu.

Wzięła go za rękę i poprowadziła przez sień do swego alkierzyka. Drzwi były otwarte. Stanąwszy na progu, Anusia ścisnęła Henryka za rękę i szepnęła mu do ucha napomnienie:

— Ani słowa!.... idź pan na palcach!...

Henryk coraz więcéj zadziwiony, zastósował się do jéj żądania.

W alkierzyku było ciemno. Anusia przyprowadziła Henryka do pieca, który stał przy ścianie przegradzającéj alkierzyk od mieszkania Wandy. Obok pieca był stołek, jak się zdaje naumyślnie tam przystawiony. Anusia dała znak Henrykowi, aby wszedł na ten stołek, i zwróciła je-

go uwagę na niewielki jasny punkt, który można było widzieć w kącie, jaki tworzyła ściana alkierzyka i jeden bok pieca.

Od chwili, kiedy Henryk wszedł do alkierzyka, zdawało mu się, że słyszy jakieś głuche brzmienia, jakby niewyraźne głosy osób rozmawiających za ścianą.

Nie rozumiejąc co to ma znaczyć, nie domyślając się niczego, Henryk wszedł na stołek, i zobaczył że ten punkt jasny, który widział z dołu, jest to dość znaczny otwór w ścianie na wylot zrobiony, i że światło, które przezeń się dostawało, przechodziło z sąsiedniego mieszkania.

Z ciekawością i pewną trwogą przyłożył oko do tego otworu.

Anusia stała przy nim, i podniósłszy głowę do góry, patrzyła tak uporczywie, jakby chciała przeniknąć ciemności nocne, i widzieć najmniejszą zmianę w rysach Henryka.

Henryk zobaczył o kilka kroków od siebie w sąsiedniéj izbie dwoje ludzi — swą żonę i kasztelanica.

Tragedja i wodwil.

Przerwiemy na chwilę opowiadanie, aby się trochę bliżéj przypatrzyć jednéj z osób, którą Henryk przed sobą zobaczył, to jest kasztelanicowi.

Za pierwszém jego pojawieniem się w naszéj historji, dosyć powiedzieliśmy o jego charakterze i przeszłości, aby łaskawi nasi czytelnicy nie domyślili się sami, jak ten człowiek przyjmie i odegra tę rolę, którą oddała mu Wanda w losach swojego życia i serca.

Powiemy zatém krótko: Rola ta nie bardzo się kasztelanicowi podobała. Od pierwszego zwierzenia się, jakie uczyniła mu Wanda, poznał on, że ta rola zupełnie nie odpowiada jego usposobieniu i chęciom. Przeznaczono mu rolę w tragedji — jemu, co całe życie na deskach świata występował w salonowych komedjach, albo w sentymentalnych, lekkouczuciowych melodramatach.

Nie podobało mu się to, że Wanda miała wiele uczucia, że miała prawdziwe uczucie. On miłości nie chciał i nie u-

miał pojmować na serjo, a dla przeprowadzenia romansu według jego gustu, wystarczały całkiem pozory uczucia. — Przeląkł się jéj namiętności, nie w tym wprawdzie sensie, żeby zmierzywszy głębię téj przepaści, uciekł od niéj, niechcąc dostać zawrotu głowy, ale na jéj widok zrobił kwaśną, zniechęconą minę i odrazu sobie powiedział: niech tam kto chce, szuka na tém dnie roskoszy lub cierpień, ja co do mojéj osoby, mocno się strzedz będę, abym nietylko tam nazbyt się nie przybliżał, lecz nawet z ciekawością nie patrzył.

Miłość Wandy męczyła go przeto do pewnego stopnia, bo nie szła podług jego wyobrażeń i nie szła mu tak łatwo, jak się spodziewał.

Wanda, jak wiemy, kochając go cierpiała. Cierpienie drugiéj osoby wkłada na tych, co są blisko, a zwłaszcza na kochanka, ciężkie obowiązki. Trzeba pocieszać, trzeba tłómaczyć i perswadować, a zwłaszcza trzeba współczuć... To szczęście motyla pieszczącego wonną różę, znika wtenczas z miłości, jéj roskosze drobne, chwilowe przyjemności, ponad które wielu ludzi w miłości nic więcéj nie zna, ulatniają się wtedy, albo raczéj grzę-

zną w smutkach i łzach... Nie można wtenczas z uśmiechem na ustach chwytać jak za kieliszek szampana, za czarę tego nektaru... Serce robi się ciężkiém, gdy chciało być lekkiém; wspomnienia pozostawiają po sobie ślad zgryzót i trosk, zamiast rzucać na drogę, po któréj idą w przyszłość i w nicość, wonne i od kolorów iskrzące się kwiaty.

Cały przysmak miłości niknął tym sposobem dla kasztelanica. Gniewał on się w duchu na Wandę i miał ją za nierozsądną, za egzaltowaną. Dlaczegoby ona cierpiała? nie mógł pojąć, a gdyby był pojął, byłby to uważał za dziwactwo. Cóż za występek ona popełniała? — Czyż podobnych występków krocie kobiet nie popełnia codzień, niepomyślawszy nawet o tém, że można je sobie wyrzucać, albo za nie żałować?... Jakaż krzywda mogła się stać mężowi, jeżeli on o niczém nie wiedział?... A jeżeliby się dowiedział, czyż to on pierwszy, czy mu nie służy prawo „zrewanżować się“ gdzieindziéj?...

Ze swojéj znowu strony, kasztelanic bynajmniéj nie czuł się pokrzywdzonym, jeżeli Wanda kochając go, musiała dla drugiego jeszcze udawać miłości. Wszak-

że to jest *sine qua non* podobnych stosunków. Gdyby kasztelanic nie był zapewniony, że jest ktoś, co ma nawet w oczach świata też same prawa co on, a oprócz tego obowiązki, których on nie ma i odpowiedzialność za kobietę, za któréj postępowanie on każdéj chwili może umyć sobie ręce, nie wchodziłby nigdy w podobne związki, bojąc się ciężarów z nimi połączonych.

Zresztą, cóż mu na tém zależało, że jego kochanka musiała miłość dzielić na dwie części. Byle tylko ta połowa, która jemu się dostawała, zadawalniała go, nie żądałby i nie miałby prawa żądać nic więcéj. Jak oszukiwała męża dla niego, tak wolno jéj było oszukiwać jego dla męża, a dobra harmonja i pozory przyzwoitości zależały tylko od jéj taktu i sprytu.

Gdyby Wanda chciała była być taką, o ileżby ten romans był przyjemniejszym dla niego, jakżeby wdzięcznym jéj był za to, gdyby nie ruszała strun serca i sumienia, a poprzestawała na słodyczach zmysłowości i powabach wzajemnego się oszukiwania.

Wieczory i sam na sam spędzane na śmiechu, dowcipnéj konwersacji, niewin-

ném sekowaniu się i płochych umizgach, daleko przyjemniéj płyną, niż te, w których co piąty wyraz słychać: cierpienie, rozpacz, łzy, wyrzuty sumienia, chociażby nawet to wszystko kończyło się namiętném uściśnieniem lub pocałunkiem, albo słowem wyrwaném z pod serca, wyrzuconém w powietrze jak grom wśród błyskawic czarujących i rozmarzonych oczu....

Na nieszczęście, Wanda, lubo teraz miała modne stroje i karetę, była zawsze dziką jak wtenczas, gdy miała perkalikowe lub drelichowe sukienki i z koszyczkiem chodziła do lasu po jagody.

Pomimo to wszystko, kasztelanic nie zrywał stosunków z Wandą. A miał do tego rozmaite przyczyny. Najprzód, romans ten schlebiał bardzo jego próżności. Jak są kobiety, które nieczując nic dla jakiego uporczywego wielbiciela, rade są jednak utrzymać go pod swoją władzą i od czasu do czasu kokieteryjném spojrzeniem lub dwójznaczném słówkiem podsycają ogień jego zapałów, tak są i mężczyzni gotowi udawać miłość dlatego jedynie, że zostali do tego wyzwani, że spostrzegli w przedmiocie, dla siebie zresztą obojętnym, uczucia ku so-

bie skierowane. Miłość zaś Wandy mogła być dla każdego niemałym zaszczytem. Wanda była tak piękną, tak młodą i pierwsze dopiero kroki stawiała na tém polu. Prócz tego, dla innych była tak dumną, tak wysoko się wobec nich stawiała, a do niego zniżała się tak chętnie, z taką gotowością, jakby sam jeden był bóstwem pośród śmiertelników. Nie kochała nikogo w życiu, nawet męża i zdawało się, że nie byłaby zdolną pokochać kogokolwiek w życiu — jemu zaś rzucała się sama w ramiona i pierwsza powiedziała: kocham.

Pod tym względem kasztelanic nieco się mylił. Zapominał (może dlatego, że mu z tém było lepiéj) o dawniejszéj swojéj znajomości z Wandą. Gdyby ją sobie był dobrze przypomniał, byłby się przekonał, że to on pierwszy i nie po raz jeden wymówił to czarowne słowo. Było ono fałszem w jego ustach, środkiem dyplomatycznym do osięgnięcia dalszych celów, ale ono rozpaliło płomień w sercu szczerém i prawdziwém Wandy i gdyby go nie była kiedyś z jego ust słyszała, zapewne teraz nie byłaby go pierwsza przed nim powtórzyła.

Druga jeszcze okoliczność mogła do-

tknąć nieprzyjemnie kasztelanica i ta rzeczywiście go dotknęła. Pomimo tego namiętnego uczucia, jakie miała dla niego Wanda, dotychczas nie poddała mu się. Tryumf jego nie był zupełny. Naprzeciwko jego próżności stanęła jéj godność i duma. Kasztelanic napotykał trudności i opór, jakiego się nie spodziewał. Wanda umiała zająć wobec niego takie stanowisko, że nie miał odwagi przekroczyć téj granicy, jaką dokoła siebie pociągnęła i nie wiedział, w jaki sposób by tego dokonać. Zachodził nieraz w głowę, skąd się bierze w niéj ta potęga, która mu śmiałość odejmuje i krzyżuje jego plany. Nie mógł się tego domyśleć ani pojąć, że tą potęgą była tylko miłość, któréj uroku Wanda tracić nie chciała i która nie pozwalała jéj odrzeć ich oboje z wzajemnego dla siebie szacunku.

Ta okoliczność równie utrzymywała go przy Wandzie. Postanowił być cierpliwym i czekać dobréj sposobności.

Wreszcie zatrzymywała go przy niéj — Anusia.

Od pierwszéj chwili kasztelanic okazał się czułym na jéj powaby. Anusia była całkiem w jego guście: lekka, wiecznie uśmiechnięta, zalotna, dowcipna i trochę

złośliwa. O uczuciu nie trzeba było z nią mówić; możeby ją to było znudziło; za to można się było umizgać i droczyć. Tragicznych uczuć ani znała ani nie obudzała; gdyby ktoś z niemi przed nią wystąpił, byłaby mu pewnie w oczy parsknęła śmiechem.

Była ona subretką w całém tego słowa znaczeniu. Kasztelanic dawno podobnéj nie spotkał, i przypomniała mu ona żywo subretki widywane na scenach.

Anusia również prawie sama i bardzo łatwo wpadła mu w ręce. Los zrządził, że była garderobianą pani, z którą on miał romans. Co za pyszne wydarzenie! W swoim pokoju, w sieni lub w przedpokoju ściskać takie rozkoszne, zgrabne i filuterne dziewczę, a w salonie lub w buduarze uwielbiać panią i składać przysięgi u jéj kolan! Tego samego dnia, téj saméj godziny mieć tyle rozmaitości, to było także coś warte.

Rozumié się samo przez się, że kasztelanic przy Anusi doznawał często nietylko nowéj przyjemności, ale także ulgi. Kiedy uczucia Wandy zmęczyły go, kiedy wychodził od niéj skwaszony rozmową, która na serjo rzeczy brała i o poważne, głębokie tony serca trącała, wtedy spotkaw-

szy się z Anusią, odetchnął swobodniéj po pierwszym pocałunku złożonym na roskosznym dołku w jéj policzkach, albo przy pierwszym wybuchu śmiechu, który wywołała w nim swoją filuterją lub dowcipnym przycinkiem.

W takich to chwilach kasztelanic mówił do siebie, że z tragedji idzie na wodwil — i wodwil przywracał mu dobry humor i budził jego nerwy jakby uśpione poważnemi wrażeniami.

Anusia najczęściéj robiła mu przycinki o swoję panią. Były one czasem lżejsze, czasem cięższe, niekiedy bez żadnéj złośliwości, niekiedy znów mocniéj zaprawione żółcią i prawie gorzkie. Kasztelanic nie robił między niemi żadnéj różnicy, nie spostrzegał w nich stopniowania i odcieni, bo wszystkim towarzyszył zawsze jeden i ten sam śmieszek mniéj albo więcéj głośny i złośliwe a dowcipne spojrzenie.

Ale Anusia, lubo może sama tego nie spostrzegała, czuła jednak, że jéj żarty stają się coraz bardziéj uszczypliwe, a co ważniejsza, że coraz więcéj ją kosztują.

Była ona płochą, ale miała serce. Zaczęła od umizgów i kokietowania z kasztelanicem, bo jéj się podobał, a nie wie-

dząc nawet jak i kiedy, zaczęła go kochać.

Pierwszém następstwem tego musiało być, że zaczęła być zazdrosną o panią. Kasztelanic spostrzegł to w jéj przycinkach, a ponieważ nie bardzo w tym razie mijał się z prawdą, pocieszał Anusię i zapewniał ją, że romans z panią niedługo się skończy, że nie jest bynajmniéj tak „ciężki“ jak sobie ona wyobrażała, wreszcie że niedługo także wyjedzie do Warszawy i co się najwięcéj Anusi podobało, że ją ze sobą zabierze.

Anusia była gotowa iść z nim na kraj świata. Kasztelanicowi nie byłoby to także nic zawadzało, gdyby jakiś czas miał przy sobie tak ładną, wesołą i zabawną dziewczynę. Nie wątpił, że w Warszawie byłby po niejakim czasie znalazł na nią amatora, i bez żadnych kłopotów mu ją odstąpił.

Nie myślała o tém Anusia; nie znała świata, zwłaszcza wielkiego, nie była zepsutą. Wierzyła w to, że kasztelanic mógł ją pokochać, a nawet nie zdawało jéj się rzeczą niepodobną do prawdy, żeby się z nią mógł ożenić. Przecież im tak dobrze obojgu było ze sobą! Znała przytem historją swojéj pani, i wiedziała, że

ta z prostéj dziewczyny, z biednéj sieroty została hrabiną. Dlaczegóżby jéj także podobne szczęście nie miało spotkać?

Nie zawsze jednakowoż była tak pełną dobréj otuchy. Kasztelanic mimo ponownych przyrzeczeń, nie zrywał stosunków z panią, i Anusia zaczęła się w końcu niepokoić, podejrzywać go że ją oszukuje, i wreszcie myśleć także nad sposobami, jakby kasztelanica przymusić do tego, czego dobrowolnie wypełnić tak długo się ociągał.

Z panią była ona prawie na stopie przyjaźni. Wanda polubiła ją bardzo od pierwszéj niemal chwili, kiedy ją do siebie przyjęła. Dziewczyna żywa, rozmowna i szczera ujęła ją za serce, i gdy nie miała nikogo przy sobie, dla kogo mogłaby być otwartą i poufałą, tak się jakoś wszystko ułożyło, że z Anusi zrobiła swą przyjaciołkę i powiernicę.

W stosunki Wandy z kasztelanicem wtajemniczona od pierwszego zaraz momentu, wiedziała Anusia odtąd o każdym kroku swéj pani. Czego nie dowiedziała się od niéj saméj, czego nie widziała widocznie, o têm starała się dowiedzieć, dając tajemnie baczność na swą panią i szpiegując ją i swego kochanka.

Kiedy Henryk odjechał do Kamieńca, Anusia podwoiła czujność, tym bardziéj, że równocześnie zaczęła jeszcze więcéj nie dowierzać kasztelanicowi. Według jéj wyobrażenia, powinien on był już w Dubnie pożegnać się z Wandą, a jeżeli jechał z nią do Kamieńca, to tylko dla tego, że mu trudno było z nią się rozłączyć i tylko po to, ażeby tam znowu z nią zostać. Przyobiecany odjazd z Anusią do Warszawy odraczał się więc w nieskończoność, a Anusia rozdrażniona tém, wrzała tajonym gniewem i zazdrością.

Pod tym względem niesłusznie jednak obwiniała kasztelanica. Jechał on z niechęcią do Kamieńca. Cały ten proces i ta wyprawa z tak liczną eskortą, a potem takie awanturnicze jéj epizody jak napad na zamek hrabiego, wydawały mu się rzeczą śmieszną i przeciwną dobremu wychowaniu. Nie wyjawiał jednak w téj mierze swojego zdania, w gruncie rzeczy ani go to grzało ani ziębiło, co zrobi Wanda i jéj przyjaciele. On tylko siebie nie chciał mięszać do ich interesów, i niedługo myślał ich pożegnać, prawdopodobnie na zawsze. Byle więc tylko sam w téj awanturce się nie skompromitował, niech sobie inni robią co chcą.

Z wielką chęcią byłby pożegnał Wandę zaraz w Dubnie. Ale wyjazd jéj wypadł dość niespodzianie, kasztelanic nie mógł przygotować jéj stopniowo do rozłączenia się. Niczego zaś więcéj się nie obawiał, jak scen gwałtownych, które przewidywał znając namiętne uczucie Wandy. Bez pożegnania znów, bez formalnego zadosyć uczynienia grzeczności i przepisom światowym, nie chciał także od niéj się oddalać. To wyglądałoby na jakąś ucieczkę, i strasznie złe dawałoby wyobrażenie o jego delikatności i wychowaniu.

Jak z wielu innemi już postanowił on i z Wandą rozejść się w najlepszéj harmonji, bez urazy i gniewu, bez przykrych albo wstrząsających wspomnień, zwalniając tylko powoli, nieznacznie i stopniowo łączące ich ze sobą węzły.

Nim to miało nastąpić, kasztelanic pragnął jeszcze wprzódy urzeczywistnić pewne swoje zamiary. Nie wątpił on, znając te rzeczy z doświadczenia, że ziszczenie ich może ułatwić mu nawet odwrót i przyczyni się znacznie do ostygnięcia uczuć Wandy, a następnie do szybszego rozchwiania się ich stosunków.

Kasztelanic brał miłość na chłodno i

rozumował nad nią jak cynik. Brak namiętności zastępowały u niego brutalne instynkta.

W czasie podróży a zarazem nieobecności męża zdawało mu się, że najprędzéj może się nadarzyć sposobność.

Nie pamiętał tylko o tém, że wszelkie sposobności mogła udaremnić Wanda.

Po tych kilku słowach możemy przystąpić do przerwanego opowiadania.

Kochanek.

Henryk więc zobaczył przez otwór w ścianie, przez który Anusia patrzeć mu kazała, swą żonę i kasztelanica.

Wanda chodziła po pokoju wielkiemi krokami, blada i niespokojna, patrzyła w ziemię, a niekiedy podnosiła głowę i rzucała w górę krótkie ale bolesne spojrzenie.

Kasztelanic siedział na stołku. On także nie był w zwyczajnym humorze. Twarz miał pochmurną, wydawał się mocno zakłopotany i niezadowolniony. Nie patrzył na Wandę, nie zwracał uwagi na to, co ona robi lub co się z nią dzieje, jak gdyby te oznaki stanu jéj duszy przykre na

nim robiły wrażenie i były dla niego rodzajem wyrzutu, na który według swego przekonania nie zasłużył. Machinalnie bawił się małym sztyletem, który trzymał w ręku.

Sztylet ten służył zapewne niezbyt dawno do rozcinania kartek, bo niedaleko na stole leżała świeża książka. Byłto kaukaski szmelcowany sztylet ze srebrną rękojeścią i takąż pochwą, jakie w tych okolicach sprzedają wędrowni kupcy czerkiescy. Wanda kupiła go sobie w drodze z Dubna razem z parą podobnych kólczyków srebrnych. Za zabójcze narzędzie trudno go było uważać, bo nie był wyostrzony.

Henryk wytężył słuch, ale nic nie słyszał. Był jednak pewny, że to tylko z powodu milczenia, jakie w sąsiedniéj izbie panowało.

Jakoż po niejakiéj chwili usłyszał głos Wandy. Stanęła ona nagle na środku izby i obróciwszy się do kasztelanica, odezwała się:

— O, to bolesne, to doprawdy bardzo bolesne!...

Kasztelanic uśmiechnął się z gorzką ironją.

— Któż temu winien — rzekł — czy ja?

Wanda odebrawszy odpowiedź, która ją widać zabolała, zmarszczyła lekko brwi, odwróciła się i zaczęła znów w milczeniu chodzić po pokoju.

Po chwili kasztelanic odezwał się chłodno, tonem perswazji:

— O podobnych skrupułach trzeba raz na zawsze zapomnieć. Darmo, inaczéj być nie może. Musimy zastosować się do okoliczności i robić tak jak można, a nie tak jak chcemy. Niesłusznie mię obwiniasz. Nikt tu nie jest winien, ani ja ani ty, tylko całe położenie rzeczy.

Henryk zadrgnął z boleści, usłyszawszy to „ty“ wystosowane do jego żony. To jedno słówko powiedziało mu wszystko. Był oszukiwany i zdradzony. Rozpacz i wściekłość go ogarniały. Ale ciekawość, chęć przekonania się o swoim losie przytłumiały te uczucia. Nieporuszony, jakby stał się nagle posągiem, patrzył i słuchał daléj.

— Jakżem nieszczęśliwa, że mnie nie chcesz zrozumieć — odezwała się Wanda — że nie masz więcéj szacunku dla mego smutnego położenia. Więc miłość nasza koniecznie musi wpaść w to błoto.

— Nie wiem, co nazywasz błotem...

— To naprzykład, co chciałeś uczynić wczorajszéj nocy... Nie, ja cię nie mogłam poznać w owéj chwili... to nie ty byłeś... Powiedz mi, czy to było szlachetnie?... Nie miałeś litości nademną, wystawiając mię na taką próbę... Oh, jakżem szczęśliwa, że mi w téj chwili nie zabrakło mocy... żem potrafiła ci się oprzeć....

Henryk uczuł jakąś ulgę na sercu.

Kasztelanic te słowa Wandy bardzo źle przyjął, bo odezwał się cierpko:

— Nie uczyniłem nic nieszlachetnego. Czy wcześniéj czy późniéj na tém się zawsze kończyć musi.... Ja nie mogę stanowić wyjątku od ogólnéj reguły; nie żądałem nic, czegoby człowiek kochający i kochany zażądać nie mógł.

— Nie, ja nie mogę do was obu należeć! — zawołała na to Wanda z gestem rozpaczy.

— Trzeba było wprzód o tém pomyśleć i zbadać się lepiéj... Wiedziałaś, jakie twoje położenie i co może wyniknąć z tego stosunku ze mną...

— Nie pomyślałam o tém dobrze, nie zbadałam się, nie widziałam wszystkich tych okropności, w które się tak ślepo rzuciłam... Widziałam tylko ciebie i czułam, że cię kocham nad wszystko... Był

to błąd wielki, przyznaję; ale wówczas nawet go się nie domyślałam... Byłam tak szczęśliwa, jakby mi kto wrota raju otworzył... Myślałam, że będę mogła cię kochać, a nie czuć tego, co dzisiaj czuję: wyrzutów sumienia, obrzydzenia do siebie... a czasem nienawiści do ciebie... tak, nienawiści do ciebie!..

Kasztelanic podniósł się ze stołka, położył sztylet na stole i odezwał się poważnym głosem, w którym ani raz struna uczucia nie zadźwięczała:

— Skoro rzeczy doszły do tego punktu, jest tylko jedna rada...

— Jaka?..

— Rozłączyć się. Ty nie będziesz cierpieć wyrzutów sumienia, a ja nie będę miał na sobie winy, że jestem ich przyczyną.

Wanda wpatrywała się w niego z boleścią obudzającą litość i nie mogła słowa przemówić. On zbliżył się do niéj, wziął ją za rękę i spokojnie mówił daléj:

— Zależy to tylko od twojéj woli, nie chcę na nię kłaść żadnych więzów. Jeśli mi powiesz, że to będzie lepiéj dla ciebie, jestem gotów jeszcze dzisiaj, nawet téj chwili pożegnać się z tobą na zawsze...

choćbym miał potém jak najwięcéj cierpieć...

Ostatnich słów domówił ze spuszczoną głową, jakby z nieśmiałością. Patrząc na boleść Wandy, bladéj jak posąg, z rozgorączkowanemi oczyma i drżącéj na całém ciele, nie miał odwagi wypowiedzieć na cały głos swego kłamstwa.

— O, ty jesteś okrutny! — zawołała Wanda, podnosząc spojrzenie w niebo i załamując ręce. — Rozłączyć się!... jak ci to łatwo przychodzi powiedzieć... jak prędko jesteś gotów to wykonać!... Nie, nigdy!.. tegobym nie przeżyła, na to nie mogę pozwolić!...

Henryk nawpół martwy i nieruchomy na swéj placówce, uczuł, że mu się serce ściska.

Wanda chwyciła za ręce kasztelanica i czułym, rozmarzonym wzrokiem patrząc w jego oczy spuszczone, mówiła daléj, a głos jéj cichy drżał od wzruszenia i namiętności:

— Ja ciebie tak kocham Eustachy!... Więcéj niż ty mnie, tysiąc razy więcéj... Ja w życiu nikogo więcéj nie kochałam i nie będę kochać nikogo... Serce moje zna tylko jedno uczucie... Tak długo cię nie widziałam, a zapomnieć nigdy nie

mogłam, nawet i wtenczas, gdy nie miałam nadziei jeszcze raz w życiu cię zobaczyć... Ja dla ciebie chciałam poświęcić moje życie... rzucić ci moją miłość pod nogi, ale czystą, prawdziwą, taką, o jakiéj marzyłam w najszczęśliwszych chwilach mego życia... Rozłączyć się! Na Boga cię zaklinam, nie powtórz mi nigdy tego słowa... ono mnie zabija!.. Eustachy, bądź cierpliwy i wierz w moją miłość... nie odbieraj mi całego mojego szczęścia, tego uroku, jaki ma dotąd dla mnie uczucie, które wzbudziłeś. Dlaczego chcesz je obnażać i deptać?... O, ja nieszczęśliwa, ja ciebie tak kocham, a nie mogę ci dać téj miłości, którą dać chciałam... a muszę sobą pogardzać!..

Zwiesiła głowę na bok, trzymając jego dłoń w zesztywniałych swych rękach. On stał nieruchomy i nieporuszony, zdawało się, że słowa Wandy nie zmieniały jego przekonania, nie zachwiały jego postanowienia.

Spostrzegła to Wanda, i odbiegając od niego, z bolesnym jękiem rzuciła się na kanapę.

W téj chwili czuła niby mróz wiejący na nią ze serca kochanka; widziała jasno całą jego nikczemność, uczuwała dla nie-

go okropny żal i tę nienawiść, jaką może mieć niewolnica dla swego pana, który nic w niéj nie uszanuje świętego. Ale te wszystkie uczucia przygłuszało straszne słowo: Rozłączyć się! i jakby ognistemi głoskami w jéj mózgu napisane, zaćmiewało w nim i wypalało wszystkie inne myśli.

— Ha, jakiż mój los straszny! — zawoła złamanym głosem, przytulając twarz do krawędzi kanapy, jakby chciała ją ukryć przed ludzkiém okiem.

Kasztelanic przystąpił do niéj prędko, i pochwyciwszy jéj rękę obwisłą jak bez siły, ukląkł przy niéj na jedno kolano i pochylił się nad nią.

W téj chwili brzęk stłuczonéj szyby rozległ się po izbie.

Kasztelanic podniósł szybko głowę i spojrzał w okno, Wanda zerwała się z przerażeniem i padła napowrót jakby bez życia na kanapę.

Zobaczyli Henryka wskakującego do izby przez otwarte okno.

Mąż.

Henryk nie mógł wytrzymać dłużéj na swém stanowisku, kiedy usłyszał te gorące słowa miłości, któremi Wanda starała się zmiękczyć twarde i chłodne serce kasztelanica.

Gdyby podobne słowa on był usłyszał choć raz w życiu, jakże czułby się szczęśliwym, dumnym i wielkim!

A teraz jak się czuł upokorzonym, jak nędznym, gdy jego żona o wzajemność innego człowieka błagała jak o litość, gdy mu z prośbą i ze łzą w oku ofiarowała to, co on, jéj mąż, byłby przyjął jako największy dar na kolanach.

To co było dotąd głuchém przeczuciem, stało się teraz pewnością. Henryk nie mógł już o niczém wątpić, bo na wszystko patrzył własnemi oczami, wszystko słyszał na własne uszy.

Ta rzeczywistość przeszła najśmielsze i najboleśniejsze jego domysły. Nie tylko prawdą było, że on nie był kochany, ale nadto i to, że był kochany kto inny... i jak był kochany!

Krew uderzyła mu do głowy, w sercu

zrobiło się dziko i okropnie. Rozpacz, zazdrość i wściekłość, jak trzy harpje pochwyciły naraz jego duszę w swe szpony. Bez przytomności, jak szalony zeskoczył ze stołka i wybiegł z alkierzyka Anusi.

Dokąd? Stanąć przed oczami winowajców i powiedzieć im: znam wasze czyny, jesteście nikczemni, ale oszukiwać mnie nie możecie!

To mogła być jedyna jego zemsta.

Nie znał położenia karczmy i nie wiedział, gdzie szukać po ciemku drzwi prowadzących do izby Wandy. Nie próbował więc tego, i w jednéj chwili przyszło mu na myśl, że może znaleźć drogę jeszcze inną i łatwiejszą. Wybiegł przez wrota do zajazdu na dziedziniec, ztamtąd do sadu, i stanąwszy przed oknem Wandy, za jednym zamachem wyrwał je z nawpół spróchniałych futryn.

Blady jak upior z rozrzuconemi włosami stanął przed parą kochanków.

Gdy biegł do nich zdawało mu się, że ich rozszarpie oboje w pierwszéj chwili. Gdy stanął na miejscu, gdy ujrzał Wandę, uczuł że miejsce wściekłości zajmuje w jego sercu boleść.

Zbliżał się do żony powolnym krokiem,

utkwiwszy w nię oczy jakby ją chciał wzrokiem przebić.

Kasztelanic powstał z kolan i patrzał na niego chłodno i spokojnie.

— Dosyć już mych mąk — odezwał się Henryk, kiedy nareszcie zdołał głos z siebie wydobyć — słyszałem wszystko i wiem wszystko. Dlaczegoś pani tak długo mię oszukiwała?... należało być więcéj szlachetną... Od téj chwili jesteś pani wolną... dzisiaj uwalniam cię ja od wszelkich obowiązków, których nigdy nie szanowałaś, a niedługo uwolni cię i prawo... Nie będę dłużéj zawadą dla twego szczęścia, będziesz pani mogła bez wyrzutów kochać tego pana...

Gdy to mówił, Wanda tymczasem odzyskała przytomność i siły. Podniosła dumnie głowę, i spojrzała na Henryka wzrokiem spokojnym i pewnym, jakby na dowód, że jéj nie złamał.

— Dobrze — odrzekła — żądasz pan rozwodu?...

— Tak jest...

— Zgadzam się na to — i odwróciła się od niego, jakby mu chciała dać poznać, że ich rozmowa już skończona.

Henryk strętwiał i stał bezsilny wobec niéj. Ta zuchwałość odurzyła go i nie

miał słów na wypowiedzenie swego uczucia.

Ostatnie słowo padło, tak prędko i tak łatwo! Wszystko miało już być między niemi skończone. Henryk nie miał na tyle mocy, aby to przyznać przed samym sobą, i znieść ten cios a nie pokazać ile go boli.

Zwiesił głowę, powlókł się do stołka w kącie stojącego, i upadł nań bezwładnie.

Już nie był szalony, ani wściekły — był w rozpaczy.

Błędny wzrok utkwił w podłodze, w głowie czuł zamęt i chaos, nie wiedział prawie, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Na dnie serca tylko słyszał głos wyraźnie wołający: nie ma nadziei!

Ten głos rozpaczliwy zbudził w nim wszystkie dawne wspomnienia i marzenia o szczęściu... Jak korowód nocnych duchów lub sennych widziadeł przeciągnęły one przez jego pamięć, a kiedy ostatnie już w mgle złudzenia się roztopiło, Henryk jęknął głucho.

Wszystko się już skończyło, on jeszcze czekał.

Czego?...

O, jest to rzecz trudna i okropna pożegnać się ze szczęściem!

Swój gniew już wyrzucił ze siebie, wypowiedział co mu na sercu leżało, wściekłość go ominęła — przyszła teraz kolej na cierpienie.

Henryk nie chciał wierzyć, żeby ono tylko dla niego pozostało. Był przekonany, że go ta kobieta nie kochała, ona sama potwierdziła mu to, oboje zgodzili się na to, aby łączący ich związek rozerwać. A jednak spodziewał się jeszcze czegoś od téj kobiety, cierpiał nad tém, że ona tak nieugięta i zimna, że go nie kocha i kochać nie chce.

Zadowolnił swój gniew, wyrzekł się swych praw w ten sposób, jakby zrzucał ze siebie przytłaczający go ciężar, a teraz ostatniéj pociechy i ulgi dla siebie pragnął jeszcze poszukać — w wyrzutach.

Zaprzeczał tém wszystkiemu, co uczynił i powiedział wprzódy. Zamiast usiąść w jéj pokoju i pod jéj okiem pasować się z swém cierpieniem, powinien był w jednéj chwili opuścić ją z dumą i pogardą.

Zatrzymało go serce, bo chciało znaleźć koniecznie jakiś balsam dla siebie,

chciało, ażeby jego skarg i cierpień był ktoś choć nieczułym świadkiem.

Taka to natura serca ludzkiego, jeżeli miłość odejmie mu siłę.

Ci co kochają, muszą być słabi.

— Patrzaj kobieto! — zawołał z goryczą po długiém milczeniu, którego dokoła nic nie przerywało — patrzaj, co ze mnie zrobiłaś!... Dziś jestem nietylko nieszczęśliwy, ale jestem i nikczemny. To wszystko mam tobie zawdzięczać... Ty zwichnęłaś moje życie i sprowadziłaś je z prostéj drogi. Przez ciebie utraciłem ojca, dla ciebie poświęciłem go i ściągnąłem na swą głowę jego przekleństwo. Przez ciebie rzuciłem się w wir głupich i podłych namiętności, zostałem graczem i pijakiem... grałem i piłem z z rozpaczy, aby zapomnieć o tém, że mnie nie kochasz. Dla dogodzenia twojemu przywidzeniu powołałem starego ojca przed kratki sądowe i rzuciłem jego poczciwe imię na pośmiech i pogardę ludziom... Zrobiłaś wszystko, ażebym sam sobą się brzydził i pogardzał... Skąd do tego miałaś prawo, za co mogłaś tego wymagać?... Czy twoja kłamana miłość była tego warta, czy poświęcając się dla innego, mogła śodemnie z czystém sumie-

niem żądać samych ofiar... czyś była ich godną?...

— Nie zapominaj się pan — przerwała w téj chwili Wanda. — Teraz pan nie masz prawa robić mi żadnych wyrzutów... wszystko między nami skończone.

Ten ostatni a nielitościwy cios upamiętał wreszcie Henryka.

— Masz pani rację — odpowiedział spokojnie podnosząc się ze stołka — nie pozostaje mi nic, jak wyjść stąd.

I chwiejnym krokiem, jak pijany, wyszedł z izby.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, kasztelanic, który przez całą tę scenę stał w milczeniu, zbliżył się do Wandy i wziął ją za rękę, jakby chcąc ją pocałować na pożegnanie. Miał minę bardzo poważną i surową.

Wanda spojrzała na niego ze zdziwieniem, że tak nagle, niepowiedziawszy ani słowa, opuszcza ją.

— Gdzie idziesz? — zapytała.

— Idę go wyzwać.

— Na miłość Boga, nie czyń tego!

— Tak honor mi każe. On ci ubliżył w mojéj obecności.

Wyszedł, zostawiając Wandę w trwodze i rozpaczy. Po chwili wrócił.

— I cóż? — zapytała zobaczywszy go na progu.

— Przyjął wyzwanie.

— Będziecie się bić!... O ja nieszczęśliwa!... Kiedy?

— Nie tak prędko... Dopiero za kilka dni... Wprzód ciebie odprowadzę, gdzie każesz. Przyszedłem cię uspokoić.

— Czy mogę ci wierzyć?...

— Nigdy nie kłamię! — odpowiedział kasztelanic poważnie i stanowczo.

— Wyjeżdżajmy ztąd jak najprędzéj...

— Dobrze, wyjedziemy za parę godzin, ale teraz trochę odpocznij.

— A on gdzie?...

— Już odjechał... Ale jeszcze raz proszę, odpocznij trochę... jesteś utrudzona tém wszystkiém... Dobranoc.

Wanda pożegnała go ze spokojniejszém sercem. Miała nadzieję, że przez ten czas potrafi w jakikolwiek sposób przeszkodzić pojedynkowi.

Kasztelanic w tym wypadku pokazał się prawdziwym gentlemanem. Skłamał przed Wandą. Mieli się bić za godzinę, to jest zaledwie się pierwszy brzask zrobi.

Ojciec i syn.

Tak śpiesznego pojedynku żądał Henryk, którego rozdrażnienie było zbyt wielkie, ażeby nie pragnął jak najprędzéj sprawę zakończyć.

Miejscem spotkania miał być sad za karczmą.

Trudno było inne tak prędko wynaleźć, a to było dość zakryte przed oczami ciekawych. — Tuż za sadem rosły gęsto wierzby i wiklina. W karczmie wszyscy spali w najlepsze, a jeżeliby ich zbudziły strzały, to już po wszystkiém.

Henryk i kasztelanic wybrali sobie sekundantów z pomiędzy swoich najlepszych znajomych, noclegujących w karczmie i zbudzili ich w jak największéj cichości.

Wybrani przyjaciele bardzo skoro przyjęli propozycję i tego krótkiego czasu, zanim dzień się zrobi, użyto na oznaczenie bliższych warunków pojedynku.

Skoro tylko zaświtało, przeciwnicy stanęli na miejscu wraz z sekundantami. Mieli się strzelać o piętnaście kroków.

Sekundanci ustawili ich tuż przy owym lochu, który dawniéj już opisaliśmy. Ka-

sztelanic stanął nie daléj, jak o trzy kroki od niego, odwrócony plecami, Henryk zaś stojący naprzeciw niego miał drzwi i okienko lochu przed oczami.

Że hrabia znajdował się w tym lochu, o tém żaden z obecnych nie wiedział, a gdyby nawet który z sekundantów był o tém słyszał, nie byłoby mu to przyszło na myśl przy tém nowém zajęciu i przy pośpiechu, z jakim się pojedynek odbywał.

Przybyli na plac pojedynku spostrzegli wprawdzie śpiącego pod drzewem Zawiłę, ale to bynajmniéj ich nie zastanowiło. Widać tutaj, na świeżém powietrzu obrał sobie nocleg — i rzecz skończona.

Henryk miał pierwszy strzał. Kiedy podniósł pistolet do góry, widać było, jak ręka mu się trzęsła. Nie ochłonął jeszcze ze wzruszeń i wrażeń ubiegłéj nocy i nie był panem siebie. Nie chodziło mu téż o celność strzału; byłby wolał, ażeby kula kasztelanica jego zmiotła ze świata.

Strzelił i chybił.

Przyszła koléj na kasztelanica. Z zimną krwią i z największym spokojem wycelował w pierś przeciwnika. Ze strzałem jednak nie śpieszył się. Upłynęło

kilka sekund uroczystego milczenia, a kasztelanic ciągle jeszcze mierzył, jak gdyby sprawiało mu to szatańskie zadowolnienie, że może dłuższy czas straszyć przeciwnika widmem oczekującéj go śmierci.

Strzelał on wybornie i nadzwyczaj trafnie. Sekundanci widząc, jak uporczywie mierzy, byli pewni, że ma ochotę zabić Henryka i uważali go już za straconego.

W istocie kasztelanic namyślał się przez ten czas, co ma zrobić: zabić czy nie zabić Henryka? Wiedział dobrze, że to zależy tylko od jego woli, bo o celności swego strzału nie wątpił. Nie mógł się jednak na nic stanowczego zdecydować; rozmaite instynkta krwiożercze i szlachetne walczyły w nim z sobą. Postanowił wreszcie zdać rozstrzygnięcie tego pytania na los i zwrócił trochę głowę w bok, niepatrząc na Henryka.

Gdy kasztelanic trzymał wymierzony w jego piersi pistolet, Henryk zobaczył tymczasem dziwne przed swemi oczyma zjawisko. Patrząc na przeciwnika, ujrzał o trzy kroki za nim w okienku lochu bladą i ponurą twarz swego ojca.

Resztę jego postaci widział tylko przez połowę, bo drugą stronę hrabiego zasła-

niał sobą stojący tuż przy lochu kasztelanic.

Henryk nie wiedział, czy ma wierzyć oczom, nie umiał sobie wytłómaczyć, coby to znaczyło, jakby to się stać mogło; ale czuł, że go do głębi serca przejmuje jakaś niepojęta zgroza i oburzenie. Wpatrywał się w zjawisko, a ono nie znikało... Więc to musiała być prawda — to był jego ojciec uwięziony i tak shańbiony!... W jednéj sekundzie, jakby przez jasnowidzenie, właściwe ludziom kochającym, Henryk domyślił się całéj téj okropnéj historji — i zadrżał.

W tém samém mgnieniu oka on mógł umrzeć i umarłby niemogąc mu przynieść pomocy, niemogąc wyswobodzić go z tego haniebnego więzienia, niemogąc może nawet jedném słowem powiedzieć mu, że to się stało bez jego wiedzy i współudziału, że on go kocha i czci jak dawniéj...

Martwy, jak skamieniały, utopił oczy w twarzy ojca, oczekując co chwila strzału, który miał ugodzić w jego serce.

Chciałby był uzyskać chociaż jedno spojrzenie ojca, ale hrabia nie patrzał na na niego, zwracał całą uwagę na kasztelanica i zdawał się być czémś zajęty.

W téj chwili kasztelanic strzelił. Dym rozszedł się po powietrzu i zasłonił mu przeciwnika.

Gdy kasztelanic pociągnął za kurek, równocześnie uczuł, jak gdyby ktoś z tyłu popchnął go jakiemś drewnianem narzędziem w prawe ramię. Ciekawy coby to być mogło, wystrzeliwszy, obejrzał się za siebie, zkąd pchnięcie pochodziło, i zobaczył przy swych nogach na ziemi drążek od miotły lub grabi, którego przedtem nie spostrzegał, a następnie w okienku lochu twarz hrabiego, który z przejęciem i obawą utkwił oczy w miejsce gdzie stał Henryk, zasłonięty jeszcze przed nimi kłębami dymu.

Kasztelanic już wiedział, kto był przyczyną pchnięcia, które uczuł na swem prawem ramieniu.

Ale zanim miał czas zrobić to spostrzeżenie, do okienka lochu przybiegł już Henryk i rzucił się na kratę z głośnym krzykiem:

— O, mój ojcze!

Nie miał na sobie nawet najmniejszéj rany.

Wstrząsnął ze wszystkich sił kratą, ale żelazo silniejsze było od niego.

Hrabia w téj chwili zniknął znowu w głębi lochu.

Henryk ciągle jedną ręką trzymając za kratę, obrócił się do obecnych, których liczba tymczasem się zwiększyła.

Huk strzału przebudził najprzód Zawiłę. Zerwał się z ziemi i był pewny, że hrabiego odbijają. Kilka chwil upłynęło, zanim przetarłszy raz i drugi oczy, mógł się dorozumieć o co chodziło.

Za nim przybiegła na plac pojedynku Wanda. Po wyjściu od niej kasztelanica, rozebrała się nawpół i wypoczywała leżąc na kanapie. Ostatnie jednak wydarzenia i trwoga, jaką w niéj wzbudził pojedynek, nie pozwalały jéj zasnąć. Usłyszawszy głuchy huk strzału, domyśliła się, że kasztelanic ją oszukał, i jak była nieubrana, z rozpuszczonemi włosami wybiegła ze swego pokoju do sadu. Przybyła tutaj w chwili, kiedy już padł strzał kasztelanica i widząc obu zapaśników zdrowych i nietkniętych, stanęła nagle o kilkanaście kroków od nich patrząc się w kasztelanica oczami pełnemi radości i szczęścia.

Coby znaczyło, że Henryk był tuż przy kasztelanicu, i co tam robił przy okienku lochu, tego Wanda nie mogła się do-

myślić, nie wiedząc nic o więzieniu hrabiego.

Kilku jeszcze innych z gości noclegujących w karczmie, jeden po drugim nadciągnęło na miejsce tego niespodziewanego wydarzenia, a pomiędzy nimi także Anusia blada i przestraszona.

Oczy Henryka napotkały najprzód Zawiłę, który stał o kilka kroków od niego zdziwiony a po części oburzony tem co widział.

— Kto śmiał to uczynić — zawołał Henryk na cały głos blady z gniewu i wzruszenia — kto śmiał tak znieważyć mego ojca!....

Zawiła przystąpił do niego z miną dość pokorną, i starał mu się tę rzecz wytłómaczyć.

— Nie ma się o co tak bardzo gniewać — mówił — nie znasz całéj historji. Byliśmy do tego zmuszeni. Hrabia nie przyjął pozwu i nie byłby stanął przed sądem. Musieliśmy go zabrać, aby go przystawić sprawiedliwości. O to tylko chodziło i oprócz tego nic więcéj się nie stało. Hrabia nie doznał najmniejszéj ujmy ani na honorze ani na zdrowiu, daję na to moje słowo....

— Otwieraj! — krzyknął na niego Hen-

ryk, którego tłómaczenie Zawiły doprowadziło do wściekłości.

— Ależ poczekaj!.... chwilę cierpliwości. Jeżeli hrabia przyrzecze..... Henryk przyskoczył do niego i schwycił go za gardło.

— Dawaj klucz!

Zawiła jeszcze nie miał ochoty ustąpić, i starał się tylko uwolnić z rąk Henryka, spodziewając się, że skoro go pierwszy szał ominie, będzie można z nim rozsądniéj pogadać. Ale Henryk ściskał go coraz mocniéj, wołając:

— Łotrze, dawaj klucz!.... coś ty uczynił!....

Zawiła uczuł, że w gardle robi mu się coraz cieśniéj, i że nawet przemówić nie może. Sięgnął ręką do kieszeni i z pewną pogardą rzucił klucz na ziemię o kilka kroków od siebie.

Obecni przypatrywali się bezczynnie całéj téj scenie. Żaden z nich nie miał sumienia przyjść Zawile z pomocą.

Henryk odskoczył od Zawiły, i podniósł klucz.

Otworzył drzwi lochu na oścież i odezwał się wzruszonym głosem:

— Panie, jesteś wolny.... przebacz, co się stało, jeśli możesz...

Hrabia wyszedł z lochu powolnym krokiem i z tą samą obojętnością, z jaką do niego wszedł. Henryk, stojąc przy drzwiach, utkwił w nim oczy, które wyraźnie powiadały, że chciałby się w twarzy lub w spojrzeniu ojca dopatrzeć najmniéjszéj oznaki litości i przebaczenia. Ale hrabia przeszedł koło niego z oczami spuszczonemi w ziemię, z twarzą nieruchomą, i szedł przez sad jakby nikogo z obecny chnie spostrzegał.

Kiedy przechodził koło Wandy, idąc o kilka koków od niéj, zdawało się, że zadrżał lekko i że nieznaczny rumieniec wystąpił na jego twarz.

Nie spojrzał jednak na nią, tak jak i Wanda nie podniosła swych oczu utkwionych w ziemię.

Gdy hrabia zbliżał się już do karczmy Henryk ocknął się ze swego zamyślenia i pobiegł za nim. Wyprzedził go i dał rozkaz służbie zaprządz konie dla hrabiego. Zaprzągnięto tę samą karetę, w któréj go przywieziono z zamku.

Podczas gdy przygotowania do odjazdu robiono, hrabia wyszedł przed karczmę, i usiadł na przyźbie, podparłszy głowę na ręce. W téj pozycji czekał z widoczną niecierpliwością, aż konie za-

łożono. Kiedy kareta zajechała, kazał jechać do zamku co koń wyskoczy.

Nikogo przy jego odjeździe nie było przed karczmą. Nikt nie miał śmiałości iść za nim i odgrywać rolę spektatora. Henryk, skoro już wszystko było do odjazdu ojca gotowe, wyszedł drugą stroną niespostrzeżony, i udał się w kierunku poczty.

Pożegnanie ze światem.

Spieszyło się hrabiemu do domu. — Choć konie pędziły do upadłego, on byłby chciał dać im skrzydła, a ta krótka droga do zamku wydała mu się całym wiekiem.

O wszystkiem, co się dopiero stało, i co go spotkało od wczoraj, zapomniał zupełnie, jak gdyby nic podobnego nigdy się nie zdarzyło. Jego cała myśl zaprzątnięta była tylko losem córki. — Jakim sposobem i gdzie znikła z zamku, czy jakie nieszczęście jéj nie spotkało! czy nie znaleziono tymczasem jakiego śladu jéj zniknięcia, czy nie możnaby jéj jeszcze ratować, czy może już jest z powrotem w zamku zdrowa i bez żadnéj

szkody? — takie myśli bolesne i pocieszające naprzemian lotem błyskawicy przebiegały przez głowę hrabiego.

Z obawy i jakiejś nadziei, z niecierpliwości i niepokoju drżał na całém ciele, zaledwie mógł oddechać. Kiedy już można było dojrzeć z drogi najwyższe wieżycki zamkowe, powstał z siedzenia, i stojąc w karecie wlepił w szybę swoje oczy szeroko otwarte i z rozpaczliwą ciekawością patrzące. Zdawało mu się, że musi ujrzeć koniecznie biegnącą naprzeciw niemu córkę, która go będzie pocieszać, i każe mu wkrótce zapomnieć téj bolesnéj trwogi, jaka ściskała jego serce.

Nie wierzył ani na chwilę temu, o co napastników oskarżał krzyk Małgorzaty, który słyszał, kiedy uwożono go z domu. Lepiéj niż ona wiedział, w jakim celu napadnięto na jego zamek, i to, że zniknięcie nagłe Julji nie mogło być w żadnym związku z gwałtem popełnionym na jego osobie.

Myśl, że Julja spełniła swój zamiar dawno powzięty i udała się do jakiego klasztoru, przychodziła mu nieraz do głowy. Ale hrabia odpychał ją od siebie. To być nie mogło; Julja nie miała-

by ani tyle odwagi, ani takiego braku uczucia, ażeby podobny krok uczyniła bez jego wiedzy.

Przecież kiedy myślała o tem, mówiła mu także. Dla czegóż teraz, kiedy swą myśl chciała wykonać, nie miałaby go o tem uprzedzić? Kiedy ostatni raz, w wigilję tego dnia fatalnego, ją widział, była spokojną jak zawsze, nie dostrzegał w niéj najmniejszéj zmiany....

Wszystkiemi siłami hrabia bronił się téj myśli, bo gdyby przypuścił, że jest prawdziwą, zniknęłaby dla niego ostatnia nadzieja. — Jeżeli córka wstąpiła do klasztoru, on ją utracił na zawsze — utracił jéj osobę, serce i miłość. Inaczéj staćby się to nie mogło. Jeśliby go kochała, nie mogłaby uczynić tego, na co on się nie zgadzał, o czem tak wyraźnie wypowiedział jéj całe swoje przekonanie.

Jak ostatniéj deski ratunku, — hrabia chwytał się téj nadziei, że tak być nie mogło i chociaż to prawdopodobniejsze było niż wszelki inny wypadek, wolał przypuszczać wszystko inne, i wolał serce swoje kołysać naprzemian to strasznemi obawami o zdrowie i życie córki, to znów nadzieją, że całe to wydarzenie dobrze się skończy, i nie może być tak o-

kropnem, jak on w niewiadomości swojéj wyobraża je sobie.

Bo nawet gdyby i tak było, gdyby go opuściła z myślą udania się do klasztoru, czyż oddaliwszy się z tego domu, w którym się urodziła i poza którym nigdy dotąd ani jednéj nocy nie przepędziła, opuściwszy ojca, który przez całe życie był dla niéj wszystkiem na świecie, nie powinnaby uczuć za nim żalu, poznać, że źle uczyniła i powrócić pod swój dach rodzinny i do tego, który ją tak bardzo kochał, a teraz zapewne w najwyższéj trwodze opłakiwał jéj?...

Kareta stanęła nareszcie przed zamkiem. Hrabia nie czekając aż mu drzwiczki otworzą, wyskoczył sam i wbiegł na schody.

Na dziedzińcu ani przed zamkiem nie było żywego ducha. Ludzie dworscy po ostatnim wypadku, nie wiedząc jaki los spotka hrabiego i obawiając się coś złego i dla siebie, rozpierzchli się na cztery wiatry.

W przedpokoju dopiero hrabia spotkał starego marszałka, który przyszedł tutaj, usłyszawszy turkot karety.

Stary sługa oniemiał z podziwu i radości, zobaczywszy nagle hrabiego przed

sobą, i nie będąc w stanie inaczéj go powitać, chwycił go obiema rękami za kolana.

— Julcia jest?.... zapytał hrabia gorączkowym głosem, nie odpowiadając na powitanie marszałka.

Marszałek popatrzył mu smutnie w oczy i z lekka potrząsł głową.

— I nic o niéj dotąd nie wiecie?....

— Nic

Hrabia westchnął tylko głęboko, jakby z rozpaczy nad utratą swych nadziei, i pobiegł w téj chwili do pokoju Julji.

Spodziewał się znaleźć tam jaki ślad jéj zniknięcia, który mógł ujść baczności innych ludzi.

Długo napróżno szukał, przewracając wszystko w całym pokoju, w łóżku, po stolikach i szafach. Poszukiwania doprowadziły go tylko do téj pewności, że wszystkie rzeczy Julji zostały w domu. Albo więc zdarzyło jéj się jakie nieszczęście, albo opuściła dom w jednéj tylko sukience.

Nareszcie hrabia spostrzegł jakąś książkę leżącą na oknie. Otworzył ją, i wypadła z niéj ćwiartka papieru, na któréj przeczytał te słowa ręką Julji napisane.

„Opuszczam ten dom, bo nie miałam

w nim spokoju; opuszczam świat, bo mi nie było w nim dobrze.

„Idę szukać gdzieindziéj tego, czego pragnę: prawdziwego zadowolnienia dla swego serca.

„Mam nadzieję, że znajdę je w murach klasztornych. Tak mi powiada przeczucie i ten głos wewnętrzny, który oddawna wskazywał mi to miejsce jako ostatnie dla mnie schronienie.

„Bóg nie będzie się na mnie o to gniewał, bo idę za jego natchnieniem; spodziewam się także, iż nikt z ludzi nie weźmie mi tego za złe, bo nie widzę innego dla siebie szczęścia i żadnéj innéj nadziei.

„Dla ludzi byłabym bezużytecznym ciężarem, i nigdybym się z nimi pogodzić nie mogła, tak jak i moje wyobrażenia nie zgadzają się z tem co się na świecie dzieje.

„Ludzie są bardzo nieszczęśliwi, czuję to mocno, ale nie mogąc im pomódz, nie czuję w sobie na tyle męztwa, abym mogła patrzeć na to złe, które ich dotyka po największéj części z własnéj ich winy.

„Dusza moja jest słaba i trwożliwa; nie może znieść tych ciosów i burz, jakie co

chwila wstrząsają życiem ludzkiem na świecie.

„Nie czyniąc sama nic, usuwając się od wszystkiego, tyle jednak tych burz przejść musiałam. Cóżby było dopiero wtenczas, gdybym żyć zaczęła? Nie chcę więc życia, bo jego obraz staje przed memi oczami w strasznych i obydnych barwach.

„Takiem mi się wydaje życie, o ile je poznałam na innych. Czuję żal i litość nad wszystkimi, którzy na takie męki są wystawieni, ale zarazem pragnę być od nich jak najdaléj.

„Jestem okropnie samolubną, grzeszę tem bardzo, ale mi się zdaje, że ludzie sami są sprawcami téj bolesnéj swéj doli.

„Dla czego nie chcą być lepsi, dla czego słuchają tylko głosu swéj namiętności, dla czego nie umieją przebaczać, dla czego nie chcą niczego się wyrzec co pochlebia ich pragnieniom i chęciom?

„Kiedy o tem pomyślę, głowa mi pęka, bo mi się zdaje, że ziemia jest siedliskiem istót, które przestały być ludźmi.

„Wszędzie wieczna i krwawa walka, wszyscy zatruwają sobie nawzajem życie, a każdy zdaje się być wrogiem wszystkich.

„Gdzież jest ta cnota, miłosierdzie i

miłość, o których mówią? Najsprawiedliwsi tyle grzechów mają na sumieniu, najmędrsi tak często błądzą i upadają.....

„Nie, to jest tylko obłuda i fałsz, że ludzie są dobrzy. Byłam szczęśliwa, dopóki żyłam w tem złudzeniu; skorom poznała prawdę, rozpacz mię ogarnęła i rozum mój się gubił.

„Gdybym musiała koniecznie żyć na świecie, moje serceby pękło, alboby mię zmysły odeszły.

„Takiego świata jaki jest, nie mogę pojąć; ludzi takich jakimi są, nie mogę szanować i kochać.

„Jestto okropne!.... Muszę się rozstać ze światem; nic na nim nie ma już drogiego dla mnie".

Po tych słowach następowało jeszcze kilka wierszy pisanych odmiennym nieco charakterem, zapewne w ostatniéj chwili przed oddaleniem się Julji z domu. Znać w nich było wielki pośpiech, a zarazem wzruszenie, z jakiem musiały być kreślone.

„Ojcze, przebacz mi, co czynię.... Musiałam tak zrobić, musiałam..... Nie szukaj mię, i nie staraj się odebrać mię z klasztoru. Nic mię nie zdoła wyrwać z tych

murów, w których myślę życie zakończyć.

„Późniéj napiszę sama, gdzie jestem. Dasz mi wyprawę klasztorną jaką zwykle otrzymują nowicjuszki. Nie chcę się w niczem różnić od innych, i większym wnioskiem okupywać sobie względy moich przełożonych. Majątek, jaki mam po matce, oddaj memu bratu. On także jest nieszczęśliwy, może choć tem trochę ulżyć mu zdołam.

Hrabia czytał to wszystko jednym tchem, z gorączkową szybkością aż do końca. Gdy skończył, fatalne pismo wypadło mu z rąk na posadzkę, a on sam powlókł się ociężałym krokiem do stołka i bezwładnie na nim usiadł.

Utopił wzrok w jakiś punkt w powietrzu, i zbolały, znużony i opadły na siłach dumał.

A więc już wszyscy go opuścili — nawet ta córka ... odleciał od niego nawet ten anioł! co sam jeden był zdolnym poświęcić się i przynieść mu pociechę!

W całem tem piśmie, oprócz kilku ostatnich wierszy nie było nic o nim, o ojcu — ale hrabia dorozumiewał się, że wszystkie te wyrzuty, które córka robiła

ludziom i światu ściągały się tylko do niego.

Jego dom wszakże był dla niéj dotąd całym światem, a innych ludzi oprócz tych, którzy ją tutaj otaczali, a między którymi on był jéj najbliższym, dotychczas także nie znała.

Nikt inny, tylko on, był sprawcą téj boleści, która niewinne i czułe serce jego córki, tak wczas zabiła.... On to i jego czyny napełniły ją goryczą i kazały jéj pogardzić światem, czuć do niego obrzydzenie, a wreszcie rozstać się z nim na zawsze.

On więc uczynił ją nieszczęśliwą tak jak i wielu już innych ludzi na świecie.

Słusznie dla tego spotkało go to, co mogło być najcięższą, najdotkliwszą karą — potępienie własnego dziecka...

Tak jest, hrabia nie mógł o tem wątpić. Julja potępiała go; do niego to mówiła ona: „ludzi takich, jakimi są, nie mogę szanować i kochać;“ od niego to pragnęła ona „być jak najdaléj“ i odwracała się z anielską pogardą, choć czuła litość i żal nad jego cierpieniami i mękami...

Ale jego winy i zbrodnie były jeszcze większe od jego cierpień i mąk, a jego namiętności były jedyną ich przyczyną.

Dlaczegoż nie umiał przebaczać, dlaczego nie chciał się niczego wyrzec, co schlebiało jego namiętnościom i chęciom, dlaczego nie miał w sobie więcéj miłosierdzia i miłości?

Gdyby był je miał, nie byłby tak grzeszył, nie byłby tyle zawinił, wtenczas tylko jego życie byłoby prawdą i cnotą.

Dzisiaj zaś wszystka jego cnota, sprawiedliwość i mądrość jest tylko fałszem i obłudą; mógł ich pozorami przez długi czas ludzi oszukiwać, ale dzisiaj jego umienie wystawiło mu je w całej ich ohydnéj nagości.

Czem było całe jego życie?... Pasmem grzechów i cierpień. — Jeżeli zaś cierpiał, nie miał z tego żadnéj zasługi, bo cierpiał jedynie za swoje grzechy, znosił konieczne następstwa swoich błędów....

Pod wpływem tych myśli serce hrabiego skruszyło się i zmiękło, z ócz jego puściły się dwa strumienie obfitych łez, i uczuł nagle, że mu zrobiło się lekko i pogodnie w duszy, jak już od dawnych czasów nie pamiętał.

Jedno pragnienie owładnęło teraz całą jego duszą: przebaczyć, przebaczyć wszy-

stkim, którzy względem niego zawinili i pojednać się ze wszystkimi.

Kiedy ta myśl po raz pierwszy przebiegła mu przez głowę, zdawało mu się, iż dusza jego napełnia się jakąś jasnością, a w sercu uczuł słodycz, jakby po spełnieniu najlepszego z dobrych uczynków....

W téj saméj także chwili stanął mu przed oczami jego syn. Jemu to najprzód miał przebaczyć, z nim się pojednać, i jego niestety! prosić o przebaczenie.

Bo ten syn musiał być bardzo, podwójnie nieszczęśliwy.

Nie wiedzieć skąd, hrabiemu równocześnie stanęła na oczach scena, na którą patrzył się ze swego kilkugodzinnego więzienia. Przypomniał sobie pojedynek, który Henryk miał z kasztelanicem, nad którego znaczeniem i przyczyną dotąd ani chwilę się nie zastanawiał, i teraz zrozumiał wszystko jak najdokładniéj.

Więc Henryk miał już rywala, był oszukany i niekochany... tak prędko... tak wczas!... Biedny Henryk, jakiejże nie był godzien litości, on co dla téj kobiety tyle poświęcił?!

A ta kobieta... owa Wanda, którą i on także tak mocno i ciągle jeszcze ko-

chał, jakąż była ohydną i okropną istotą.... iluż nieszczęść i cierpień stała się przyczyną....

Ale hrabia nie chciał daléj o tém myśleć; nie miał na tyle odwagi, azeby ją potępić, i zdawało mu się, że przynajmniéj on, co sam tak bardzo przebaczenia potrzebował, nie powinien tego czynić. Niechaj Opatrzność karze tych, co przeciw jéj prawom i woli zawinili... on całą myślą swoją zwrócił się do tego nieszczęśliwego syna, który potrzebował ulgi i pociechy.

W ostatnich słowach swojego pisma, w tym testamencie swoim przed zamknięciem się w grobie za życia, i Julja także zdawała się wstawiać i przemawiać za tym biednym i od wszystkich opuszczonym synem. Jéj przemówienie było nieśmiałe, nie wystósowane wprost do ojca, ale teraz tém świętsze dla niego. Może nic w całém jéj piśmie nie przemówiło tak mocno do niego i tak bardzo nie skruszyło jego serca, jak te kilka prostych wyrazów, które o swym bracie napisała: „On także jest nieszczęśliwy, może choć tém trochę ulżyć mu zdołam.“

— Skoro ona sama swoje nieszczęście łączy z nieszczęściem brata, — pomyślał

sobie hrabia, — to wszystko, co dobrego dla niego zrobię, będzie także dla niéj zrobiono... O święta duszo, o ty córko moja pogardzająca mną i potępiająca mnie, jakże ty głęboką i wielką dajesz mi naukę życia!

Tak wzmocniony na duchu, z jasnością i spokojem w sercu hrabia z pokoju Julji udał się do siebie i natychmiast napisał list do Henryka, wzywając go najtkliwszemi słowami, aby niezwłocznie przybył do niego.

Z największą niecierpliwością oczekiwał potém skutku tego listu. Co chwila wyglądał przez okno, czy nie ujrzy tego syna, któremu niegdyś sam swój dom opuścić kazał. Tak gorąco pragnął zobaczyć go, przycisnąć do piersi i usłyszeć z jego ust, że w nim pozostała jeszcze chociażby iskierka miłości dla ojca.

Półtory może godziny upłynęło, kiedy kozak wysłany przez hrabiego powrócił. Przyjechał sam i przywiózł ze sobą napowrót list.

— Czy nie przyjął listu? — zapytał go hrabia wpatrując mu się w oczy z trwogą i ciekawością.

Jeżeliby tak było, jak się domyślał, więc syn nie chce mu przebaczyć, i nie

może przezwyciężyć żalu, który ma do niego... A przecież jeszcze niedawno, w chwili kiedy Henryk otwierał mu drzwi lochu, zdawało mu się, że kochać go nie przestał... Ale może to już był ostatni promyk jego miłości, ostatni wysiłek jego serca, które martwém się zrobić musiało, skoro nawet ten dowód przywiązania i szacunku nie znalazł uznania w oczach ojca i nie został wzajemném uczuciem nagrodzony!..

Te myśli przebiegły w jednéj chwili przez głowę hrabiego. Jakże żałował mocno, że przed kilku godzinami nie schwycił w objęcia syna, nie złożył pocałunku na jego czole, kiedy ten syn w kornéj postawie, ze spuszczonemi oczyma przy nim stojący, zdawał się tego oczekiwać i pragnąć...

Teraz może już to wszystko byłoby zapóźno! Miłość i przywiązanie mają także swoje granice, i nie można zanadto przeciągać téj struny w sercu ludzkiém.

Kozak skłonił się nisko i odpowiedział spokojnie:

— Panicza już w karczmie nie było. Ci państwo, co jeszcze tam zostali, mówili, że odjechał pocztą...

— Dokąd?..

— Podobno do Kamieńca.

Hrabia odetchnął; nadzieja, którą tracił, znowu mu zabłysnęła... Henryk przyjmie ten list i powróci do domu, skoro tylko uda się go odszukać...

Téj saméj chwili hrabia wysłał drugiego posłańca z tym samym listem do Kamieńca.

I znowu czekał i wyglądał z niecierpliwością, rychło swego syna zobaczy.

Żona bez męża.

Powróćmy jeszcze do karczmy andrzejowieckiéj, w któréj podobno odegrają się już ostatnie sceny naszego dramatu.

Kasztelanic bardzo był zadowolniony z zakończenia pojedynku, przy którém obeszło się bez krwi rozlewu. Domyślał on się, że pchnięcie w ramię, które bez wszelkiéj wątpliwości zadał mu hrabia, wyrzucając w chwili strzału ów drążek przez okienko lochu, ocaliło życie jego przeciwnikowi. Gdyby był chciał, mógł był na téj podstawie protestować przeciw nielegalności pojedynku, ale to ani przez myśl mu nie przeszło, i owszem dziękował w duszy hrabiemu za tę niespodzia-

ną interwencję. Nic mu bynajmniéj nie zależało na śmierci Henryka; ani jego uczucie, ani duma nie były podrażnione do tego stopnia, aby jéj pragnął, i w niéj widział jedyny punkt wyjścia.

Stało się zadość formalności honorowéj, a kasztelanicowi o to jedynie chodziło. Że się to stać mogło w sposób tak łagodny, było mu tylko na rękę; jak w gwałtownych wzruszeniach i głębokich namiętnościach, tak i w krwawych awanturach nie miał on nigdy upodobania, nigdy ich nie wywoływał i ile możności unikał.

Prócz tego kasztelanic miał jeszcze pewne instynktowe wyrachowanie w tém, żeby Henryk został przy życiu. Pomimo tego, że mąż Wandy tak uroczyście i wyraźnie oświadczył, iż się z nią rozwiedzie, kasztelanic nie bardzo dowierzał, ażeby to nastąpiło. Zdawało mu się, że serce tak słabo jak Henryka nie potrafi zdobyć się na krok tak stanowczy. Wiedział on o tém z doświadczenia, że u podobnych ludzi często nawet spadająca na nich hańba nie zdoła wygasić miłości, i pomimo wszelkich cierpień, jakie ponosić mogą w takim stanie rzeczy przy ukochanym przedmiocie, nie mają siły z nim się roz-

łączyć. Liczył więc na to, że i pogróżka Henryka wypowiedzianą była w pierwszéj chwili uniesienia i żalu; ale skoro te się uspokoją, pójdzie w zapomnienie i spełnioną nie zostanie.

Kasztelanic pragnął tego szczerze, aby Henryk nie rozwodził się z Wandą przez bardzo prostą rachubę. Gdyby bowiem to uczynił, Wanda wprawdzie byłaby wolną, ale on sam zostałby skrępowany. Wtenczas Wanda, jako ciężar wcale niepotrzebny, spadłaby mu na kark, a pozbyć się tego ciężaru nie byłoby tak łatwo, skoro już zaszli ze sobą dość daleko i skoro kasztelanic zaciągnął już względem niéj pewne obowiązki.

Z tych powodów musiał także Henrykowi życzyć jak najdłuższego życia, bo to jemu samemu przynosiło korzyść.

W zupełnie inném usposobieniu był Zawiła, wprawdzie nie z powodu pojedynku, ale z powodu wydarzenia, które tuż po nim nastąpiło. Był oburzony na to, co uczynił Henryk, i z gniewu nie mógł przyjść do siebie. Dostać hrabiego w swoje ręce kosztowało go dosyć zachodów i uważał to za bardzo szczęśliwe wydarzenie. Tymczasem na jeden raz nierozważny postępek Henryka niszczył

wszystko i odejmował wszelkie nadzieje. Bo Zawiła i to przeczuwał, że Henrykowi po tém, co uczynił, nie pozostaje nic innego tylko odstąpić od procesu.

Zaraz po wyjeździe hrabiego z karczmy, Zawiła nie widząc nigdzie Henryka, rozpoczął za nim poszukiwania, aby cokolwiek ulżyć swemu oburzeniu i powstrzymać szaleńca od dalszych jeszcze nierozsądnych kroków.

Naturalnie nie znalazł go w karczmie i wielce markotny, zły i zgryziony poszedł do Wandy.

Tu spotkał go znowu świeży cios. Zaledwie miał czas w obecności kuzynki wyzłościć się trochę i użalić na szaleństwo Henryka, Wanda, która z zupełną obojętnością tego wszystkiego słuchała, powiedziała mu, że ją teraz nic a nic nie obchodzi, co Henryk z ojcem zrobi, i czy dostanie albo nie od niego majątek.

Zawiła na te słowa wytrzeszczył na nią oczy i zdziwiony zawołał:

— Jakto?... nic cię majątek nie obchodzi...

— Tak jest — odpowiedziała mu Wanda chłodnym tonem — nic mnie obchodzić nie może... nie jestem już jego żoną.

Zawiła zerwał się ze stołka. Gniew go opuścił i był przestraszony.

— Co, co znowu takiego!—zawołał—nie rozumiem co to znaczy!..

— Henryk się ze mną rozwodzi...

— Powiedział ci to?..

— Tak jest, przed trzema godzinami.

— I nie odwołał potém tego?

— Nie.

— Ot, macie znowu nowe głupstwo!.. Jak mogłaś na to zezwolić...

— Ja sama tego pragnę...

— Źle robisz, bardzo źle robisz... to nie ma sensu... Zgubisz się tym sposobem, powiadam ci zgubisz się... kto widział: rozwodzić się z nim?.. głupstwo!..

W téj chwili w istocie mógł Zawiła widzieć, że Wanda nie miała wcale miny ucieszonéj, i mógł sobie pochlebiać, że słowa jego trafiały do jéj przekonania. Była blada i smutna, oczy miała spuszczone w ziemię i cała jéj postać, zwykle tak imponująca i dumna, była jakby przygnieciona jakimś ciężarem, jakby upadająca pod wrażeniem jakiéjś niewytłómaczonéj trwogi. Wsunęła się skurczona w kąt kanapy i zdawała się mniejszą niż była rzeczywiście.

Niepokojące myśli o przyszłości tłoczyły się mimowoli do głowy Wandy.

Spostrzeżenie to pocieszyło cokolwiek

Zawiłę. Był pewny, że choć z téj strony nie dozna oporu. Poufałym więc i jakimś protekcyjnym tonem się odezwał:

— No, muszę ja to naprawić wszystko... jakoś się to jeszcze zrobi.... Słowo honoru, nie myślałem, żebyś była tak nierozsądną... To zapewne z powodu kasztelanica?... Nie trzeba sobie było zbyt dowierzać... w takich razach nawet ślepi często dobrze widzą... a Henryk cię kochał i musiał być zazdrosny. Prawdę mówiąc, bagatela to i nic więcéj; z takich powodów ludzie nie tak prędko się rozwodzą. To mi cokolwiek dodaje otuchy, myślałem że co większego.

Mówiąc to, Zawiła chodził po pokoju, targając co chwila wąsa, nareszcie zapytał:

— Gdzie Henryk?

— Nie wiem.

— No i ja nie wiem, ale kombinując wszystko, domyślam się, że pojechał do Kamieńca, najprzód aby odstąpić od procesu z ojcem, a potém aby podać się do rozwodu. W pierwszym impecie gotówby zrobić i jedno i drugie, choćby potém tego żałował, dlatego nie tracąc czasu, trzeba mu to wszystko wybić z głowy.

Podał Wandzie rękę i dodał:

— Za kilka godzin będziemy tu obaj razem, albo jestem huncwot. Wsiadam zaraz na pocztę i jadę za nim. *Adieu.*

Wanda pożegnała go lekkiém i obojętném ściśnieniem ręki.

Została sama ze swemi myślami.

Nie były to najprzyjemniejsze myśli.

W jéj życiu nastąpiła nagła, nieprzewidziana i gwałtowna zmiana.

Każda podobna przyszłość, która roztwiera się przed człowiekiem nakształt przepaści ciemna i niezgłębiona, zatrważa nas i budzi w nas obawę. Nie wiemy, czego się od niéj spodziewać, nie mamy wyobrażenia, jaką będzie, co nam ze sobą przyniesie, i lękamy się tego pierwszego kroku, który wcześniéj czy późniéj musimy zrobić w téj nieznanéj krainie.

Tak się stało z Wandą; utraciła męża, którego nie kochała, została wolną — i to czyniło ją szczęśliwą. Jéj szczęście byłoby bardzo wielkie, nieograniczone może, gdyby na progu nowego okresu życia nie stało to groźne pytanie: ale cóż daléj?

Możeby kto powiedział, że to pytanie niepotrzebnie dręczyło Wandę. Wszakże miała, czego pragnęła. Mogła teraz bez wyrzutów sumienia kochać kasztelanica,

mogła mu się oddać cała i bezwarunkowo — mogła rzucić się teraz w ten roskoszny wir szczęścia, o jakiém tylko kiedykolwiek zamarzyła.

Niestety, Wanda przekroczywszy zapory, które ją od tego szczęścia oddzielały, zaczęła w nie wątpić i obawiać się, czy ono przed nią nie ucieczе.

Rozstawszy się z mężem, znajdowała się w położeniu takiém samém, w jakiém była przed szlubem. Zostawało jéj wprawdzie nazwisko magnackie, ale zresztą była biedną i opuszczoną jak przedtém. Jeżeliby chciała pozostać przy kochanku, musiałaby zostać na jego łasce i spuścić się na jego wspaniałomyślność albo też przyjmować jego litość.

Wiemy dobrze, jakie były jéj pojęcia pod tym względem, jak usilném było jéj staraniem, ażeby od swéj miłości oddalić wszystko, coby mogło rzucić na nią cień przedajności i materjalnych korzyści.

Ażeby nie popaść w tę ostateczność, Wanda przecież rozłączyła się kiedyś dobrowolnie ze swym kochankiem, a potém poświęciła swą osobę, wychodząc za mąż za Henryka.

Te oba jéj poświęcenia, ciężkie i bolesne, zostały teraz zniweczone przez nie-

ubłaganą rękę fatalności i na nic jéj się nie przydały. Los nawrócił ją na dawną drogę, którą bądź co bądź porzucić chciała, jak gdyby nic nie była uczyniła dla jego uniknięcia.

Na dawną drogę?.. Gorzéj niż na dawną drogę! Gdyby przed trzema laty oddała się była kasztelanicowi, nie miałaby tego smutnego wspomnienia, że była żoną Henryka.

Wanda nieuprzedzoném okiem patrzyła w swoje położenie i widziała, że jest rozpaczliwe i politowania godne. Najsmutniejszą jego stroną, przynajmniéj w jéj oczach, było to, że nie miała wyboru, że musiała iść tam, gdzie ją pchały okoliczności.

Teraz musiała się już rzucić w objęcia kochankowi, musiała przy nim zostać, nawet wtenczas, choćby tego mogła nie chcieć.

Przedtém mogła mu powiedzieć: ofiaruję ci moją miłość, bo cię kocham; dzisiaj musiałaby mu powiedzieć: przyjmij tę miłość, bo inaczéj mię zgubisz.

Ogromna zmiana nastąpiła w ich wzajemnym stosunku do siebie. Kochanek, który przedtém miał przyjmować wspaniałomyślny dar jéj serca, dzisiaj stał się

panem jéj losu i całą jéj przyszłość miał w swych rękach. Przedtém on jéj powinien był dziękować, teraz mogłoby przyjść do tego, że ona potrzebowałaby prosić. Wanda przeczuwała, że ta zmiana ról nie ujdzie baczności kasztelanica, i jéj duma cierpiała nad tém niezmiernie.

Nie dosyć było na tém. Wanda obawiała się, ażeby nie musiała cierpieć jeszcze więcéj.

Serce jéj ścisnęło się bólem, kiedy jéj przyszło na myśl, że kochanek mógłby teraz ofiarowaną sobie miłość odtrącić.

Było wiele rzeczy, które ją upoważniały do robienia podobnych domysłów. Jednym rzutem oka Wanda przebiegła całą tę niedługą przeszłość, jaką z kasztelanicem przepędziła, i nie zobaczyła nic, coby ją pokrzepiło i dodało jéj otuchy. Nigdy tak wyraźnie jak dzisiaj nie widziała i nie czuła tego, że on nigdy jéj tak nie kochał, jak ona pragnęła. Jego obojętność i brak serca, które dawniéj zatruwały jéj najpiękniejsze, najszczęśliwsze nieraz chwile, dzisiaj napełniały ją przerażeniem, bo zdawały się być groźną przepowiednią nieszczęść, jakie ją czekały. Dzisiaj jego serce mogło nietylko

nie przynieść jéj szczęścia, ale zepchnąć ją w przepaść i przywieść do rozpaczy.

Z nieopisaną trwogą przypominała sobie, że przed kilku godzinami z ust kochanka padło już to fatalne słowo: rozłączyć się!.. Wypowiedział je raz pierwszy, i to tak łatwo, tak na zimno, bez najmniejszéj oznaki, ażeby go to coś kosztowało.

Myślał już więc o tém, ażeby się rozłączyć, chciał już to uczynić, dlaczegóżby nie miał i wykonać w danym razie?... Wszakże pewnym okolicznościom przyznawał już taką siłę, że mogły ich rozdzielić, dlaczegóż podobne okoliczności nie miałyby się znowu znaleźć, i to może bardzo łatwo znaleźć...

Nie, ona nie mogła wierzyć kochankowi, a była zmuszoną powierzyć mu swój los i siebie.

Do kogóż innego miała się udać?.. Nie widziała nikogo na świecie, ktoby ją przyjął i nie odrzucił.

Cóż zresztą innego mogła uczynić, kiedy czuła, że serce ciągnie ją do tego kochanka, i kiedy przez stosunek z nim nadała mu do siebie prawo, a zarazem względem siebie zaciągnęła ten obowiązek, żeby już nikogo więcéj nie kochać.

Nie wypadało jéj nic, jak rzucić się w jego ramiona jakby w przepaść z zawiązanemi oczami.

Wandzie zdawało się, że stoi nad taką przepaścią — i drżała z trwogi.

Jest jeszcze ktoś.

Kasztelanic w istocie nie czynił nic, coby choć na chwilę obawy jéj uspokoiło i owszem całém swojém postępowaniem zupełnie je usprawiedliwiał.

Po odbytym pojedynku i po wypuszczeniu hrabiego przez Henryka z lochu, kiedy minęła pierwsza chwila osłupienia w jakie ostatni szczególnie wypadek wprawił między innymi także i jego, nie starał on się widzieć z Wandą, nie poszedł do niéj, choć to było całkiem naturalne, że po podobnych przejściach i przy całkowitéj zmianie, jaka w ich położeniu teraz zaszła, kochankowie mieliby z sobą i to bardzo wiele do mówienia. Zamiast więc pośpieszyć do Wandy, uspokoić ją ze świeżych wzruszeń, pomówić z nią o wspólnych zamiarach i przyszłości, kasztelanic skorzystał z ogólnego zamięszania i nieznacznie wysuną-

wszy się ze sadu, poszedł do swéj kwatery i tam kilka godzin przepędził, niepokazując się nikomu.

Zapewne przez ten czas i on rozmyślał nad tém, co się stało i co w skutek tego jeszcze nastąpić może.

Ta długa jego nieobecność dręczyła i niepokoiła tém bardziéj Wandę; nie zdawała jéj się zapowiadać nic dobrego. Posyłać zaś po niego Wanda również nie chciała. Nie wątpiła, żeby na jéj wezwanie natychmiast przyszedł — ale w takim razie czyż jego przyjście mogło mieć jakie znaczenie?

Czekała więc, dopóki sam do niéj nie przyjdzie, z obawą wyglądając téj chwili, która miała rozstrzygnąć o jéj losie.

Czekała i siedziała w karczmie bez celu, bez żadnéj potrzeby i tylko z téj konieczności, że nie wiedziała, co z sobą począć. Przykre jéj położenie i pod tym względem było pożałowania godne, że w jednéj chwili znalazła się bez domu i bez dachu. Gdziekolwiekby się zawróciła, nigdzie nie było po co, albo do czego jechać. Kończyć rozpoczętéj podróży do Kamieńca nie było już można, bo nie miała już żadnego celu; wracać do Dubna tak nagle ni ztąd ni zowąd, to mo-

gło ją tylko skompromitować i na śmiech i obmowę narazić. Nigdzie domu, nigdzie miejsca, gdzieby mogła powiedzieć, że jest u siebie — taki był koniec rozmyślań Wandy w téj materji.

Trzeba do tego jeszcze dodać, czego zresztą czytelnik łatwo się domyśli, że Wanda nie miała przy sobie prawie nic, albo bardzo mało pieniędzy. Na żaden sposób nie mogły one wystarczyć na założenie sobie jakiegokolwiek domu i nie mogły jéj zapewnić egzystencji dłużéj, jak na dni kilka lub kilkanaście.

Siedziała więc daléj w karczmie, jak powiedzieliśmy, choć ten pobyt był dla niéj męczący. Czekała i spodziewała się jakiéjś propozycji ze strony kasztelanica. Byłaby ona dla niéj zawsze bolesną, ale w obecném położeniu mogła ją jedynie pocieszyć i dodać jéj na przyszłość otuchy, jako dowód jego pamięci.

Razem z nią po większéj części i reszta towarzystwa pozostała w karczmie; tylko niektórzy wysunęli się nieznacznie do domów, unikając nawet pożegnania z Wandą. Inni oglądali się na to, co Wanda daléj ze sobą zrobi i dopókiby to nie nastąpiło, postanowili wytrwać w swojéj roli błędnych rycerzy. Nie wiedzieli przytém nic

o rozwodzie zamierzonym przez Henryka i tém bardziéj jego zniknięcia nie umieli sobie wytłómaczyć.

Nareszcie dobrze już po południu pojawił się kasztelanic u Wandy. Gdy wszedł, nic się do niego nie odzywała i była ciągle pochmurną i zamyśloną.

Kasztelanic lubo byłby wolał, żeby ona przerwała milczenie, musiał po chwili zacząć rozmowę.

— Cóż ci jest? — zapytał słodkim głosem, przystąpiwszy do niéj i biorąc ją za rękę.

— O! źle mi jest bardzo! — odpowiedziała z westchnieniem, którego nie zdołała stłumić.

— Czemu?... cóż znowu takiego?...

— Czuję się samą i opuszczoną — odrzekła Wanda poważnie, jak można najobojętniéj i takim tonem, jakby nie chciała i nie spodziewała się niczyjego współczucia.

Ton ten naturalnie był udany i wymuszony. W ten sposób odezwać się nakazywała Wandzie duma jéj, któréj w tym razie niktby zapewne nie mógł potępić.

Odpowiedź ta zrobiła na kasztelanicu nieprzyjemne wrażenie i wprowadziła go w ambaras. Odstąpił od Wandy i usiada-

jąc od niéj o kilka kroków, starał się ukryć przed nią to wrażenie.

— W istocie — rzekł po niejakiéj chwili chłodnym tonem, w który na żaden sposób nie mógł wlać ani trochy tego ciepła, które ma współczucie; — wypadek to bardzo dla ciebie niepomyślny... nie myślałem, że Henryk zdobędzie się na tę ostateczność... Czy nie masz już żadnéj nadziei, żeby powrócił?...

— Żadnéj — odpowiedziała Wanda głosem tak suchym, że kasztelanic musiał uczuć, jak wielką jéj sprawiał boleść swoją mową. Ale postanowił na to nie zważać i nie dać poznać po sobie, że zrozumiał jéj wyrzut.

— Więc cóż myślisz zrobić ze sobą? — pytał daléj bez żadnego względu dla biednéj Wandy, w którą jego pytania uderzały jak ciosy zabójczego narzędzia.

— Nie wiem — odpowiedziała znowu lakonicznie Wanda, nie spojrzawszy dotąd ani razu na niego.

— Trzeba jednak koniecznie o czémś pomyśleć... Tutaj nie możesz przecież pozostać. Powiedz mi, gdzie każesz, a ja ci będę towarzyszyć.

Kasztelanic więc stanowczo nie miał myśli zrobić jéj żadnéj propozycji... W chwili, kiedy potrzebowała jego pomocy, usuwał się od niéj i zostawiał ją saméj sobie. Wanda bardzo dobrze to zrozumiała i uczuła całą okropność swego położenia...

Nie mogła już wątpić o tém, że jéj nie kocha, ale było to nad jéj siły, aby przenieść odważnie swoje upokorzenie i rozpacz, jaką uczuła w sercu.

Z głośnym jękiem upadła na krawędź kanapy i zaczęła łkać.

Kasztelanic zerwał się, przybiegł do niéj i pochylił się nad jéj alabastrową twarzą, boleśnie wykrzywioną. Był nieporuszony i zimny jak przedtém, ale zaczął ją pocieszać, przeklinając w duszy Henryka, że go nabawił niespodzianie tak wielkiego kłopotu.

— Na miłość Boga, uspokój się... po co te płacze?.. wszystko to jakoś się załatwi może szczęśliwiéj, niż sobie wyobrażamy... Kto wie, może Henryk jeszcze się namyśli... Zresztą twoje położenie tylko w pierwszéj chwili wydaje ci się tak straszném... ileż to kobiet żyje w podobném położeniu, a nie czują się przecież nieszczęśliwemi... Doprawdy, że cię

nie rozumiem. Pragnęłaś sama uwolnić się od niego, a teraz...

Wanda zaledwie połowę tych słów słyszała, ale i te wystarczały, aby rozedrzeć jéj serce.

— Idź pan odemnie, idź! — zawołała bolesnym i złamanym głosem, niepodnosząc głowy i odpychając od siebie ręką kasztelanica.

Jego obecności w istocie dłużéj znieść nie mogła; jego widok stał się dla niéj wstrętnym.

Kasztelanic tym razem uczynił, czego chciała.

— Skoro tego żądasz, wychodzę, — rzekł jakimś patetycznym głosem — może ci przysłać Anusię? — i skoro nie odbierał odpowiedzi, wyszedł.

Rozkaz Wandy był mu bardzo na rękę. Uwalniał go od sceny przykréj i ambarasującéj.

Wanda długi czas jeszcze po jego odejściu nie ruszała się z miejsca, nawpół leżąc na kanapie i łkając. Myśli coraz to rozpaczliwsze i boleśniejsze pchały się do jéj głowy.

Nie można było wątpić: była zgubiona!... Ten, którego tak bardzo kochała,

dla którego wszystko poświęciła, nie miał dla niéj nawet litości!

— Co począć daléj, co zrobić z sobą? Żadnéj nadziei znikąd, nigdzie przyjaciela, nigdzie przytułku!

Chyba odebrać sobie życie?... Tak, ten tylko pozostawał jéj ratunek, tym tylko sposobem mogła znaleść balsam na swoję zawiedzioną miłość i uwolnić się od poniewierki, pogardy ludzkiéj i nędzy.

Tylko w ten sposób mogła się uwolnić od tego, aby nie żebrać „jego" litości, nie czekać jéj z „jego" ręki!...

Kiedy rozpacz Wandy doszła już do tego stopnia, nagle zajaśniała w jéj duszy jakaś myśl lepsza, jakby promień nadziei.

Zerwała się prędko i odgarnęła swoje krucze włosy na czoło jéj spadające i zwilżone jéj łzami. Uczuła w sobie jakąś nagłą i silną chęć życia i stanęła jéj przed oczami nadzieja jakiéjś zemsty w przyszłości.

— O! Bóg mię nie opuści — zawołała sama do siebie. — Kiedy wszyscy mnie porzucili, jest jeszcze na ziemi ktoś, co będzie miał dla mnie serce... jest jeszcze człowiek, który mnie kocha, mimo wszystkiego złego, jakie mu wyrządziłam.

Pobiegła do stolika i napisała jednym pociągiem pióra następujący list:

„Panie!

„Twój syn rozwodzi się ze mną z powodów bardzo słusznych i sprawiedliwych. Nie jestem godną, abym była jego żoną, bo kochałam innego. Ale ten, któremum oddała swoje serce, opuszcza mię w chwili, kiedy zostałam samą na świecie.

„Nie mam więc nikogo. W takiém położeniu udaję się panie do ciebie. Nie zasłużyłam na twoje współczucie, wiem o tém dobrze; proszę tylko o litość — nie odtrącaj mię błagającéj i nie pogardzaj mną. Jestem występną, ale także nieszczęśliwą. Przyjmij mię pod swój dach, bo nie mam gdzie złożyć mojéj głowy, daj mi schronienie, gdziebym mogła ukryć się ze swojém nieszczęściem przed okiem ludzkiém. Błagam cię nie jako ta, którą niegdyś kochałeś, ale jako kobieta opuszczona, biedna i nieszczęśliwa, która czuje wszystkie swoje błędy i chce za nie pokutować.“

List ten zaadresowała do hrabiego i wyprawiła z nim w téj chwili posłańca na zamek, poleciwszy mu oddać go koniecznie i jak najprędzéj hrabiemu, a gdyby

nie było go w domu, poszukać go gdziekolwiekby się znajdował.

Po napisaniu tego listu uczuła się silniejszą; liczyła na to, że hrabia nie zawiedzie jéj ufności i nie odmówi jéj swojéj opieki. O niczém inném zresztą nie myślała; chodziło jéj tylko o to, ażeby pokazać niewdzięcznemu kochankowi, że potrafi się obejść bez jego pomocy, i że jak byłaby ją przyjęła chętnie, gdyby ją był wspaniałomyślnie ofiarował, tak prosić o nią nie chce i nie potrzebuje.

Ta myśl, ażeby skorzystać z téj władzy, jaką mogła jeszcze mieć nad umysłem i sercem hrabiego, i oddać mu teraz swoję miłość, któréj niegdyś tak gorąco pragnął, nie przeszła nawet przez głowę Wandy, chociaż tak łatwo powstaćby mogła w innéj przewrotnéj i zepsutéj kobiecie. Jakkolwiek nieraz w ciągu wydarzeń, które opowiadaliśmy, widzieliśmy ją dążącą do swego celu nie zawsze prostemi drogami, to przecież z opowieści naszéj mógł także łaskawy czytelnik nabrać wyobrażenia, że do tego stopnia złą nie była, że mianowicie nigdy nic nie czyniła, co mogłoby przynieść ujmę jéj godności i na szwank wystawić jéj dumę.

Gdyby teraz po tém wszystkiem co zaszło, po zaślubieniu Henryka, po romansie z kasztelanicem rzuciła się w objęcia hrabiego, jakżeby nisko musiała upaść we własnych swych oczach!

Przytém znała ona także hrabiego; wiedziała, że namiętność jego była szlachetną, że mógł ją dotychczas kochać i o niéj nie zapomnieć, ale że nigdy nie byłby wspomniał o swojéj miłości téj, która była już żoną jego syna i którą tylko ostateczność, nieszczęście i zdrada kochanka do jego domu zapędzała.

Pomiędzy niemi dwojgiem leżała przegroda, któréj ani jedno ani drugie z nich nie byłoby starało się przełamać.

Wanda chciała powrócić do domu hrabiego jak ów ewangeliczny syn marnotrawny do swego ojca, nie jako kobieta zdradzona przez innych do swego dawnego kochanka.

Nemezis.

Niedługo potém Zawiła powrócił z Kamieńca w najgorszym humorze. Jak się domyślał, Henryk w istocie pojechał do Kamieńca i tam spełnił to wszystko, cze-

go się Zawiła tak bardzo obawiał: odstąpił od procesu z ojcem i podał się o rozwód z żoną.

Co gorsza, ażeby wszelkie nadzieje Zawiły na raz jeden upadły, Henryk tego samego dnia, zaraz po dopełnieniu potrzebnych czynności urzędowych, wyjechał z Kamieńca; a dokąd? o tém Zawiła przy najusilniejszych zabiegach dowiedział się tylko tyle, że podobno za granicę.

Wiadomości tych wysłuchała Wanda z największą obojętnością. Nic one ją nie obchodziły, i słuchając ich myślała o czém inném. Gdy Zawiła wszystko już wypowiedział, co mu ciężyło na sercu, nie odezwała się na to ani słowem.

Rozgniewany i oburzony na Wandę, która jego zabiegów i poświęcenia zdawała się nie oceniać, Zawiłą zatrzasnąwszy za sobą drzwi, wyszedł do sieni.

Tutaj spotkał kasztelanica. Zdawało się, że on czekał na sposobność widzenia się jak najprędszego z Zawiłą. Wysłuchał z wielką ciekawością i zajęciem wszystkiego, co mu tenże opowiadał, i sam badał go o niektóre bliższe i dokładniejsze szczegóły. Zawiła zaś był rad, że znalazł tak ochotnego słuchacza, i z

pewnem zadowolnieniem dla siebie odpowiadał na wszystkie pytania.

Relacje jego zrobiły na kasztelanicu przykre wrażenie. On zwykle tak nieczuły i chłodno wszystko przyjmujący zmienił się widocznie i nabrał nagle złego humoru, kiedy dowiedział się na pewne, że Henryk wszystko co przyrzekł wykonał. Podobnie jak Zawiła nie wierzył bowiem do téj pory w stałość jego postanowień.

Jedna tylko Wandn wierzyła w nie, a to szczególnie od téj chwili, kiedy Henryk ujrzał nagle swego ojca uwięzionego w lochu i kiedy go ztamtąd uwolnił. Nie wątpiła ona, że musiał się domyślać, że ona także miała jakiś udział w téj zniewadze, która jego ojca spotkała, a co najmniéj, musiała o tém wiedzieć. Coś podobnego musiało jednak wstrząsnąć całą duszą Henryka i oburzyć go do najwyższego stopnia. Wanda wiedziała o tém, że przewinienia względem własnéj osoby Henryk mógł przebaczyć i zapomnieć o nich, ale tego co wyrządzono jego ojcu, nigdy.

Dodajmy do tego, że Henryk nie wiedział i nie przypuszczał nawet, aby ojciec mógł przebaczyć to co się stało.

Żal jego zatém do wszystkich wspólników tego czynu był tém większy, i tém bardziéj musiał on za swój obowiązek uważać, zerwać z nimi wszelką wspólność i opuścić ich, aby tym sposobem dać ojcu niejakie zadosyćuczynienie.

Sam siebie, choć był w téj sprawie całkiem niewinny, uważał także za pierwszy powód krzywdy, któréj hrabia doznał, dlatego nie wahał się dla dania expiacji poświęcić nawet siebie.

W kwaśnym humorze i zamyślony kasztelanic pożegnał Zawiłę i poszedł do siebie, i przez kilka godzin w karczmie nikt go znowu nie widział.

Kasztelanic siedział w swéj kwaterze, aby uniknąć spotkania się z Wandą. Był w takim stanie, że widzenie się z nią i rozmowa byłyby dla niego bardzo nieprzyjemne. Nie wiedziałby zapewne o czém z nią mówić i co jéj powiedzieć. Bardzo na rękę było mu teraz to, że Wanda kazała mu wyjść od siebie. Postanowił trzymać się tego rozkazu literalnie i nie iść do niéj, chybaby sama go zawołała. Był to dla niego pretekst bardzo wygodny. Mógł udawać zagniewanego i odegrać małą komedję romansową, podczas gdy całe położenie rzeczy

i stan umysłu jego kochanki bynajmniéj się do kom•dji nie nadawały.

Kasztelanic niepotrzebnie jednak się kłopotał i brał na wybiegi Wanda sama nie chciała się z nim widzieć i unikała go. Jéj oburzenie i pragnienie jakiéjś zemsty moralnéj na nieczułym kochanku, ustąpiły w niéj niedługo miejsca boleści. Podrażniona duma zamilkła w niéj, a odezwało się znowu serce. To słowo „rozłączyć się“, które dla niéj tak okropnie brzmiało w ustach kochanka, tém większą napełniło ją goryczą, gdy je sama do siebie powiedziała w swém sercu.

Nie mogła jeszcze pogodzić się z tą straszną koniecznością, nie mogła dać wiary, aby ją tak nagle wszystkie nadzieje i marzenia zawiodły.

Po zranioném jéj sercu wiał jeszcze oddech miłości; prędzéj można znienawidzić niżeli zapomnieć, a przedmiot dawniéj ukochany, którego widok przestał już być szczęściem dla naszych oczu, długo jeszcze błąka się cieniem w wspomnieniach naszéj duszy.

Wanda więc cierpiała bardzo, ale wiedziała także o tém i powiadała to sobie, że téj boleści nie powinna pokazywać nikomu a témbardziéj „jemu“.

Nie wychodziła zatém ze swéj izby ani krokiem i z biciem serca oczekiwała odpowiedzi hrabiego i powrotu posłańca. Odpowiedź jednak nie nadchodziła ani posłaniec nie wracał. Nad wieczorem Wanda tém więcéj zaczęła się obawiać, aby kasztelanic nie przyszedł. Była to pora, w któréj najczęściéj się widywali. Wyszła więc ze swéj izby, wysunęła się nieznacznie z karczmy i poszła w pole. Błąkała się tam czas jakiś zatopiona w swych bolesnych myślach i trawiona niecierpliwością, co jéj hrabia odpowie.

Już było całkiem ciemno gdy wróciła do karczmy. Wiatr z zachodu pędził chmury na niebo i powietrze było parne. Zdawało się, że niedługo będzie burza.

Wanda nie zwracała jednak na to uwagi i poszła w sad, nie chcąc jeszcze wracać do siebie.

Na samym końcu sadu były drzewa najgęściéj posadzone. Tam więc poszła, bo tam najlepiéj mogła tego uniknąć, żeby jéj kto nie zobaczył.

Idąc ścieżką aż do samego płotu ujrzała postawioną przy nim altanę, albo raczéj coś co altanę miało wyobrażać. Kilkanaście tyk ukośnie ustawionych, związanych ze sobą w górze i obrośniętych

dzikiém winem i powojem tworzyło tę altanę.

Wanda weszła do środka i usiadła na nizkiéj darniowéj ławce tam się znajdującéj.

Podparła głowę rękami i dumała.

Czuła się przygnębioną i bardzo nędzną.

Zaledwie kilka minut tak siedziała, kiedy szelest ludzkich kroków przebudził ją z zamyślenia.

Podniosła głowę i na ścieżce, którą niedawno przyszła, zobaczyła cienie dwojga ludzi, które idąc od karczmy zmierzały powoli ku niéj.

Jakkolwiek było ciemno, Wanda poznała w jednéj z tych postaci kasztelanica. Drugą była jakaś kobieta. Wanda przypatrzyła się chwilę i poznała w niéj Anusię.

Oboje szli obok siebie i zajęci byli jakąś rozmową. Musieli ją prowadzić półgłosem, bo inaczéj z téj odległości w jakiéj byli, Wanda słyszałaby brzmienie ich wyrazów. Spostrzegła także, iż kasztelanic idąc oglądał się za siebie jakby z jakąś niespokojnością.

Oboje zbliżali się coraz bardziéj ku altanie. Niedługo byli już tak blizko, że

Wanda mogła słyszeć ich rozmowę choć jeszcze wyrazów nie rozróżniała.

Wtedy zaparła w sobie oddech i wtuliła się w najciemniejszy kąt altany. Opanowała ją jakaś trwoga i ciekawość połączona z okropném przeczuciem.

O trzy kroki od altany pomiędzy drzewami spuszczającemi swoje gałęzie na ścieżkę, kasztelanic i Anusia stanęli.

Wanda mogła słyszeć dobrze każdy ich wyraz.

Kasztelanic się odezwał:

— Powiadam ci, ażebyś była spokojną.

— Czy ja mogę panu wierzyć — odpowiedziała Anusia płaczliwym głosem — pan zawsze powtarzasz mi toż samo, a skutku nigdy nie widzę.

— Musisz być jeszcze jakiś czas cierpliwą... spodziewam się, że się to już niedługo skończy...

— Tak!... gdybyś pan chciał, mogłeś już dawno skończyć... Mówiłam panu, że nie trzeba było jechać do Kamieńca. Ale pan się uparłeś koniecznie... I cóż z tego wynikło dobrego?... Strzelałeś się pan o nię... Czy to było potrzebne... Oh, cobym ja była robiła, gdyby pan hrabia był pana zabił!... A teraz pan hrabia

się z nią rozwodzi, i ona zostanie panu na karku, nie będziesz się pan mógł z nią rozłączyć... Ale ja wiem, że się to panu podoba, że to panu przyjemne, bo pan ją kochasz... O ja nieszczęśliwa, co ja ze sobą poczne.

Mówiąc to Anusia przytuliła się do piersi kasztelanica, a on ją przycisnął do siebie.

— Dziecko jesteś — rzekł — zawsze mi prawisz o téj miłości. Powinnaś przecie zrozumieć, że zaciągnąłem względem niéj pewne obowiązki, i że przyzwoitość nakazuje, ażebym jéj tu w karczmie nie zostawiał. Jutro, spodziewam się, wyjedziemy ztąd, odwiozę ją gdzie mi rozkaże, a potém będę już wolny.

— Poco ją pan masz odwozić, ona tu znajdzie kogobądź, co ją odwiezie...

— To nie wypada, skorom tu z nią przyjechał... Widzisz, byłoby to z méj strony bardzo niehonorowo...

— Ale mi pan dasz słowo, że skoro ją odwieziesz, pojedziemy razem...

— Daję ci słowo.

— I to téj chwili, już bez żadnych wymówek...

— Téj chwili, jak tylko będzie można najprędzéj.

— Pamiętaj pan... bo ja jestem o pana bardzo zazdrosna... Oh, jak ja pana kocham!

Powiedziawszy to, Anusia rzuciła mu się na szyję, i Wanda widziała jak kasztelanic pochylił się do niéj i złożył na jéj ustach gorący pocałunek.

— Więc wszystko już dobrze?... nieprawdaż?... — zapytał kasztelanic, a w głosie jego drżał śmiech żartobliwy.

— Już dobrze, dobrze — odpowiedziała Anusia z przymileniem — tylko mi pan jeszcze powiedz, że mię kochasz... Ja tak lubię słyszeć, jak mi pan to mówisz...

— Ależ kocham cię, kocham ty filutko... Jakby można nie kochać takich figlarnych oczek!

I pocałował ją raz drugi. Potém dodał:

— No, wracaj teraz do domu, mógłby nas kto zobaczyć.

Anusia ścisnęła go za rękę i spojrzała mu w oczy miłośnie.

Oboje nawrócili się ku karczmie. Chwilę szli razem, a potém Anusia odeszła od kasztelanica i poszła sama naprzód ku karczmie. On został jeszcze czas jakiś w sadzie, chodząc tam i napowrót po ścieżce, a wreszcie kiedy Anusia mo-

gła już być u siebie, poszedł takżedo swojéj kwatery.

Wanda słuchając téj rozmowy czuła jak ją coraz więcéj opuszczają siły i przytomność. To co usłyszała przerażało ją i napełniało jakąś nieopisaną zgrozą i rozpaczą. Zdawało jéj się, że serce jéj powinno pęknąć, że ziemia powinna się pod nią rozpaść.

Co za boleść, co za hańba, jaki wstyd dla jéj namiętnego i dumnego serca!

Pod wpływem tego uczucia zdrętwiała cała i zrobiła się jakby martwa. Bez najmniejszego ruchu, bez tchu prawie słuchała tych słów padających kamieniem na jéj serce. W całém życiu widziała tylko noc czarną, i nic więcéj oprócz téj nocy, chyba te dwa cienie: swego kochanka i rywalki, które w téj chwili wydały jéj się nie ludzkiemi istotami, ale dwoma szatanami szarpiącemi niemiłosiernie jéj serce.

Nieruchoma, osłupiała i bez czucia siedziała skulona na darniowéj ławce, nie mogąc zebrać w sobie na tyle siły aby ruszyć się z miejsca i powstać, nawet wtenczas gdy oboje już odeszli ze sadu.

Zdawało jéj się, że słowa ich przybiły ją do miejsca; gdyby chciała była wten-

czas odezwać się lub krzyknąć, głos byłby jéj zamarł w piersiach.

W sercu czuła jakieś okropne zimno i głuchość jak na pustyni, a w głowie jéj huczało i myśli chaotycznie się plątały.

Z głową podniesioną do góry, patrzyła przed siebie bezmyślnie w ciemność nocną i natężała słuch jakby jeszcze coś więcéj miała usłyszeć...

Tylko wiatr szumiał około niéj i co pewien czas wydawał przeraźliwe świsty.

Nareszcie Wanda zerwała się z miejsca i jak szalona pobiegła do swéj izby.

Skoro tylko drzwi za sobą zatrzasła, rzuciła się na łóżko i przytuliła głowę do poduszki.

Cicho było w jéj izbie; nie było słychać ani płaczu, ani jęku.

Dowód, jaką była miłość.

Kasztelanic nie łudził bynajmniéj Anusi. Był na serjo zdecydowany jak najprędzéj rozstać się z Wandą, tylko swoim zwyczajem chciał to uczynić z pewnemi pozorami przyzwoitości i w sposób jak najłagodniejszy. Od niejakiego czasu jak wiemy miał zamiar zerwać ten stosunek,

bo nie był według jego myśli i za wiele sprawiał mu kłopotu. Teraz skoro Henryk rozwodził się z żoną, nie myślał tymbardziéj brać na swoję głowę tego ciężaru.

Uczuciowe usposobienie Wandy już było dla niego zbyt wielkim ambarasem, a cóż dopiero, gdyby miał na swéj głowie jéj los i przyszłość.

Po rozmowie z Anusią wrócił do siebie, i dziwił się bardzo, że Wanda dotychczas nie kazała go wołać. Jakkolwiek uznawał, że ona była inną cokolwiek od kobiet, z któremi dotąd łączyły go różnego rodzaju znajomości, nie wierzył temu, ażeby mogła nie wedzieć go długo, skoro był od niéj zaledwie o kilkanaście kroków.

Miał więc nadzieję, że gniew jéj przeminie po niejakim czasie, i że Wanda się udobrucha, a wtenczas będzie mógł z nią swobodniéj pomówić, i wyjść nareszcie z tego niezdecydowanego położenia w jakim się znajdował.

Przedewszystkiem zaś pragnął, ażeby już raz wyjechać z téj nieszczęsnéj karczmy, gdzie się widział niby moralnie uwięzionym, i ażeby Wanda mu powie-

działa, gdzie sobie obierze miejsce pobytu i dokąd ma ją odwieść.

Kiedy Wanda nie przysyłała po niego, postanowił nareszcie sam się do niéj udać. Czynił to z pewną obawą, bo przeczuwał, że spotka się co najmniéj z resztkami jeszcze jéj gniewu. Ale trzeba było stanowczo raz się już rozmówić, i całą tę sprawę zakończyć.

Poszedł więc do Wandy.

Gdy drzwi do jéj izby otworzył, zdziwiło go, że było w niéj ciemno. Pomyślał, że Wandy może nie ma u siebie, i chcąc się o tem przekonać, zapalił świecę.

Wtedy zobaczył, że Wanda nawpół leży na łóżku. Nie była rozebraną, ale mimo to kasztelanic myślał, że śpi. Przybliżył się do niéj na palcach, chcąc się o tem upewnić i nachylił się nad nią. — Gdyby spała, byłby zaraz wyszedł.

W téj chwili Wanda podniosła nagle głowę, spojrzała na niego obłąkanemi oczami i poznawszy go, zerwała się i stanęła przed nim w przerażającéj i dumnéj postawie:

— Czego pan tu chcesz! — zawołała głosem drżącym od gniewu i boleści, patrząc na niego z pogardą.

Kasztelanic cofnął się krok.

— Przyszedłem zobaczyć, co się z tobą dzieje — rzekł półgłosem i z największą uprzejmością.

— Wychodź pan stąd, wychodź pan natychmiast! — odpowiedziała Wanda, imponującym głosem wskazując na drzwi, a oczy jéj rzuciły na niego taką błyskawicę, że kasztelanic się uląkł.

Nic nie mówiąc, zmierzał ku drzwiom, gdy nagle Wanda poskoczyła za nim i schwyciła go z całéj siły za rękę.

— Nie, — zawołała — zostań tutaj!... Powiedz mi, poco tu przyszedłeś, czy urągać mi, czy mię shańbić?...

— Nie rozumiem tego pytania?.... nie myślałem ani o jednem ani o drugiem — odpowiedział kasztelaniec spokojnie.

— Nie rozumiesz!.... ah, to bezczelność!....

Zacisnęła zęby, aby stłumić westchnienie podnoszące jéj pierś i po chwili rzekła chłodno i spokojnie:

— Nie rób pan sobie ze mną najmniejszego kłopotu.... uwalniam pana od wszelkich obowiązków.... możesz jechać gdzie się podoba.... choćby zaraz....

Kasztelanic domyślił się z tych słów, że Wanda poznała jego prawdziwe dla niéj usposobienie, ale nie myślał, ażeby znajome jéj były jego stosunki z Anusią. Pragnął zatem zniweczyć to złe wyobrażenie, jaka Wanda o nim mieć mogła.

— Unosisz się niepotrzebnie gniewem, i posądzasz mię o nieszlachetność, do któréj nie jestem zdolny....

— Oh, tego już za wiele! — przerwała mu Wanda — unosząc się znowu. Myślisz pan, że ja nie wiem o wszystkiem?....

— O czem? — zapytał kasztelanic udanem zdziwieniem pokrywając swoje obawy.

— O téj hańbie, jaką mi zgotowałeś.... Ha, to straszne pomyśleć o tem.... to można rozum z tego stracić!... Taką dałeś mi rywalkę.... moją służącą!.... Tak, może chcesz się jeszcze usprawiedliwiać, tłómaczyć.... może powiesz, że to wszystko nieprawda, fałsz, urojenie?.... Napróżno!... widziałam i słyszałam wszystko na własne uszy nie ma temu godziny...... Nie możesz nic na to odpowiedzieć, nic!.... Oh, w jakąż przepaść ja się rzuciłam, jakiemuż człowiekowi powierzyłam się i oddałam moję miłość!.... Gdy ja dla méj

szalonéj miłości cierpiałam co chwila, na każdym kroku, gdym straciła spokój sumienia, gdym dla niego stała się występną i przyczyną nawet obcych nieszczęść, on tuż przy mnie, pod moim bokiem prowadził miłostki z inną i najhaniebniéj mnie oszukiwał.... O, to jest straszne, to jest straszne!

I Wanda załamała ręce boleśnie.

Na większe swoje udręczenie widziała ona w postępowaniu kochanka większą winę, niźli była w istocie. Nie wiedziała o tem, że przyczyną tego, iż kasztelanic pragnął ją opuścić, było jego chłodne z natury usposobienie i brak serca, którego jak dla niéj tak nie mógł mieć dla żadnéj innéj kobiety. Jéj się zdawało, że kasztelanic ją zdradzał i opuszczał dla Anusi, choć w rzeczy saméj on byłby tak samo zerwał z nią stosunki, gdyby nawet Anusi nie było.

Uniesienie z jakiem Wanda mówiła i boleść, która nią szarpała, wyczerpały jéj siły i ledwie, że nie upadła z omdlenia. Kasztelanowicowi zdawało się, że się uspokoiła, i chcąc korzystać z tego usposobienia, odezwał się co prędzéj:

— Na miłość Boga, Wando, ubliżasz sama sobie. Jak możesz robić podobne

porównanie?... Cokolwiek się z nami stanie, chciałbym ażebyś mię pożegnała z tem przekonaniem, że nie zawiniłem przeciw szacunkowi dla twéj osoby, i że cię kochałem prawdziwie jak człowiek honorowy.

Wanda nic nie odpowiadała. Kasztelanic nabrał z tego otuchy i przystąpiwszy do niéj, wziął ją lekko za rękę.

— Idź pan ode mnie.... nie dotykaj się mnie! — zawołała Wanda odskakując od niego i rzucając na niego bolesne i pełne oburzenia spojrzenie.

Kasztelanic ukląkł na jedno kolano.

— Wando, zaklinam cię, uspokój się i chciéj mi wierzyć.... odezwał się słodkim i patetycznym głosem.

Wanda przypatrzyła mu się chwilę ze zgrozą i ze zdziwieniem. Potem wybuchnęła szalonym śmiechem i zawołała:

— Ha, ha, jeszcze mi urągasz!.... O, ty jesteś podły!.... Miłość moja nie była podobną do twojéj.... byłam występną ale kochałam cię inaczéj niż ty sobie wyobrażasz.....Jaką byłam, przekonam cię o tem!.....

Poskoczyła do stołu. Na stole leżał ów czerkieski sztylet przeznaczony do rozcinania książki. Wanda pochwyciła go.

Kasztelanic zerwał się, aby jéj nie dać wykonać czynu, który zamierzała. Nim do niéj dobiegł, Wanda uderzyła z całéj siły tępem narzędziem w swoję pierś.

Strumień krwi z niéj trysnął do góry.

Kasztelanic pochwycił ją i posadził na krześle.

Rana była głęboka, ale Wanda jeszcze oddychała.

W téj chwili drzwi izby gwałtownie się otwarły. Kasztelanic spojrzał w tamtę stronę i zobaczył hrabiego.

Hrabia wchodził do izby z twarzą rozpromienioną i jaśniejącą od szczęścia. Widać po nim było, że jak najprędzéj pragnął zobaczyć tę, która z taką pokorą i w takiém nieszczęściu udawała się pod jego opiekę. Chciał jak najprędzéj wlać w jéj serce tę pociechę, któréj on od niéj doznał.

Tak doszedł szybkim krokiem aż do połowy izby.

Teraz dopiéro zobaczył co się stało. Krew, którą kasztelanic powstrzymywał jedną ręką, spływała po białém ubraniu Wandy.

Hrabia stanął jak martwy i wściekły wzrok utopił w kasztelanica:

— Zbrodniarzu! — zawołał i podniósł

rękę jakby chciał go chwycić za gardło, Ale w téj chwili Wanda cichym, umierającym głosem wyszeptała:

— Nie gniewaj się panie... O, jakże ci dziękuję!...

Spojrzała na hrabiego z uśmiechem anielskiéj słodyczy i zamknęła oczy.

Hrabia nachylił się nad nią i położył rękę na jéj sercu.

Już nie biło.

Hrabia na jéj stygnącém czole położył pierwszy i ostatni pocałunek. Łzy puściły mu się z oczu, i długo tak stał pochylony nad Wandą w niemej boleści.

Potém nie mówiąc słowa wskazał kasztelanicowi, ażeby wyszedł.

Kochanek Wandy spełnił jego rozkaz i opuścił w milczeniu śmiertelną izbę. Hrabia zamknął za nim drzwi.

Zaledwie Kasztelanic wyszedł za próg, w sieni spotkał Anusię.

Wybiegła ona właśnie z alkierzyka, gdzie podpatrując według swego zwyczaju była niewidomym świadkiem téj tragicznéj sceny.

Przypadkiem oboje zeszli się prawie twarzą w twarz. Anusia zobaczywszy kasztelanica krzyknęła i odskoczyła od niego:

— O, pan jesteś okropny człowiek!...

Jedź pan gdzie chcesz, ja z panem nie pojadę za nic w świecie!

I co prędzéj wybiegła z sieni przed karczmę, jakby z trwogi przed nim uciekała.

W kilka minut kasztelanic wyjechał, blady i zmieniony do niepoznania. Jego znajomi i przyjaciele Wandy, którzy jeszcze w karczmie zostali, domyślając się, że się coś niezwykłego stało, wypytywali go o to, ale nic nie mogli z niego wybadać.

Niedługo po nim wywiózł także hrabia ze sobą ciało Wandy.

Na drugi dzień spoczywało ono na pysznym katafalku w jednéj ze sal zamkowych. Mnóstwo ludzi cisnęło się na zamek, ażeby widzieć po śmierci młodą swoją panią. Wiejskie kobiety wpatrywały się w jéj alabastrową twarz ze serdecznym żalem i z uwielbieniem, jakby w obraz święty... Na martwych licach Wandy pozostał ten słodki uśmiech, z którym wymówiła ostatnie swoje wyrazy na téj ziemi.

Hrabia przez cały dzień siedział w kącie pokoju przy katafalku. Nikt nie mógł widzieć jego twarzy, ani dopatrzeć się, jakie ta świeża boleść zrobiła na nim wrażenie. Przez cały ten czas siedział z gło-

wą zwieszoną na piersi, nie przemówiwszy ani słowa, nie spojrzawszy na nikogo.

Nad wieczorem zamknięto bramę zamkową, a potem i drzwi od sali, w któréj stał katafalk.

Przy trupie został tylko sam hrabia.

Jak długo tam bawił, czy całą noc tam przepędził, nikt o tém nie wiedział. Nazajutrz tylko zdziwiło to wszystkich niezmiernie, że żadnego pogrzebu nie było, a niedługo potem ludzie w całéj okolicy opowiadali sobie, że ciało młodéj hrabiny niewiadomo gdzie znikło.

Trzeci grób

Téj saméj nocy jakiś człowiek wychodził potajemnie boczną bramą zamkową do ogrodu. W mroku nocnym można go było wziąć za sługę kościelnego, bo miał na sobie długą obszerną suknię. Człowiek ten niósł na barkach jakąś skrzynię długą a wąską, pokrytą ciemném płótném czy suknem.

Ciężar to musiał być nie mały, bo człowiek uginał się pod nim we dwoje.

Szedł jednak krokiem dosyć raźnym i

pewnym. Przeszedł przez cały ogród, przez przyległą łąkę i pole, a potém zamiast iść ścieżką wiodącą do drogi, skręcił nagle i wszedł w las.

Lasem szedł dosyć długo, chociaż trochę wolniéj niż przedtém. Choć na świecie było dosyć ciemno, człowiek ten szedł, nie zastanawiając się, którędy mu iść potrzeba, nie patrząc nawet na drogę, jak gdyby ta była mu bardzo dobrze znajomą.

Nareszcie stanął. Było to przed wejściem do jaskini, w któréj przed kilku dniami Zawiła uwięził hrabiego.

Wtedy tuż przy otworze jaskini złożył swoją skrzynię na ziemię. Sam wszedł do środka i ztamtąd ciągnął skrzynię za sobą po ziemi. Razem z nią bowiem nie mógłby się dostać do wnętrza jamy. Skoro zaciągnął ją już do miejsca, w którém ściany jaskini rozszerzały się i podnosiły do góry, skrzesał ognia i zapalił gromnicę, którą zapewne ze sobą przyniósł.

Przy tém świetle można było widzieć, że owym człowiekiem był hrabia, a skrzynią, którą ze sobą przyniósł, trumna.

Hrabia wetknął gromnicę w szczelinę skały, trumnę wziął znowu w ręce i zaniósł ją aż w sam kąt jaskini, w owo za-

głębienie, w którém były groby jego żony i Jewdokima.

Trzeci grób był jeszcze, jak wiemy, wolny i niezamknięty.

Niegdyś przeznaczał go hrabia dla siebie — teraz postanowił schować w nim ciało Wandy.

Złożywszy trumnę na ziemi, hrabia ukląkł przy niéj i zdjął z niéj wieko.

Chciał jeszcze ostatni raz widzieć umarłą.

Gromnica przyświecała mu swojém ponurém, czerwonawém światłem.

Wanda leżała w trumnie, jak gdyby spała cicho i spokojnie... do jéj martwych lic przylgnęła ta słodycz anielska z ostatniéj i najpiękniejszéj chwili jéj życia.

Czytać z nich było można, że jeśli wiele zawiniła, cierpiała też wiele i srodze za to odpokutowała...

Życie ludzkie rozpryskuje się na drobne, poziome, szalone i nierozsądne chwile, ale jedna z nich, bodaj nawet ostatnia, pokaże, jeśli było w jakiéjś naturze coś szlachetniejszego...

Hrabia patrzył długo i długo w te lica. Nareszcie nakrył wiekiem trumnę i wsunął ją do próżnego grobu, nad którym powiesił trzeci świeży wieniec.

Potém rzucił okiem na miejsce wolne na ścianie i powiedział do siebie:

— Tu będzie grób dla mnie.

I odtąd kuł ten nowy grób z tą błogą nadzieją, że niedługo w nim go złożą.

.... mentes mortalia tangunt.

Hrabia przebaczył wszystko Wandzie i prawdziwą było dla niego roskoszą, ile razy pomyślał, że kiedy przybiegł na jéj wezwanie, choć tyle pozostawało jéj jeszcze życia, ażeby miała czas dowiedzieć się o tém jego przebaczeniu.

Ażeby mógł umrzeć spokojnie, pragnął tylko jeszcze jednéj rzeczy: podobnego pojednania także i z synem. Hrabia pragnął go jeszcze tym goręcéj, iż czuł, że w tym wypadku on może więcéj niż syn potrzebował przebaczenia.

Od pierwszéj jednakowoż chwili, kiedy uczuł tę potrzebę w swém sercu, zawodziły go ciągle usiłowania i nadzieje zobaczenia się z synem. Posłaniec wysłany pierwszego dnia przez hrabiego za Henrykiem do Kamieńca, nie zastał go tam albo może nie znalazł. Wtedy hrabia, aby odszukać syna, pojechał sam niezwłocznie

do Kamieńca. I to było przyczyną, że tak późno przybył na wezwanie Wandy. List przez nią wysłany spotkał go w drodze do tego miejsca. Hrabia chwilę się zawahał, czy jechać daléj za synem, czy nawrócić i dać Wandzie pomoc, któréj żądała. Odszukanie Henryka było jednak wątpliwém, kiedy nieszczęśliwy stan Wandy zdawał się potrzebować jak najprędszego ratunku. Kazał więc nawrócić i przybył do Wandy — za późno.

Odtąd przez długi czas hrabia nie miał najmniejszego nawet śladu, dokąd Henryk się udał i co się z nim dzieje. Po kilku dopiero miesiącach dowiedział się, że jest za granicą i tam zaciągnął się do wojska, a w kilka tygodni późniéj, że zginął w jednéj z ostatnich bitew napoleońskich.

Biedny Henryk z rozpaczą rzucił się w świat; nie chciał, ażeby o nim coś wiedziano w kraju, i nawzajem unikał wszelkiéj sposobności, gdzieby się mógł o stronach ojczystych i o swéj rodzinie coś dowiedzieć. Nie wiedział więc o niczém, co tutaj zaszło. Gniew ojca, zniewaga, jaką poniósł, i niewierność żony ciężały kamieniem na wszystkich jego wspomnieniach. Szukał śmierci i znalazł ją.

Wiadomość o jego zgonie wyczerpała

resztę sił hrabiego. Nie ubiegł rok od ostatnich wydarzeń, a on niedawno zdrów i silny mężczyzna zrobił się zgrzybiałym starcem.

W tym czasie odebrał od Julji pierwszy list po wstąpieniu jéj do klasztoru. Donosiła mu ona, że za kilka dni odbędą się jéj obłóczyny.

Hrabia pojechał na ten smutny obrzęd. Julja przyjęła imie zakonne siostry Klary od Wniebowzięcia N. Panny.

Ojciec ze spokojem i rezygnacją uściskał córkę i pożegnał się z nią, jakby ją widział raz ostatni.

Kiedy powracał do domu, uczuł się bardzo słabym. Skoro tylko przyjechał na zamek, kazał się zaprowadzić do swego gabinetu; usiadł przy stole i wziął pióro do ręki, którą zaledwie mógł władać.

Z wysileniem wielkiém pisał:

„Pragnę, ażeby ciało moje pochowane było w grocie, która jest w lesie w stronie wschodniéj niedaleko wielkiego dębu. Jest tam już grób gotowy, na którym proszę nie kłaść żadnego napisu, tylko powiesić wieniec z liści jodłowych.

„Majątek mój, z wyjątkiem téj małéj cząstki, jaką wymówiła sobie moja córka Julja.....

Dalėj już pisać nie mógł. Pióro wypadło mu z ręki. Pochylił się w tył na fotel, wzniósł oczy do góry — i skonał Serce mu pękło.

Przy jego śmierci nie był nikt obecny. Tylko kilka promieni zachodzącego słońca padło przez szybę na jego martwą głowę i oblało ją blaskiem.

Po jego śmierci bliżsi i dalecy krewni zbiegli się hurmem do majątku, i rozerwali go pomiędzy siebie, skoro hrabia nie zostawił po sobie wyraźnėj ostatniėj woli. Spory i processa trwały pomiędzy spadkobiercami długie lata, zniszczyły bardzo majątek i wzbogaciły nie jednego jurystę.

Pomiędzy innemi papierami znaleziono także w gabinecie hrabiego list pisany do niego przez Zawiłę w miesiąc może po śmierci Wandy z Warszawy, w którym tenże dopominał się od hrabiego o trzy tysiące dukatów jakoby pożyczone przez niego na skrypt Henrykowi.

Już w kilka tygodni po śmierci hrabiego, nadszedł do Belmontu jeszcze drugi list od Zawiły adresowany „Do JW. hrabiego J. A. Ochockiego pana i dobrodzieja mojego“.

Zawiła dziękował w nim za wspania

łomyślny zwrot téj sumy, którą hrabia za syna zapłacił, a daléj między innemi pisał:

„Liczę na twoje szlachetne serce JW. hrabio a łaskawy mój kuzynie, że mnie i teraz wspomodz raczysz choć małym datkiem z jakich stu dukatów, w ostatniéj nędzy, w jakiéj się teraz znajduję, a w jaką popadłem ze zbiegu tysiącznych nieszczęśliwych okoliczności.“

To „tysiączne nieszczęśliwe okoliczności“ były to poprostu owe trzy tysiące dukatów od hrabiego dawniéj otrzymane. Zawiła, skoro się dorwał niespodzianie tak znacznéj sumy, przewróciło się w głowie. Zdawało mu się, że jest wielkim panem, że ma niewyczerpane kapitały. Po trochu liczył także na to, że hrabiego bez końca będzie mógł tak „dusić“. Po kilku miesiącach z owych trzech tysięcy nic już nie było, oprócz nałogu do kart i pijaństwa, które przy ich pomocy jeszcze bardziéj się rozwinęły.

Na ten drugi list nie odebrał naturalnie równie pomyślnéj odpowiedzi jak na pierwszy, i nie długo spełniło się to, co sobie przepowiedział. Rozpił się do reszty i skończył na bruku.

Ostatnią wolę hrabiego względem pochowania jego ciała spełniono skrupulatnie. Złożono je w skalistym grobie, który sam własną ręką wykuł.

Co rok w rocznicę jego śmierci w zasłoniętym powozie przyjeżdżała na to miejsce zakonnica. Twarz jéj była blada i wychudła, a w wielkich jéj niebieskich oczach przebijał smutek i cierpienie znoszone z męstwem i pokorą.

Przez kilka godzin klęczała ona przed wejściem do groty i modliła się gorąco. To powtarzało się bez przerwy przez lat kilkanaście. Nareszcie jednego roku zakonnica nie przyjechała, i nigdy już potem tam jéj nie było.

Ostatnia ze szczęśliwych niegdyś mieszkańców zamku Belmont zeszła z świata. Umarła w trzydziestym drugim roku życia na suchoty. Siostry zakonne nie bardzo jéj żałowały, oskarżając ją, że więcéj niż klasztorowi była przychylną swéj rodzinie.

Zamek Belmont nie długo także przetrwał swoich panów. Nowy dziedzic téj części majątku nie chciał w nim zamieszkać. Zamek od czasu ostatnich wypadków miał bardzo złą reputację. Głoszono o nim, że przywiązane jest do niego nie-

szczęście, że w nim pojawiają się duchy i strachy. Wieści podobne nabrały powszechnéj wiary, kiedy odkryto w nim ów tajemny pokój zamurowany, o którym wnet zaczęto mówić, że służył hrabiemu za miejsce schadzek z nieczystemi duchami, i za czarnoksięski gabinet.

Opuszczony i zaniedbany zamek za kilka lat przedstawiał obraz przerażającej pustki; ludzie dopomogli téż zębowi czasu, rozbierając na rozmaite użytki drzwi, żeleziwa a wreszcie kamienie i cegły.

Zniesiono go wreszcie ze szczętem za naszych czasów i twardego materjału z niego użyto na wybudowanie cukrowni.

Dziś daremnie byś szukał łaskawy czytelniku nawet śladu wspaniałéj niegdyś siedziby Patryarchy.

KONIEC.